

№ 7-8 LIPIEC-SIERPIEŃ CENA MP 40000

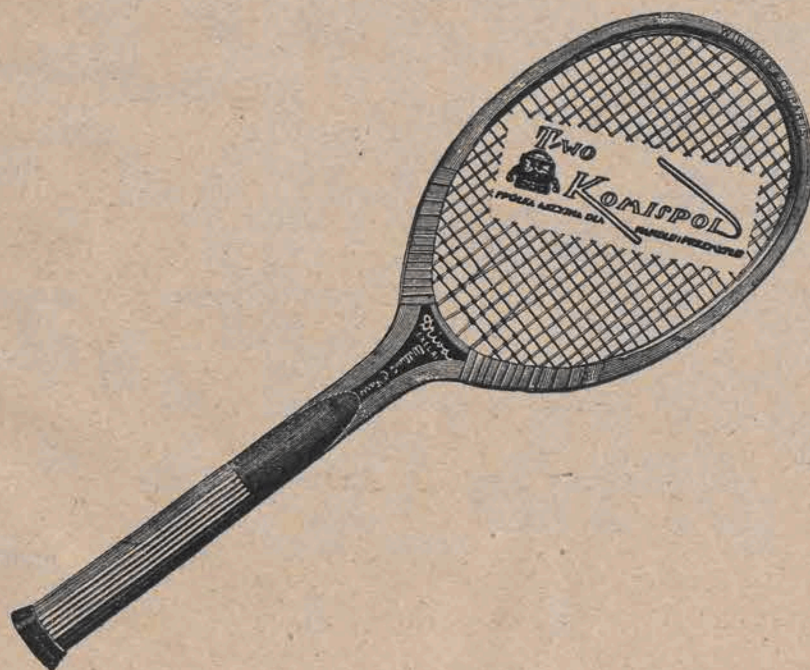

SUKNIE
KOSTJUMY
OKRYCIA
Lucyna
T.G. 1923.
WARSZAWA * BODUENA * No 2

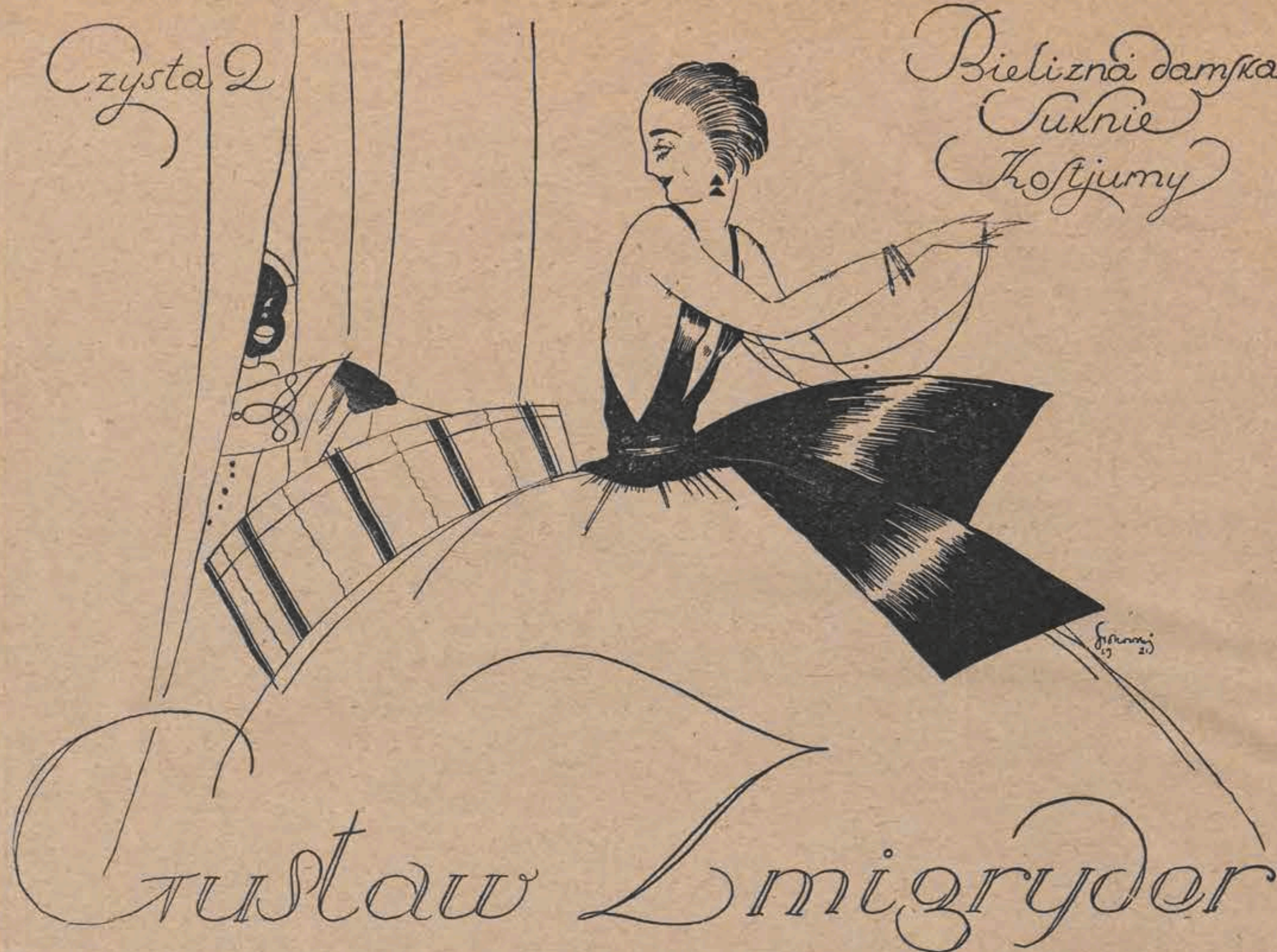
ZAKŁAD
KRAWIECKI
WARSZAWA
BIELAŃSKA 6
TELEF. 34-37.

STALE NA SKŁADZIE
WIELKI WYBÓR MA-
TERJAŁÓW ANGIEL-
SKICH I SŁYNNYCH

Sportex

WŁ. ULENIECKI i S-KA







Dom Handlowy

J. Owejko



Poleca:

Jedwabie, Wełny, Bawełny

na Kostjumy, Suknie, Palta.

Hurt i Detal.

Warszawa, Bielańska 23, tel. 21-43.

C Y N F O L J A

Jest to historja, która przydarzyła się najlepszemu z moich przyjaciół. Nie jest właściwie historją miłosną, ale jest historją pewnej miłości.

Przyjaciel, o którym tu mowa, ma na imię Pawełek, i w czasie, kiedy historja owa się zaczyna, stał u progu szóstego roku życia. Miał za sobą bogate doświadczenie i zrozumiał oddawna, że życie jest inne, niż to sobie ludzie w młodych latach zazwyczaj wyobrażają.

Śmiał się już z tego, w co dawniej wierzył, że drewniany konik na biegunach źre słomę, albo że arlekin ożeniony jest z lalką! O, był wyższy ponad takie dzieciństwa! Teraz był mężczyzną, nosił krawatkę i prawdziwe szelki do spodni, i spoglądał na rzeczy ziemskie z pewnej wysokości. Piękny, kojący spokój spłynął na niego, spokój, który zwykle wielką poprzedza miłość.

Bo to była wielka miłość — jedna z tych, które głęboko wstrząsają charakterem i przeistaczają człowieka. Naturalnie, że nie chodziło tu o kobietę. Ale bo też tylko kobiety sądzą, że mężczyzna jedynie w kobiecie zakochać się może. W iluż to rzeczach może się prawdziwy mężczyzna zakochać! W dwudziestym roku życia kochamy się w dzieweczce, w trzydziestym w sławie (kokota w pstrych szatach i fałszywej biżuterji), w czterdziestym zaślepia nas idea, i dla niej zrywamy z przeszłością i przyjaciółmi...

Mając lat sześć — łatwo można zadurzyć się nazabój — w cynfolji. Tak stało się z Pawełkiem.

Pewnego dnia, kiedy byłem u niego z wizytą, rzekła mamusia: — „Poczęstujże Twojego przyjaciela czekoladkami". Pawełek usłuchał — trochę co prawda niechętnie, ale nie chcę tu nic złego powiedzieć o nim, gdyż, jak już nadmieniłem, jest moim przyjacielem. Przyniósł więc małą bombonierkę z resztką trzech lub czterech czekoladek, którą od babci lub cioci otrzymał. Jedna z nich opakowana była w cynfolję i lśniła w blasku zachodzącego łońca Nie namyślając się długo, sięgnąłem po nią, obrałem ją ze lśniącej powłoki, gdy wtem spostrzegłem, że mały mój przyjaciel śledzi ruchy moje z bojaźliwą uwagą i patrzy dużemi okrągłemi oczyma, które mają dzieci, gdy czegoś się domagają. Nie zrozumiałem tego spojrzenia i kiedy obrałem zupełnie czekoladkę, chciałem mu ją wetknąć między ząbki, ale on poruszył główką, przełknął ze zdenerwowania i rzekł cichutko: „Proszę srebro"! Cukierek nie zajmował go wcale, jedynie błyszcząca, lśniąca powłoka, która tak srebrzyście się skrzyła, była celem jego tęsknoty.

„To nie jest srebro — pouczałem go — to cynfolja. Czy ty to zbierasz?" „Naturalnie — odrzekł — mam już dużo" — tu wyciągnął stary kalendarz i pokazał mi z dumą swój ubogi skarb z czterech lub z pięciu pomarszczonych srebrnych papierków. „Ach — powiedziałem — jakie to piękne"! — Spojrzał na mnie: „A ty nie zbierasz cynfolji z czekoladek"?— „Moje dziecko, odwykłem od tego z biegiem lat, może dlatego, że za dużo czekoladek już jadłem, może też i dlatego, że wygasła już we mnie skłonność do cynfolji".

Nie zrozumiał mnie. Ale ja go zrozumiałem, gdy drżącemi łapkami chował wartościowe swoje papiery na piersi. Wziąłem go na kolana i rzekłem: „Jeśli tak lubisz cynfolję, można ci przecież parę arkuszy kupić". — „Kupić?..." Spojrzał na mnie dużemi, dziecinnemi oczyma. „Więc stanjol można kupić?" — Nie powinienem był tego mówić. Żałowałem już z chwilą, gdy się stało. Nie trzeba uczyć dzieci, że cynfolję można kupić. Zabiera im się spokój, a potem i czystą radość pragnienia. Bo stanjol z nieba lecieć musi, jak spadające gwiazdy letnich nocy. Cynfolja nie powinna mieć ceny rynkowej!

Rozważania moje były spóźnione. Już wybujały źdźbła tajemnej, przeolbrzymionej miłości. Skrył główkę o jedwabistych włosach na mojem ramieniu. Mamusia zostawiła nas samych — nie mówiliśmy ani słowa. Widziałem, jak biły żyłki na jego szyi, widziałem, jak nieruchomo rozwartemi, lśniącemi oczyma w dal spoglądał, hen, poza granice życia — w kraj baśni. Już cała duszyczka jego wypełniona była srebrzystą masą, w którą pakuje się czekoladki, która skrzy się, błyszczy, migoce, i którą tak niewymownie słodko jest posiąść... Cynfolja!

Zaczerpnął tchu, ramionkami objął mnie za szyję i rzekł błagalnie: „Proszę, kup mi arkusz cynfolji" — „Ależ naturalnie, serce, jutro ci przyniosę". — Zastanowił się chwilkę — „Nie, nie jutro, zaraz proszę".

Tacy jesteśmy wszyscy. Cynfolję musimy mieć natychmiast! — „Jeśli mamusia pozwoli, abyś ze mną poszedł, kupimy zaraz". Zesunął się z moich kolan i wybiegł. Konferencja trwała dziesięć minut. Służące musiały wydać orzeczenie o stanie pogody. Kucharka musiała zbadać termometr. Bona była za włożeniem dwu staniczków, ale mamusia sprzeciwiła się temu. Chłopców wychowuje się dla wojny. Na wojnie wszyscy noszą jeden staniczek. Wkońcu jednak musiał Pawełek włożyć parę grubszych buciczków, bo przedwczoraj padał deszcz.

Potem stanął przede mną w swojem długiem palcie, jak dorośli panowie noszą, w marynarskiej czapce i prawdziwych glacé

rękawiczkach, przymocowanych wstążką do kołnierza, bo Pawełek gubił je czasami. Gdy spostrzegł, że noszę rękawiczki bez wstążki, spojrzał na mnie nieufnie. Ująłem mojego małego przyjaciela za rączkę, i wyruszyliśmy po zdobycie stanjolu.

Ostatnie blaski dnia wiosennego leżały na mrocznych ulicach. Przechodziliśmy koło bocznej uliczki, zwróconej ku zachodowi, i tam leżało wieczornego słońca blade złoto. W głębi, gdzie dalekie domy tworzyły mroczne wrota, gorzał purpurowy, olbrzymi, baśniowy zachód.

Ten wieczór był odpowiedni do wyprawy po cynfolję. Kroczyliśmy poprzez złoto wieczornego słońca do lśniącego naszego celu. A ja myślałem, jak często ja sam w podobnych zamiarach snułem się przez wieczorne ulice. Jakże smutne jest otrzeźwienie, które czeka nas tam, gdzie szkarłatny zachód u mrocznych wrót stoi. Uścisnąłem maleńką rączkę, która jak ptaszę nieśmiałe, ciepło i ufnie w mej dłoni leżała.

„Czy jeszcze daleko"? spytał, spoglądając wgórę. Strzegłem się, by mu nie powiedzieć. Odrzekłem „Zobaczysz". Ja wiedziałem dokładnie, że cynfolję kupimy w sklepie papieru Müllera, lecz on nie powinien był nic o tem wiedzieć... Dążyliśmy szeroką, mroczną ulicą do jaśniejącego celu. Było, jak w bajce...

Milczeliśmy obydwaj. Przy wielkich przedsięwzięciach milczy się zazwyczaj. Od czasu do czasu spoglądał ku mnie wzrokiem pytającym. „Jeszcze nie"? Potrząsnąłem głową: „Jeszcze nie, ale już niedługo będzie..." A rzekłem to z tą wielką, piękną niedbałością, gestem, który zwykle mamy, gdy inni na zdobycie stanjolu ruszają.

Przybyliśmy do składu papieru A. Müllera, gdzie skrzętny subjekcik rozłożył przed nami stanjol. Pawełek stał zapatrzony w srebrne, skrzące arkusze. To był moment najwyższy jego miłości. Jeszcze szczęście nie było zapłacone, lecz już było pewne. Nie mógł wydobyć słowa, mógł tylko patrzeć, patrzeć, jak światło lampy spływało na rozłożony stanjol.

Kupiliśmy trzy arkusze; powiedziałem: „Zatem 5 dukatów"? i położyłem na stół 5 groszy. No, gdyby Pawełek był wiedział, jak mało jego szczęście kosztuje, byłby może już teraz wytrzeźwiał. Ale pięć dukatów. To musiało być szczęście prawdziwe, skoro było tak drogie. Chciałem schować zwitek, ale poprosił nieśmiało: „Proszę, pozwól mi to nieść". I niósł, niósł, jak świętość, w swojej małej, drżącej rączce.

Noc spłynęła na bronzowe dachy miasta i szarą ulicę ozdobiła iskrząca wstęga latarni. Po chwili zapytałem: — „I cóż teraz zrobisz z tą cynfolją"?

To też jest jedno z tych niemądrych pytań ludzi starszych i doświadczonych. Ale nato niema rady; gdy się jest starszym, nasuwa się mimowoli takie pytanie. Pawełek nie znalazł też odpowiedzi. Wyobrażał sobie, że rozłoży 3 arkusze srebrnego papieru i będzie patrzał na nie bez przerwy całe życie...

Stało się inaczej. Przedewszystkiem nie wolno mu było wogóle trzech arkuszy zatrzymać. Mamusia natychmiast dwa zagarnęła i powiedziała, że je schowa. Mamusia była rozsądną kobietą, która wiedziała, jak się urok stanjolu przedłuża. Więc zatrzymał tylko jeden arkusz, resztę wieczoru spędził rzeczywiście oglądając nabożnie swe jaśniejące szczęście. Gdy zmęczyło go patrzenie, wziął stanjol do łóżeczka i usnął z jedną łapką na swym skarbie. Miał różowe policzki we śnie, i uśmiechnięta błogość leżała wokół miękkich jak kwiecie usteczek. Bez wątpienia śnił o stanjolu. Zdaje mi się, że była to chyba najpiękniejsza noc jego życia.

Ta prześniona noc, to był rozkwit jego miłości. Już nazajutrz, następnego dnia rozpoczął się okres zwątpienia i trosk. Spoglądanie nie wystarczało. Chciał użyć swego stanjolu. Lecz cóż można z nim począć.

Poddałem nowy projekt. Będziemy wycinali złotówki ze srebrnego papieru. To już było coś! Wycinaliśmy tedy złotówki — Pawełek i ja. Najpierw okrągłe. To powodowało trudności. Postanowiliśmy więc wycinać złotówki czworokątne. To szło

prędzej, ale Pawełek nie mógł zaprzeczyć, że te kwadratowe listeczki, które każdej chwili lada podmuch wiatru zwiewał ze stołu, najmniejszego nie miały podobieństwa z twardemi, srebrnemi złotówkami. Znużony, opuścił duże nożyce. I już w tej chwili począł go sen wczorajszy nudzić. Ale tu bonie udało się bezwiednie raz jeszcze go zainteresować. Panienka była mianowicie strasznie wykształcona medycznie i ni stąd ni zowąd utrzymywała, że stanjol jest trujący. Mamusia była naturalnie zaraz za tem i uznała stanjol za najzłośliwszą truciznę. A więc trujący był też! Lśniący, drogi i trujący! To są rzeczy, dla których się życie poświęca. W tej chwili poczuł Pawełek, który już ziewał skrycie, że odtąd bez stanjolu żyć nie potrafi. Chciano mu go odebrać, płakał rozpaczliwie: — „Nie, nie odbierajcie, proszę, nie"! Panna medycznie wykształcona znalazła wyjście: — „Jeśli Pawełek włoży rękawiczki, wolno mu się bawić".

Czy bawił się kto kiedy stanjolem w rękawiczkach? Cóż to za przyjemność? Już następnego dnia miał Pawełek ostatecznie dość wszystkiego. Zgniótł pieniądze, któreśmy przed trzema dniami wybijali, i obrzucił niemi pannę Marję. Do tego cynfolja nadaje się znakomicie. Szkoda tylko, że się o tem dopiero przekonać można, gdy się do niej ochotę straciło. Ostatecznie panna Marja zgarnęła pozostałe resztki stanjolu i wrzuciła go do paki z węglami.

Ostatni kawałek złożył Pawełek starannie i z resztą pietyzmu schował go do książki z bajkami. Tak w późniejszym wieku chowa się stare listy — pamiątki miłości, która była cynfolją.

I w parę dni potem zapomniał Pawełek o wielkiej swej miłości, co w snach zrodzona, wśród trosk i łez jaśniejąc, kwitła i wreszcie w pace od węgla się skończyła.

A w rok potem znowu byłem w jasnym dziecinnym pokoju Pawełka. Pawełek miał bardzo dużo roboty. Siedział przy dużym stole i pisał na tabliczce, która była tak wielka, jak cały jego tułów. Przypatrywałem mu się, jak pisał. Czynił to z tą wielką, uroczystą powagą, wrodzoną małym dzieciom. Od czasu do czasu podnosił głowę i spoglądał zupełnie tak, jak to robią ludzie dorośli. Czuł się wogóle już dorosłym. Przed rokiem, mówiąc między nami, był jeszcze chłopczykiem, ale teraz, teraz był mężczyzną. Głupstwa, sny dziecinne, to leżało za nim tak daleko. Skoro się człowiek uczy pisać, proszę bardzo!... z głupstwami koniec...

Lecz siostra Pawełka, o rok od niego młodsza, siedziała przy swoim małym stoliczku koło okna, przerzucała starą książkę z bajkami. I otworzyła kartkę, gdzie niegdyś stanjol był pogrzebany. Blade złoto wieczornego słońca przemknęło po nim jaśniało, srebrzyło się, lśniło, a dla malutkiej wszystko było nowe, dziwne. „Ach—zawołała z błyszczącemi oczyma—srebro"... Pawełek przerwał pracę, spojrzał: „Co? srebro? Aha, tak"! — i z wyniosłą ironją, jaką w okresie pierwszej tabliczki dla naszych marzeń młodzieńczych mamy, roześmiał się ostro i pogardliwie.— „Cynfolja"! I pisał wielkie „H".

Jak powiedziałem, jest to historja pewnej miłości — ach, właściwie — każdej, łaskawa Pani.

RAUL AUERNHEIMER
przekład O. W.

Pani

PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE I ESTETYCE ŻYCIA

Nr. 7—8 LIPIEC, SIERPIEŃ 1923 ROK II



LADY MAX MULLER, MAŁŻONKA POSŁA ANGIELSKIEGO

HEL W LIPCU

WZNIOSŁO SIĘ SŁOŃCE Z TOPIELISK MORZA PONAD WSZELKIE SŁOWO UWIELBIENIA PIĘKNIEJSZE, RZUCAJĄC RADOŚĆ ŻYWOTA W LĄDY I W MORZA.

POCZUŁY NIEZNANĄ NAM ROZKOSZ RÓŻE W OGRODZIE I WYDAŁY W SPAZMACH ROZKWITU PACHNĄCE WESTCHNIENIE.

ROZRYWA SIĘ LEPKA CIEŚNIA ICH PŁATKÓW, GDY PO DŁUGICH DESZCZACH SPADŁA NA NIE W TEN CZERWCOWY PORANEK SFERA UPAŁU.

NIEWIDZIALNY KOS, PUSTELNIK UKRYTY W ZIELONYCH GAŁĘZIACH SOSNY, POCHYŁEJ OD WIATRÓW ZACHODU, KTÓRA DLAŃ PUSZCZĄ JEST MACIERZYSTĄ I OJCZYZNĄ, WITA SŁOŃCE UWIELBIAJĄCYM POŚWISTEM.

KARMAZYNOWY KWIAT BEGONJI DŹWIGA KIELICH SWÓJ Z POD PIASKU, KTÓRYM GO CHŁOSZCZĄCE WIATRY I NAWALNE DESZCZE PRZYBIŁY.

WYSUWA SIĘ Z ZA CIENIA SOSNY, ISTNY ŻEBRAK Z MROCZNEJ KRUCHTY KOŚCIOŁA, STUKAJĄCY SWEMI KULAMI, W POŚPIECHU NA ŁEB NA SZYJĘ, ŻEBY ZOBACZYĆ LŚNIĄCE KOŁA KARETY, W KTÓREJ KRÓL ANGLJI W MAJESTACIE SWYM SZYBKO PRZEJEŻDŻA.

WZNIOŚLEJSZY PONAD WSZELKIE SŁOWO UWIELBIENIA JEST POWRÓT SŁOŃCA.

WIECZNY JEST I NIEZMIENNY, ZAWSZE TEN SAM, A NIGDY, ANI O JEDNĄ JOTĘ, ANI O JEDNĄ KRESKĘ NIE MNIEJ OLŚNIEWAJĄCY I BUDZĄCY ZDUMIENIE, JAK PRZED NIESKOŃCZONYM OCEANEM CZASÓW.

SIEJE OTO OBŁOKI PYŁU I ZAPŁADNIA DZIEWICZE KŁOSY ŻYTA NA KĘPIE OXYWIA.

PRZYPĘDZA ŁAWICE ŚLEDZI KU WYBRZEŻOM JASTARNI.

WYCISKA LEPKIE SOKI Z SZYSZEK MŁODOCIANYCH SOSNY.

OTWIERA WYSMUKŁE PĄKI NADMORSKICH GOŹDZIKÓW I WYDOBYWA Z NICH STRZĘPIASTE PŁATECZKI, NAJDELIKATNIEJSZEMI KRESKAMI RÓŻU NIKLE BARWIONE.

ZBUDZIŁ ZE SNU ŻÓŁTEGO MOTYLA I KAZAŁ MU W OBŁĘDZIE SZCZĘŚLIWYM POLATAĆ NAD SZAFIROWEMI FALAMI MORSKICH PRZESTWORÓW.

STEFAN ŻEROMSKI

T. GRONOWSKI



Pani wyjeżdża...

Pani wyjeżdża na lato, bo tak się dzieje od czasów, kiedy Pan Bóg wymyślił to nieszczęsne lato, a zaraz potem kobietę. Wyjazd ten, zwany w Małopolsce „wyjazdem do Kąpiel", w dziennikarskim patetycznym żargonie „wyjazdem na wywczasy", a w słowniku familijnym „wyjazdem do ciężkiej cholery", albo „wyjazdem, djabli wiedzą naco, poco i zaco? — odbywa się w terminach niezmiennych, jako ruch naturalny i jako parcie instynktu. Są to w naturze okresy stałe, normowane przez instynkt; tłumny ciąg kobiet „na lato" niczem się nie różni w technice swojej i zwyczajach od znanych w naturalistyce i wszechstronnie zbadanych wędrówek węgorzów, śledzi, sardynek, łososi i fok, nakazanych przez nieugięte prawa doboru naturalnego i żądzy miłosnej.

Ze względu na nieco wyższy rozwój gatunku i na nieco wyższy stopień inteligencji człowieka, niż inteligencja węgorza, w podobieństwie tych wędrówek są jednak pewne odchylenia. Oto foka, łosoś, śledź i węgorz zawsze wiedzą, dokąd pojadą, aby robić to, co człowiek robi zawsze, ale najczęściej w lecie. Pani natomiast nie wie tego nigdy. Mądra natura powiada do śledzia: Pojedziesz tam gdzie ja ci każę! — do pani zaś powiada: Dokąd pani raczy pojechać tego roku? — Wersje o ślepem okrucieństwie natury są zwyczajnem gadaniem.

Wobec takiego postawienia kwestji natura w niesłychanej mądrości swojej pobudza w pani do wysiłku wszystkie jej władze intelektualne, porusza w niej wszystko, aż do głębi i dokonywuje tego cudu, którego dotąd naturaliści zbadać nie mogli: zmusza panią do intensywnego myślenia. Okres ten trwa w naturze kobiecej mniej więcej przez dwa miesiące, od maja do lipca, chociaż są naturaliści twierdzący, że w warunkach odpowiednich zaburzenia takie w duszy kobiecej dają się zauważyć już w kwietniu.

Około początków lipca wybucha w pani niepowstrzymany pęd do wędrówki, jeden z najbardziej fenomenalnych ruchów, jakie można było zaobserwować w naturze. Ścisłe obserwacje wykazały, iż te odruchy są tak silne i nieodparte, że nie można w ich wyładowaniu dostrzec psychologicznego motywu, tak są wybujałe, nagłe i katastrofalne. W tych wypadkach ostrych, pani ładuje na wóz meble, kufry, łóżka, kołyski, lampy, dzieci, miotły, kubły, służącą, materace i kanarki, i z wypiekami na twarzy wyjeżdża za miasto. Naturalną reakcją po tym wysiłku jest płacz, spazmy i rozpacz. Wypadki takie zdarzają się jednak coraz rzadziej.

Naogół ten pęd letni jest już unormowany i odbywa się na oko spokojnie. Falę tę mądra przyroda roztropnie rozdziela na dwie strony, aby uniknąć przykrego natłoku i aby każda gromada wędrująca, odpowiednio rozmieszczona, miała do dyspozycji odpowiednią ilość osobników płci odmiennej, rzecz prosta, że do noszenia parasolek i do tańca. Natura bowiem w celach swych jest przeczysta, tylko ludzie są czasem niechlujni.

Rozdział taki wedle odwiecznych praw i nakazów odbywa się ściśle tak: pani, mająca piękne nogi, piersi podobne do ludzi (nie mam pod ręką porównania!) brzuch z „Pieśni nad pieśniami", a resztę taką, że mogłaby stanąć naga w Muzeum Neapolitańskiem w miejscu, gdzie stoi Wenus Kallipyga,— taka z nakazu przyrody jedzie nad morze.

Pani, która tego wszystkiego nie ma, to znaczy właściwie ma, ale ma niewłaściwie lub w niewłaściwych proporcjach, trochę za nisko, lub za wysoko, której piersi nie są, jak mówi Pismo „jako dwa jelonki młode", lecz jak stare dwa wypchane jelenie, a resztę wyłupiastą, lub mistyczną, bo i to być może, — taka pani jedzie pod miasto, do Truskawca, Krynicy i Ciechocinka.

Pani, która ma górę nieciekawą, a sfery niższe piękne, jedzie do Zakopanego. Jakże mądra jest przyroda! W górach nigdy nikt na kobietę nie patrzy zgóry, tylko zawsze zdołu. Kiedy pani leci w przepaść głową n a d ó ł, głowa najmniejszego w ruchu tym nie ma znaczenia, więc kobieta umarłaby ze wstydu, gdyby lecąc w przepaść, miała nogi nieforemne.

Oto jest podział ścisły i słuszny, którego panie trzymają się instynktownie. Lecz, o miły Boże!—

nie wszystko się jednak dzieje, jak się dziać powinno; natura pani, zasadniczo buntownicza, buntuje się nawet przeciw odwiecznym nakazom i oto nauka stwierdza z nieukrywanym żalem, że widziano nad morzem monstra, a w górach Najady. To też zawsze można ujrzeć na piasku coś, o czem myślisz: oto morze wyrzuciło na brzeg samicę wieloryba, albo zdechłą fokę! Nie! to jest pani, która nie zastanowiła się nad tem, że powinna była pojechać do Ciechocinka. Taki drobiazg, a wstyd! Z drugiej zaś strony widzisz w Zakopanem panią, która ma górę tak cudowną, że myślisz sobie: czemuż, ach czemuż mnie już odłączyli! — a nogi ma, jak bilard, albo jak pomnik Wdzięczności za mąkę amerykańską na Krakowskiem Przedmieściu. I to ma być Kozica? Dlaczego nie pojechała do Krynicy? W Krynicy natomiast widać panie, które tu zakryte, odkryte zaś w Gdyni byłyby radością dla oczu. Taka nie chce jechać do Gdyni, bo ma swoje śmieszne racje. — Kto mnie tam będzie oglądał? Jeden stary ksiądz i dwa gołe literaty... — tak powiada.

Poza temi wybrykami, które zresztą natura dopuszcza z niezbadanego kaprysu, wszystko odbywa się spokojnie i według programu. Jak za ławicą śledzi ciągną wieloryby i foki, szukając, coby pożarły, tak za ławicą pań ciągną lwy morskie, foki wąsate, wieloryby z astmą i mewy, ptaki niebieskie, bez programu, bez planu, bez tradycji, bez porządku, idjotycznie; są wszędzie i polują wszędzie, to też czasem upolują jakąś mizerną sardynkę, rybkę, która jak wiadomo, nie ma nigdy głowy.

Okres przygotowań do takiego letniego pędu jest tylko dodatkiem, złożonym z deseru i stęchłej kasarni. Tęsknota za szczęściem jest szczęściem, innego szczęścia niema. To też pani jest szczęśliwa w okresie przedwstępnym.

Rozkosz niepomierną budzi pytanie, dokąd pojechać, — burzy krew zagadnienie: „czy ta zielona małpa, także tam jedzie? Tam jej jeszcze?.. Naturalnie, gdzie ja, tam i ona... — podnieca wiadomość: „...Ach, i pan? To się spotkamy!" — mile zdumiewa wieść: „...Znowu podrożało? Tam tak zawsze..." — wywołuje okrzyk nowość: „Murzyni grają w Morskiem Oku? Boże drogi..." — aż wreszcie mówi się z nieukrywaną niecierpliwością: „Makuszyński jedzie do Zakopanego? Psiakość, znowu napyskuje... Poco go oni tam wpuszczają?"

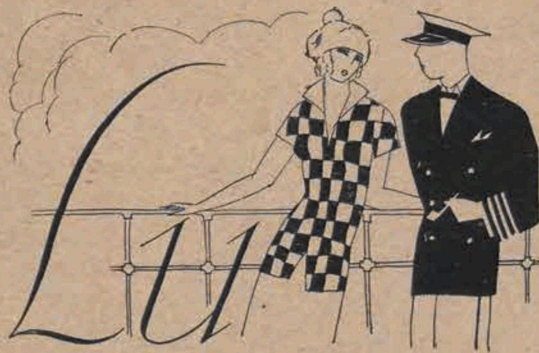
Ja się także temu dziwię i jadę do Zakopanego, sprawdzić, czy mi się udało nawrócić dusze chrześcijańskie i policzyć Żydy. Będę mieszkał w Sanato, misjonarz bowiem nie jedzie nawracać do nieba, tylko między piekielniki. A jeślibym, wbrew klasyfikacji powyżej wyłuszczonej, spotkał w górach kobietę z grubemi nogami, nieszczęsna będzie jej godzina.

Jest tam teraz kilku moich przyjaciół, sami malarze, a kilku jeszcze djabli przyniosą. Wystarczy do zrobienia porządku... Bo tylko pani piękna, miła, nadobna i inteligentna ma prawo śpiewać w Zakopanem, wdzięcznie wyjąc, aby było echo: „Pod górę mnie wiodą, pod górę mnie wiodom, ej, wszystko mi się widzi, że mnie kochać bedom!"

KORNEL MAKUSZYŃSKI



BALLADY IMION



Jak lubo bujać tu na yachcie,
Jak struny lutni liny lnu,
W lazurze nieba żagla spłachcie,
Leciutko buja: I love you, Lu.

W lazurze nieba mew leluje,
Lub marszcząc fale bóstwo snu.
Lukrecje w białe alleluje,
Lazury morza: I love you, Lu.

Usnęły małże i szczerzuje,
Usnęły zgrzyty wszystkich śrub,
W lazurze fali yacht maluje,

Whistlera obraz: white and blue,
Bujając, nuci, czuli, tuli,
Aj, luli, luli: I love you, Lu.



Niebo, jak szara zgrzebna koszula,
Samotne zamku sczerniałe ściany,
Strumień się sączy, jako krew z rany.
W jesiennym mroku czeka Urszula.

Męt listopadu wierzby utula,
Zmarły tęsknoty. Jak woda chłodne,
Serce nie bije, oczy nie głodne,
W zmroku jesiennym stoi Urszula.

Groźny pan zamku odszedł na łowy,
Trąby zamarły w pogłos echowy,
Słońce za chmurą jak biała kula,

Białe i puste dalekie drogi
Nikt nie przybywa, umilkły rogi
I w przerażeniu czeka Urszula.





W południa krasie wonnej, dzwonnej i upalnej
Kiedy dzwońce ćwierkają niepomne upału
I cztery nutki cedzą przez liście pomału,
A wszystko inne drzemie w łonie ciszy walnej,

Kiedy obłok jedyny, strwożony przed Panem,
Dobiegłszy do zenitu, cofa się i bladnie
I wreszcie, zanim z niego kropla dżdżu upadnie,
Rozwiewa się na wietrzyk leciutki nad łanem,

Kiedy krok senny bydła przez wiejskie ulice
Dalekiem echem dudni na zaspanym kurzu
I kwiaty, by im słońce nie zbieliło różu,

Zamykają swe płatki, jak senne źrenice —
Gąszcz zboża przed mą chatą nagle się odsłania
I sama jak ten upał zbóż, przychodzi Hania.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ



NOC W ŁAZIENKACH

„Stoi jawor zielony“ nie było tylko rzewną piosenką, lecz rzeczywistością, póki magistrat w swej pieczołowitości o zdrowie i urodę miasta, nie kazał tego pięknego jaworu ściąć.

Ale żeby młodemu jeszcze ale już wyniosłemu drzewu nie było markotno iść samemu pod topór, litościwi ojcowie stolicy kazali pod mojemi oknami ściąć jeszcze sześć takich krzepkich młodych jaworów. Więc mi się za oknami zrobiło szaro, duszno i po warszawsku głupio.

Z rozpaczy tedy pojechałem do Łazienek Królewskich. Jeszcze mię wpuszczono. Przypadkiem nie mieszkał tam ani spacerował żaden obcy królik — nie mówię o tych królikach, których jest coraz więcej, ale o tych, co siedzą na tronach i których jest coraz mniej — więc wolno było zbliżać się do pałacu. Usiadłem.

To i owo zmieniło się tutaj w ciągu ostatnich lat dziesiątków. Przedewszystkiem nie było jeszcze wtedy pani Adolfiny Paszkowskiej z jej chronicznemi „poematami tanecznemi“ na wyspie, a jej panienki dopiero się wykluwały. Powtóre nie urządzano w Podchorążówce wystaw malarskich i wogóle wspaniały, rozrosły park nie był dalszym ciągiem miasta. Był dziki, zapuszczony. Jak knieja. Wtedy to swobodnie można było wykradać z pałacu dzieła Baciarellich, piękne obicia i meble, zaś z Nowej Pomarańczarni co najpiękniejsze okazy drzew egzotycznych, ażeby je wraz z obrazami przewozić albo do Petersburga albo do złodziejskiego księstwa Marji Andrejewny Hurko.

Wtedy pod każdym względem panowała w Łazienkach wolność. Nieraz zdarzało się zapóźnionemu gościowi, że mu z czarnego wnętrza krzaków błysnął ognik palącego się papierosa, lub jakiś bieluśki skrawek — prawdopodobnie bielizny — nasuwał różnorodne domysły.

Park stał wtedy przez całą dobę otworem. W maju i czerwcu snuły się gromadki akademików, przygotowujących się do egzaminu przy bladem świetle gwiazd. Wtedy wielkie pole pomiędzy Nową Pomarańczarnią a granicami belwederskiemi było zarosłe mietlicą, jak step — burzanami i można się było w niej schować. Nocą — zapach kwaśnej łąki i opary wznoszące się nad nią.

Nikt nie krępował niczyjej fantazji. Pamiętam doskonale, jak młodzieniec, asystując młodej pannie, wyśpiewywał głośno znaną mi dobrze piosenkę Marcela Legay'a:

J'ai pris un bluet, fluet,
Éclos parmi l'herbe,
Et quelqu'un m'a dit: Mon Dieu,
Il n'est pas de bleu, plus bleu,
Que ce bleu superbe i t. d.

A przy tej sposobności tak serdecznie fałszował, że życzyłem mu z całego serca, ażeby się ich miłosny plan nie udał. Jakoż w tej chwili wyrósł jakby z pod ziemi milicjant i, zrównawszy się z młodą parą, rzekł głosem raczej ostrzegawczym, niż groźnym — pamiętam jak dziś:

„Pojtie, pojtie tak zdorowo, a to was arestujut“!

Ale nic im złego nie zrobił, tylko ich nieco spłoszył. Już więcej fałszywego śpiewu nie słyszałem.

Częściej się zdarzało napotykać takie same pary, ale pogrążone w głębokiem — tak się przynajmniej zdawało — milczeniu. Było już bardzo późno, i pewnie, podobni w tem do Romea i Julji, namyślali się, czy słyszą zdala słowika jako pożegnanie wiosennej nocy, czy skowronka, jako powitanie srebrzącego się dnia.

Jednemu z marzycieli łazienkowskich, Wiktorowi Gomulickiemu, przywidziało się w owym czasie, że jakiś smętny romans rozegrał się w jednej z końcowych alej, w pobliżu wielkiego kamienia, służącego za ławkę. Napisał nawet wdzięczną nowelkę, skonstruowaną z napisów, tęsknych słów i odpowiedzi, wyciętych na białej korze brzózki. Szukałem potem tego drzewa i znalazłem je, ale napisy były bardzo nieprzyzwoite i bardzo mię zgorszyły. Nie wierzycie?

Otóż dzisiaj, w epoce wycinania jaworów i dewastowania miasta z roślinności (objaśniano mię, że czyni się tak z powodu drożyzny opału, a Karol Frycz opowiadał mi, że tak samo uzdrawia się finanse miejskie na plantach w Krakowie), wszystkich tych idyll niema.

Dlaczego? Park zamykają na noc, otwierają zaś tylko dla złodziejów, to jest nie dla złodziejów profesjonistów, tylko dla sąsiadów Łazienek, którzy zabierają sobie ławki a przynajmniej odbijają poręcze ławek. Spróbuj, czytelniku, usiąść kędyś dalej, za stawem i łódkami, tam gdzie drzewa są najwięcej rozgałęzione i wybujałe a krzaki najwięcej dzikie, gdzie jest świeżo i dobrze.

Eros i Psyche uciekli więc z Łazienek, zresztą wypędza ich na noc nieubłagany cerber, — który daje się zmiękczyć tylko przeliczeniem prośby na złote polskie.

Więc Eros i Psyche siedzą i kochają się nazewnątrz parku, na podmurowaniach krat. Podobno „i tak można“, jak mawiał jeden z profesorów; przyszedł on do kliniki szpitalnej za wcześnie i zastał dwoje urodziwych słuchaczów, którzy się w wylewie uczuć wcale klasycyzmu nie wyrzekli.

W ogólności, jeśli krata żelazna była symbolem niewoli długoletniej narodu, to miłość na kratach jest symbolem wyzwolenia — wyzwolenia trochę niewygodnego jak każde zresztą wyzwolenie, ale bardzo płodnego w błogosławione skutki.

Miłość w Warszawie, roku pańskiego 1923, oplata kraty ogrodów jak girlandy. Sprobujcie te sploty policzyć.

CEZ. JELENTA

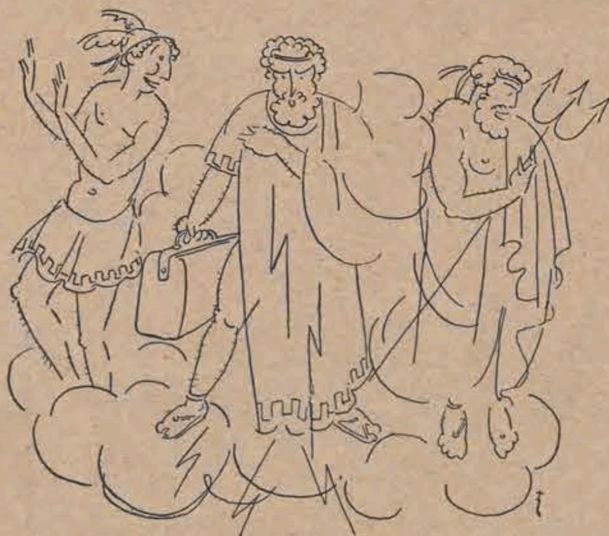


NARODZINY POLSKIEJ AFRODYTY

Wobec nawiązania między Polską a Grecją przyjaznych stosunków dyplomatycznych, skłoniono starych i dobrych greckich bogów do stworzenia klasycznej polskiej Afrodyty celem podniesienia w tym zimnym hiperboryjskim kraju podupadłego kultu dla pięknych kobiet.

Uznano przytem, że narodziny polskiej Afrodyty powinny się odbyć w najciaśniejszem kółku bogów, dawnym sposobem, uświęconym tradycją i wypróbowanym w starożytnej mitologji.

W tym celu przyjechał nad polskie morze do Gdyni: gromowładny Zeus, rozpuściwszy tymczasowo na urlop wiele piorunów, i ponury władca morza Posejdon. W wycieczce wziął również udział sprytny i obrotny Hermes, który zaraz w Polsce



wpadł na genjalny pomysł przypięcia do swych sandałów zamiast starych niepraktycznych skrzydełek, nowych obcych walut, zakupionych hurtownie na zapas, które przy locie w górę okazały się znacznie szybsze i wytrzymalsze.

Wszyscy trzej bogowie, pokrzepiwszy się ambrozją, wyszli na plażę i zaczęli się rozglądać po smutnej okolicy, wreszcie pierwszy rzekł Zeus:

— Niech was wszystkich porwą do ciężkiego Hadesu! Posejdonie, to polskie morze jest strasznie zimne. Ten wiatr br... br!...—i dla rozgrzania uszczypnął się kilka razy w łydkę.

— Potężny Zeusie—odrzekł Posejdon—to ten pędziwiatr Eol porozpuszczał tu wszystkie Zefiry, trzeba tu nagwałt sprowadzić naszego kochanego Apollina na rydwanie z promienistemi rumakami.



— Obejdzie się, zaczęlibyście zaraz grać w totalizatora, ja już was znam, i Hermes by cię znowu orżnął.

— Każdy z nas lubi co innego, ja naprzykład nigdy nie napastowałem Ledy i ze strachu przed Herą nie przemieniałem się w łabędzia.

Zeus zmarszczył groźnie brwi i już chciał olimpijsko zakląć, ale Posejdon wtrącił się szybko do rozmowy, nie chcąc dopuszczać do gorszącej zwady między bogami.

— Przypatrzcie się pianie na tem morzu, to istne kpiny z nas, przecie z takiej rzadkiej piany nie można urodzić boskiej Afrodyty...

— Ja tu już poradzę! — zawołał przebiegły Hermes i wynajął na dniówkę dwanaście nimf,



które przez trzy dni biły umiejętnie pianę, odtrącając i rozganiając łapczywe na nią bałwany morskie. Potem sekretnie wsypał do gęstniejącej piany funcik kokieterji, łucik sprytu i ziarnko cnoty, Posejdon poklepał to wszystko trójzębem, a Zeus nadął się głęboko i chuchnął.

I stał się cud. Z zielonych fal morskich wypłynęła, jak ostryga na muszli, naga, zbudzona ze snu, polska Afrodyte. Z ramion spływały jej długie, jasne, jak len włosy, a na twarzy zakwitł czarujący uśmiech, na widok którego nawet rybki zaczęły tańczyć shimmy i przewracać ucieszne koziołki.

— Co?.. ale się nam udała!.. wykrzyknął dumny z siebie Zeus.

— Za pozwoleniem, to jeszcze nie wszystko! — odparł przewidujący Hermes — Teraz sprawimy jej piękny kostjum kąpielowy i niech się w nim pluska w morzu. Właśnie zaczął się sezon i zjeżdżają się warszawiacy. Jak Zeusa kocham, ta kobieta zrobi karjerę i wyjedzie stąd z brylantami autem do Warszawy!...

Potężna wola bogów spełniła się co do joty.

RUSTAN



TRYPTYK

I. CIECHOCINEK

ON. ONA.

Panie... Pan mnie upoił
odurzającym winem swoich słów!
Pan mnie w poezję ustroił,
że, zda się, księżyca nów
w mym panieńskim pokoiku,
jak w cudownym alembiku
gra tęczą... Oh, dalej mów!

ON *(bardzo z siebie kontent, na stronie)*
— Jam ją zaniepokoił.

ONA *(accelerando)*
— ...Panie... Pan mnie uzdrowił
balsamami wierszy swych,
gotowam że iść pod sztych
...pańskiej woli! Płonę cała —
chcę ci dać ofiarę ciała —
chcę, byś mnie sobie poślubił,
byś się mną, jak bluszczem, owił —
byś mnie pokochał, polubił —
Wziął... Styranizował... Obił!...

ON *(trochę niespokojny, na stronie)*
— Do licha! Com ja narobił?!...

ONA *(w ekstazie)*
— Chcę iść z tobą w pachnące sady,
chcę, by nam pachniały winogrady,
chcę, by nam dojrzewały powoje —
chcę upaść w ramiona twoje!

ON *(bardzo niespokojny)*
— I zawsze tak razem... We dwoje?

ONA *(mocno)*
— Tak jest: we dwoje!

ON *(po króciutkiej przerwie, z determinacją, odchrząknąwszy)*
— Hm. Proszę pani. Jestem wzruszony...
Doprawdy... Czuję się pani nieskończonej
miłości — niewart. Hm, owszem, jestem roz- [marzony
i — jak Pani to ślicznie powiedziała —
duchowo pani poślubiony.
Ale — *(tu się zawahał, poczem mówi prędko)*
Ale ja niewart jestem takiej żony!

ONA — Wart!!!

ON — Niewart. — Pani pozwoli: dokończę.
Pani ze mnie robi Herosa,
Junoszę, Janusza, czy Bończę —

ONA *(z piękną egzaltacją)*
— Moja psyche złotowłosa
podąża za tobą, bosa —

ON (stanowczo)
— Pani pozwoli, że skończę:
Otóż właśnie to, że bosa.
I ja bosy — i ty bosa...
Trudno nam tak iść w niebiosa,
Garnitur teraz kosztuje
blisko pięć miljonów marek —
ONA (jak wyżej)
— Bądź mocny, jak był ksiądz Marek —
ON (zniecierpliwiony)
— Już zastawiłem zegarek.
ONA (jak wyżej)
— To nic!
ON (jak wyżej) — Pani łatwo gadać,
lecz ja niemam na czym siadać...
ONA (śpiewnie)
— To nic!
ON — Może... kwestja gustu.
Ja nie umiem żyć powietrzem,
popijać wodą z upustu,
mając w palcie same dziury!
(widząc jej giest protestujący)
— Wybacz, luba. Muszę przyjąć
miejsce w Departamencie kultury.
ONA (tragicznie)
— Tym słowem, od wiatru letszem,
strącasz mnie ze złotej chmury —
(chwyta za flakon z trucizną)
— Niegodny! — zwiodłeś mnie... konam
przepełniona sentymentem!
(Pada na ławkę, wypija truciznę,
krzywi się, wydobywa lusterko i poprawia
sobie koafiurę)
ON (z westchnieniem)
— Idę zostać referentem.

II. ZAKOPANE

ON. ONA.

ONA (w rozterce)



rystokraty serce — czy upiora —
masz w piersi, luby?
Omdlewam z tęsknoty,
bo nie wiem, czy mnie nie zmylą
[rachuby,
czy na mój palec włożysz szczerozłoty sygnet?—
Gdy jestem wprost z miłości chora,
pełna zapytań i pełna domysłów,
widzę poprostu dzień, w którym się złamie —
sen...
Wówczas nawet me różane ramię
i zapach włosów nie porwie twych zmysłów,
gdy się przekonasz, że kurlista kłamie...
I widzę jeszcze chwilę, całą czarną,
gdy wypis z metryk wziąwszy w wąskie palce,
odkryjesz nagle, że nie w zbrojnej walce
a w czasie strajku — legł mój tęgi dziad!
Dziad mój, niestety, wypiekał zakalce:
zato go kiedyś zbuntowany drab
francuską strucla zabił w uniesieniu...
Oh, mój kochanku!... Omdlewam w pragnieniu
i razem szlocham, pragnąc z tobą dziecka:
czemuż ma przeszłość niedość jest szlachecka
i niedość godna twych tygrysich łap?... *(mdleje)*

ON Ja mam trzy tysiące hektarów w Poznańskiem.
Jestem wnukiem kasztelańskim,
w żyłach mam rtęć — nie twaróg.
Ojciec mój zasiadał w izbie panów.
Stryj za wzorową hodowlę baranów
zdobył pięć odznaczeń i dwa medale.
Przydomek mam: starża, herb: Raróg.
— Dziecko. Ani ci ganię, ani chwalę,
że się wywodzisz z mieszczaństwa.
Ale, dziecko, rozumiesz doskonale,
że mam obowiązki wobec państwa!
Narodowi potrzeba arystokracji
do obsadzania dyplomatycznych posad.
Inaczej się ten świat ruszy z posad
i wytworzy się niezdrowy — osad.
No, powiedz, czy nie mam racji?
Owszem, ja mogę z tobą żyć
(na wiarę)
ale nie mogę żyć z tobą w stadle.
Sam lekceważę ten kram,
Gentry, nobless'y i Adle —
lecz robię z siebie ofiarę.
Trudno.
Nie można jednocześnie być
Ambasadorową — i piekarzówną.
ONA — Umieram!
(Faktycznie robi się jej niedobrze i w dniu
tym nie tańczy w Morskim Oku.)
ON (gorzko)
— Niestety! Ja muszę jeszcze żyć!
(Wyjeżdża do Londynu).

III. HEL

ON. ONA.



zemu jesteś taki smutny,
przyjacielu?
ON—Helu... Niedobrze
[dzieje się na Helu!
Żeby to wszyscy djabli
[wzięli:
Zadużo osób kręci się
[przy Heli.
Nie poto przecież Haller
[z morzem się zaręczał,
żebym tu we dnie wzdychał, w nocy jęczał —
— Helu — Mam w życiu jeden tylko cel —
Helu! Ja błagam cię: opuśćmy Hel!
ONA — Mój drogi. Jesteś niedość patrjotyczny:
przytem, zaręczam ci: ten Hel jest śliczny.
Ile tu do zrobienia... Jaki tłok
problemów — nie wyczerpiesz tego w rok!
Kaszubów trzeba spalszczać; tu i tam
chodzić na Garden-party młodych dam;
trzeba studjować fol kolor, język, strój —
mniej znamy przecież Hel, niż Guarda-fuj!
Dziesiąta rano — kąpiel. Potym loncz.
Potem przechadzka, objad. Dancing. Poncz.
Potem na pustej plaży tête a-tête —
ON (z furją)
— Poco tu Józef Haller z wojskiem wszedł?

. . . .

ONA — Nie kochasz skarbów ziemi, która Cię wydała:
obcy ci trud Stefana, tradycja Kolberga!
Wywyższasz nad Zachętę Pałac Kronenberga
i nie chcesz, bym się tutaj publicznie kąpała!?
Wiesz, kim jest Lilpop, Rudzki, Norblin, Rohn,
[Zieliński,
spekulujesz od roku na akcjach Polbalu —
a nie chcesz mówić ze mną o maskowym balu? —
Wybacz! Twój światopogląd jest zgoła... mu-
[rzyński!

ON — Wybornie. Dziś réunion. Pójdziesz tańczyć
[shimmy?
ONA — Ja myślę! Idą wszyscy — i ja pójdę z nimi.
ON *(z rozpaczą)*
— Zatem ja stante pede utopię się w Gdyni!
ONA *(przezornie)*
— Port nie gotów!
ON *(jak wyżej)* — Nie szkodzi! Rozpacz cuda czyni!
*(Zaczym on rżnie do Zoppot, w Kasynie się zgrywa
a ona tęskni za nim i jest nieszczęśliwa).*

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI



Pamiętasz, droga pani? Było to przed laty,
Kiedy w duszy nam kwitły wszystkich wiosen kwiaty
Kiedyśmy słońce mieli zamiast serca w piersi,
I od ptaków wolniejsi, i od kwiatów szersi
W kąpielowym zakładzie bawiliśmy społem,
Spędzając lato rajskie, jak anioł z aniołem,
I kochając się pono gorąco, głęboko,
Chociaż miłość pod szczęścia kryła się powłoką,
Jak się kryje wzruszenie w oku, co się mruży,
Jak się kryje kwiat pełny w ślicznym pączku róży.

Snać, ażeby promienie przygasić krwi młodej,
Lekarz pić nam zalecił z jednych źródeł wody,
Więc spełnialiśmy razem w czas rośny przeźroczy
Nasze kubki, szczęśliwie patrząc sobie w oczy.
A potem na werandę miejscowej kawiarni
Szliśmy kawę pić smaczną, weseli, figlarni,
Jak ptakowie poranni śród szczebiotów gniazdka...
I tam, gdy już na stole zjawiały się ciastka,
Regularnie pies-brytan, stworzon na przybłędę
Do nóg naszych potulnie wpełzał na werandę
I żebrał wilgotnemi poczciwie oczyma
O okruch, co nakarmić miał jego, olbrzyma!
Więc w hojności szczęśliwej codzień go ciastkami
Okarmialiśmy, szczęściem nasyceni sami.
Dziesięć, piętnaście ciastek, czasem do dwudziestu
Znikało w paszczy, jako muchy, bez szelestu,
A myśmy się cieszyli i śmiali, jak dzieci,
Że brytan ciastka zjada — że słońce tak świeci.

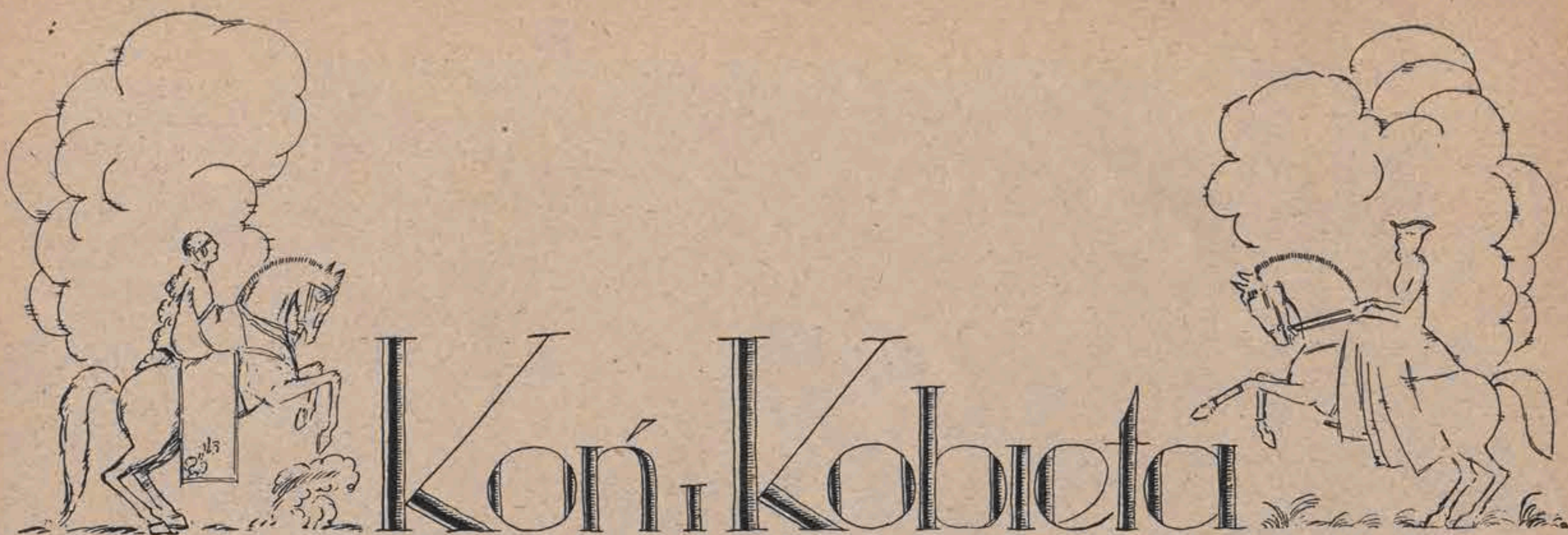
Potem ciebie straciłem z oczu, jak się traci
Sen czy obłok o jakiejś prześlicznej postaci...

Po latach wielu, wielu grzmiącego potoku,
Spotkałem ciebie znowu gdzieś na *five o'clock'u.*
Po latach, gdy wyprzędła się złota powiastka,
Gdy czas - brytan pochłonął wszystkie nasze ciastka:
Tyś już żoną miejskiego była dygnitarza,
Jam — jam poznał cierń wszelki, który życie wraża.
I milczeliśmy, patrząc na siebie, tak niemi,
Jak dwa sfinksy, zasnute wiekami całemi...
Wreszcie — pierwszy, by zerwać z tym niezręcznym stosem,
Ozwałem się poważnie, drżącym nieco głosem:
„Jak się szanownej pani zdaje (rzekłem), czyli
Ów pies... tam... któregośmy ciastkami karmili,
Żyje jeszcze?..." Spojrzałaś oczu ciepłem złotem,
Potem głowę zwiesiłaś na chwilę, a potem
Z wdziękiem smutnym, z wymową pół skrytą, pół jawną,
Odrzekłaś: „O, nie, panie! Zdechł pies, zdechł pies—dawno!"
I znowu pochyliłaś głowę — i w topieli
Niepowrotnego duszą znowuśmy tonęli.

I odtąd, ile razy spotykam cię w tłumie,
Śród gwaru życia, które sieje nie rozumie,
W promieniu brylantów jaskrawych i kolji,
Rzucasz hasło przelotne ślicznej melancholji:
Zdechł pies, zdechł pies!... i znowu świetna, szeleszcząca,
Jak kometa, co mija i przezroczem trąca,
Znikasz, budząc tajemne i echowe szramki
Naszej pierwszej i może jedynej sielanki.

JÓZEF JANKOWSKI





Koń i Kobieta

Koń jest pięknem, szlachetnem zwierzęciem — kobieta zaś kocha piękno. To też przyjaźń kobiety z koniem daje się zauważyć stale i zawsze. Co prawda z początku ten związek jest nieco przymusowy.

W wiekach bowiem, w których nie było bitych dróg, w których gościńce były raczej tylko wydeptanemi szlakami, jedynie możliwą była podróż na koniu — to też kobiety podróżują konno, siodła dla nich są wygodne, szerokie z wywyższeniem z tyłu, pokryte aksamitem.

Każda kobieta, należąca do „noblessy" musiała się w wiekach średnich obeznać z końmi i do nich nawyknąć.

Jak dziś „sport ladies" uwielbiają wyścigi — tak wówczas średniowieczne kasztelanki namiętnie kochały turnieje rycerskie. Opowiada kronikarz francuski XV w. — iż na jednym turnieju panie w ciągu zapasów rozdawały zwycięzcom tak gwałtownie ozdoby swych sukien — że pozostały w pewnym momencie nieomal... nago. Zawstydziły się w pierwszej chwili piękne panie bardzo, lecz widząc, że wszystkie znajdują się w tej samej sytuacji, zaczęły się śmiać z przygody.

To samo zamiłowanie do konia odnajdujemy następnie na dworze wersalskim Ludwików XIV i XV. Panie dosiadają wierzchowców maneżowo ujeżdżonych włoską szkołą zwaną „à salto". Szkoła zasadzała się na krótkim zebranym galopie, umiejętnie robionych piruetach, woltach i passadach.

Na podobieństwo wyszukanych manier dworu wersalskiego — manierowane były i dworskie konie. Bardzo często odbywają się polowania z gończemi w których udział przyjmują i damy. Ludwik XV wymaga nawet by panie uczestniczyły w nich — a zaproszenie to pewnego rodzaju wyróżnienie. To też na polowaniach dworskich widzimy oficjalne faworyty — panie Montespan, La Vallière, Pompadour, Dubarry i inne. Jeżdżą wszystkie świetnie — a strój ich: suknia wycinana z przodu, spódnica bufiasta, krótka, włosy misternie wysoko upięte, upudrowane. Twarz uróżowana i gdzie nie gdzie czarna muszka — podnosząca przez przeciwieństwo białość cery.

Również i za czasów Napoleona I gdy wojskowi zajmują pierwszorzędne stanowiska — kobiety by módz towarzyszyć mężom na wojnę — uciekają się do konia. Podług pamiętników księżnej d'Abrautes, towarzyszącej swemu małżonkowi Junot'owi w wyprawie do Hiszpanji, koń wierzchowy był niezbędny, inaczej podróż byłaby niemożliwą.

Polska pod względem zamiłowania pań do konnej jazdy nie stanowi wyjątku. „Szlachcianka konno i na bal cwałuje" powiada stare przysłowie — to też raz poraz spotykamy bohaterki narodowe, które nieomal nie rozłączają się z koniem. Dość tu wspomnieć o Emilji Plater i Pustowojtównie.

W wieku XIX i XX, wieku pary, elektryczności i wynalazków zmienia się stosunek kobiety do konia. Koń nie jest już zwierzęciem niezbędnem kobiecie, obejść się bez niego może, gdyż ma koleje, auta i tramwaje. Lecz zato kobieta może wię-



p. Marja Wodzyńska



Amazonka z r. 1886



Amazonka z r. 1896

cej jeszcze: kocha konia, kocha go miłością „bezinteresowną“ po sportowemu.

Dużo pań przedewszystkiem w Anglji — a następnie we Francji, Austrji i Niemczech jeździ konno, przyjmuje udział w polowaniach, par-force i w konkursach hipicznych. Nie brak i koronowanych głów. Słynną amazonką była austryjacka cesarzowa Elżbieta. Świetną jeżdzczynią jest obecnie królowa rumuńska Marja, która przed paru tygodniami podczas swej wizyty w Warszawie od była całą rewję w Rembertowie konno. Również dosiadała konia wówczas i jenerałowa Sosnkowska. Wogóle, aczkolwiek po wojnie sport koński dostępny jest tylko ludziom b. zamożnym wskutek niesłychanej drożyzny koni, rynsztunków i paszy — daje się jednak zauważyć wielkie nim zainteresowanie wśród pań.

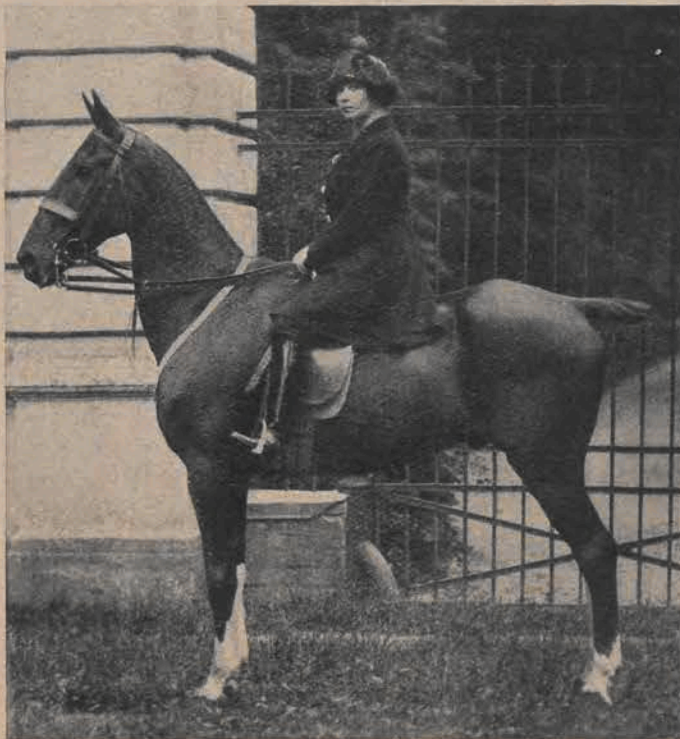
Wyścigi konne, a również zakłady publiczne zbliżyły kobiety do torów. Coprawda, grające w totalizatora panie częściej darzą swemi sympatjami barwę kurtki żokiejskiej, maść konia, lub jego nazwisko, aniżeli jego istotną wartość.

Pamiętam przed paru laty na torze warszawskim był koń, który nie wiem dlaczego został nazwany „Helenką“. Koń ten nie zdradzał większych ambicji i stale w wyścigach przychodził ostatni. Lecz pewnego razu, rozłościwszy się widocznie, przyszedł do celownika pierwszy—płacono w totalizatorze nadzwyczaj nie, grało na niego zaledwie parę osób — w tem prawie same Helenki, które grały dlatego właśnie, że zwał się „Helenką“.

A więc sympatja popłaca!

Zajmują się jednak panie sportem wyścigowym i poważnie fachowo.

Znaną u nas była w połowie ubiegłego wieku stajnia hrabiny Augustowej, Potockiej i stajnia Paradoxa (hr. M. Krasińskiej) jak również poszczycić się możemy świetnemi amazonkami, które zdobyły nagrody na konkursach hippicznych nie tylko w Polsce lecz i zagranicą. Prym



Współczesna amazonka w stroju męskim (p. Ritta Charłupska)

pod tym względem trzyma p. Marja Wodzyńska (córka Kostrzewskiego), która była przez szereg lat i jest obecnie najwybitniejszą amazonką w Polsce. Wykształciła szereg pokoleń w jeździe konnej, jest autorką książki p. t. „Amazonka". Prócz tego jest p. Wodzyńska utalentowaną malarką, specjalnie w dziedzinie koni i psów.

Pani Wodzyńska posiada i tę zasługę, że świetne tradycje jeździeckie przekazała swej córce p. Henrykowej Zandbangowej.

Pani Zandbangowa szeroko rozniosła po świecie sławę amazonki polskiej, gdyż nie zadawalniając się triumfami krajowemi uczestniczyła przed wojną w całym szeregu zagranicznych konkursów. Dość tu wspomnieć, że przed samą wojną, bo w 1913 r. p. Zandbangowa zdobyła na konkursie hippicznym w Wiedniu pierwszą nagrodę, co bynajmniej nie należało do rzeczy łatwych.

Stosunek zatem kobiety do konia, jak widzimy w naszym wieku przeobraził się, lecz bynajmniej nie zmienił.

Jeżeli koń nie jest w przeciętnem życiu cywilizowanej kobiety niezbędny, jak był w wiekach średnich i epoce odrodzenia, to przecież interesuje ją zawsze przez samą przyjemność, jaką może dać konna jazda.

Sport konny góruje i górować zawsze będzie nad innemi sportami, plastyką i pięknem, połączeniu zaś kobiety z koniem będzie w sporcie zawsze ostatnim wyrazem elegancji i wykwintu. Kobieta na koniu zaznacza jakby swą władzę nad światem, zresztą dosiadanie konia przypomina jej, że ujeździła ona również i drugie jeszcze łagodne domowe zwierzę mianowicie — mężczyznę.

ST. A. WOTOWSKI



p. Henrykowa Zandbangowa (na koniu „Black cnd White")

Kobieta i parasolka

Jeden z moich przyjaciół twierdzi, że umie odgadnąć charakter kobiety według sposobu noszenia przez nią parasolki. Jest to, jak zapewnia, wynik niezmiernie skrupulatnych, długoletnich badań.

Dowodzi, naprzykład, że...



kobieta, krocząca najspokojniej z otwartym parasolem, pomimo, iż oddawna deszcz ustał, jest niewątpliwie bardzo dobrą kobietą. Jest ona typem wiernej żony lub panny, z którą warto się ożenić już chociażby ze względów czysto ekonomicznych.



Taka znów kobieta, która swej parasolki nigdy nie „zwija" i dopuszcza do tego, aby jedwab parasolki zwisał, niby uszy niefrasobliwego jamnika — nigdy nie doprowadzi do dobrobytu, nawet jeśliby lunął na nią deszcz złota.



Gdy zaś widzimy kobietę, noszącą parasolkę mniej więcej tak, jak ułan lancę, to jest to „bezspornie" typ dość energicznie usposobionej niewiasty, mężnej i wytrwałej towarzyszki życia, przytem idealnie gospodarnej.



Okazuje się dalej, że niewiasta wesoła, pogodna, życzliwa, przychylna, nosi parasolkę pod pachą, lekko, niewymuszenie, swobodnie i w ten sposób, że rączka parasolki spoczywa na ramieniu.



Natomiast kobiety, które idąc, ciągną za sobą parasolkę, mają brzydki charakter. Posiadają ostry języczek i nie oszczędzają bliźniego, a jeszcze mniej — bliźniej. Są to zawsze kapryśne, pretensjonalne osóbki, którym zupełnie ufać nie można. W małżeństwie są twarde i „kanciaste". Małżonek takiej kobiety — to istna ofiara. Bardzo ważna przestroga!



Te wreszcie niewiasty, które, idąc, „wywijają" parasolką, są przeważnie nierozważne i lekkomyślne, nerwowe, uparte, awanturnicze, krótko mówiąc — duchowo bezwartościowe.



Tyle—mój przyjaciel, „parasololog". Ale cóż należy sądzić o tych, bardzo licznych niewiastach, które wogóle parasolek nie używają?

L.

Sport i Moda





Ktoś złośliwy powiedział, że jeżeli kobieta uprawia jakiś sport, to robi to jedynie dlatego, że jest jej do twarzy w stroju doń zastosowanym.

Istotnie wzrok sportów potęguje jeszcze odrębny i estetyczny charakter obowiązujących doń strojów. Byłoby przesadą twierdzić, że sporty u nas kwitną.

Bo czyż zgrywanie się w „totka" lub gapienie się na matche football'owe w Agrykoli jest sportem?

A jednak, już sam fakt istnienia paru zupełnie europejskich sklepów branży sportowej swiadczy, że i u nas są jego zwolennicy, a w ich liczbie, niewątpliwie znajdują się też i wytworni czytelnicy Pani „płci obojga".

Sport, będący dawniej tylko rozrywką i przywilejem high-lifu, stał się modnym w całym świecie kulturalnym, dziś już życie wytworne bez sportów jest nie do pomyślenia. Pomijając oczywiście zawody rekordzistów, football'owe, boks etc., mające raczej charakter profesjonalny, mam tu na myśli sporty uprawiane dla przyjemności, związane z życiem towarzyskiem i figurujące jak „fivey" lub teatr w programie dnia.

Do tych należą przedewszystkiem: lawn tennis, automobil, konna jazda i mało u nas zresztą uprawiany golf.

Ojczyzną mód sportowych, jak i samych sportów zresztą, jest Anglja.

Ostatniemi laty zaczyna się w tym kierunku wybijać z za oceanu Ameryka, wykazująca wiele inicjatywy i pomysłowości, szczególniej w dziedzinie mód sportowych kobiecych.

Jak że się dziś ubierają czarujące „sportsgirls" i sportsladies".



A więc do Auta kostjumy Burburry, zakiet „taylor-made" z paskiem i kieszeniami na wierzchu i okrycia z wełny, suto bramowane skórą „nappa".

Spódnice „Wraps" (zawijane) i „knife plised" (plisowane) są bardzo noszone do sportów. Z materjałów najwłaściwsze wełna i flanela w kolorach szarym, beige, farne, lub cocoa bronzowe. Ogromnem powodzeniem cieszą się materjały w wielką kratę (checked).

Dominującą rolę w sportach grają jumper'y, jersey'e i sweater'y najczęściej ręcznie wiązane z jedwabiu lub wełny o geometrycznych deseniach, często przypominających ornamentykę





egzotycznej Alaski, Meksyku a nawet Bałkanów. Kolory, Lanvin green, lemon, orange, champagne, pink, coral, tomato, covert-gray jednolite lub dwukolorowo-kontrastowe. Pończochy wełniane gładkie lub szkockie. Półbuciki koloru nieeger browne żółte, lub białe płócienne.

Do tennisa noszą też tak zw. „two piece“, składające się z kolorowej bluzki (niewiadomo dlaczego zw. Russian blond) z embroderją, i stosunkowo krótkiej plisowanej spódnicy z białej flaneli. Pończochy i pantofle białe. Od jesieni roku ubiegłego, walczą o prawa obywatelstwa stroje, osnute na motywach cow-boy'ów: bluza z otwartym kołnierzem związane kolorową wielką chustką, wpuszczoną w szerokie bufiaste breeches'y.

Narazie wygląda to dość ekscentryczne, doskonale się jednak nadaje do konnej jazdy, chodzenia po górach, golfa.

Strój sportowy męski nie jest tak urozmaicony i charakter jego idzie po linji prostoty i wygody przedewszystkiem.

Typowe są proste marynarki flanelowe, zupełnie miękkie i bez żadnej podszewki, kieszenie nakładane, ztyłu patka. Kolory— szare we wszystkich odcieniach. Mocne, na grubych podeszwach „golfy“, wełniane skarpetki i bielizna kolorowa miękka (modne są też kraty) dopełniają stroju. Do tennisa białe pantofle i skarpetki (jako ekstrawagancję zanotować warto podpasywanie się krawatem). Przy zimnej pogodzie noszą sportsmani wełniane z rękawami kamizelki lub sweater'y o żywych kolorach.

Tyle o sportach sezonu letniego. O sportowych kreacjach jesiennych i zimowych—w przyszłym numerze.

J. Z.



Kasyno

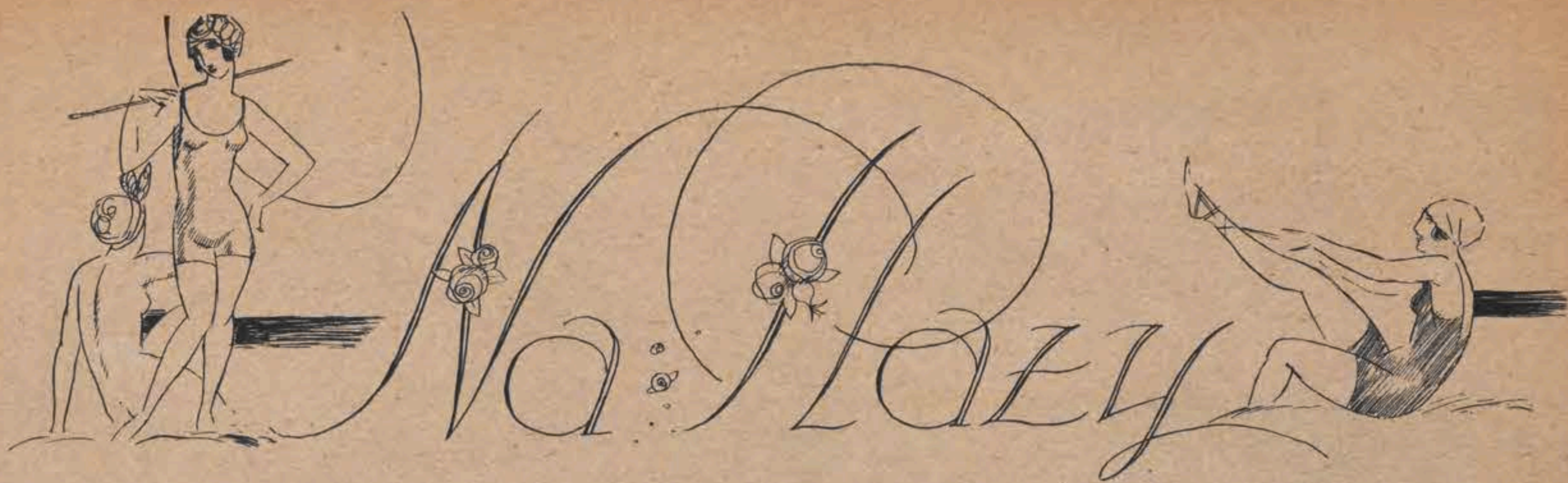


Suknia z velour'u bleu royal, stanik ze srebrnej koronki. Suknia z mory koloru souffre. Suknia z brokateli saumon. Suknia z crepe satin cyclamen, przybrana srebrną lamą, haftowaną paillette'ami cyclamen

Upalne dni



Suknia z tafty mavre changeant. Suknia z białego crêpe marocain, haftowana srebrem.
Suknia z crêpe de chine broché bleu natier



Czy masz teraz czas, kochana Czytelniczko, na czytanie?

Czy też w pośpiechu pakujesz kufry, bo, jak przepowiedziałam, przyszło wreszcie lato i upały wypraszają Cię z miasta?

Czy też już może w hamaku leniwie używasz wsi?

A może wkopana w piasek oddajesz się radosnej bezmyślności na plaży?

Jakkolwiek czas spędzasz, wiem, że nie zajmujesz się teraz ani teorją Einsteina, ani polityką, może jedynie nieco sprawami finansowemi kraju, a to ze względu na kwestje walutowe, gdy jesteś zagranicą, i podwyżki cen, gdy wywczasujesz na polskiej ziemi. Nie interesujesz się zresztą niczem, co nie jest Tobą, lub najbliższem Twem otoczeniem. Nie czytasz nawet najnowszej książki Żeromskiego, ani Conrada „Murzyna z załogi Narcyza“. Jakże więc pisać do Ciebie, choćby i o Tobie, skoro—nie czytasz?

Nie biorę Ci tego za złe, bo jestem dziwnie, jak na autorkę wyrozumiała, ale tak się właśnie składa, że mam Ci niejedno do powiedzenia. Sądzę więc, że, jako stała doradczyni „Pani“ w rzeczach mody, niewdzięczny w tej chwili obowiązek spełnić muszę usque ad finem. Dlatego też przemocą niejako wciskam Ci do rąk numer „Pani“: czytaj go na plaży, w koszu przed słońcem ukryta, albo przy szklance oranżady w kawiarni między jednem a drugiem pociągnięciem z słomki. Widzisz, nie żądam wiele, choć wiele daję.



Suknia z crépe marocain beige w kwiaty lavende, pelerynka do przypinania z gładkiego marocain beige podbita crépe georgette lavende;



Suknia z fularu białego w desenie koloru cerise, stanik z gładkiego crépe de chine'u tegoż koloru

W ścisłej zresztą z Twem otoczeniem harmonji pisać będę o modzie kąpielowej, o tej „skąpej“ toalecie, w której piękne Twe kształty podziwiać mogą oczy wszystkich, nawet najmniej do tego upoważnionych.

Zdawałoby się, że sprawę mody kąpielowej można ująć jednem zdaniem, że tu już ani rad ani wskazówek nie trzeba. Tymczasem moda w bieżącym sezonie wyszła poza granice ustalonego od lat szablonu i żąda:

1-o kilku co najmniej kostjumów kąpielowych,

2-o rozmaitych czepeczków i kapeluszy kąpielowych,

3- fantazyjnych płaszczy kąpielowych i et caetera...

Rozmaitość kostjumów kąpielowych polega na fasonie, barwie i materjale. Może więc być obcisły, krótki, czarny jedwabny trykot o barwnych wyszyciach i wypustkach, lub trykocik barwny z wypustkami w innym kolorze. Może być kostjum sukienkowy, albo bluzka narzucona na spodeńki, ujęta zgrabnie w pasek. Takie sukienki z rypsu lub jedwabiu uchodzą za bardziej wytworne i tu właśnie mnogość barw i deseni odgrywa dominującą rolę. Bardzo noszone są jedwabie „dziko“ batikowane, a także tafty w szkocką kratę. Zaczynają się również pojawiać kostjumy—pyjamy o długich bufiastych tureckich spodniach.

Kapelusze kąpielowe modne są małe i duże, niemal pasterki. Robi się je z tafty lub ipregnowanego jedwabiu. Wszystko to więcej strojne niż praktyczne, ale moda o to nie pyta. Wielkiem powodzeniem cieszą się troczki z wstążki taftowej, podpina się je pod brodą, przyczem końce wstążeczek od



Suknia z popielatego crépe marocain z koronką farbowaną pod kolor materjału



skroni opadają do kolan. Widzi się zresztą fasony najdziwaczniejsze: kaski i budki, zdobne nawet w pęki jaskrawych kwiatów z galalitu. Niemniej używane są barwne chusteczki, upinane fantazyjnie.

Jak tam sobie morze z temi nakryciami głowy figluje, o tem milczy dyskretnie kronika mody. A sportsmenki-pływaczki wolą obcisłe kaptury, chroniące szczelnie uszy. W przyzwoitym „familienbadzie" można zresztą liczyć na pewną względność fal morskich, a zgóry już zaznaczyłam, że kapeluszy trzeba mieć więcej, aby móc — zmieniać.

Płaszcz kąpielowy w tym roku także zboczył z dotychczasowej solidnej, bo użytkowej jedynie drogi. Już nie gospodarski trotté, lecz aksamit angielski wszedł w użycie, i nie płaszcz z rękawami,



z kapuzą, przepasany sznurem, jak habit zakonny, ale peleryna, suty kep. Naturalnie najmniej polecenia godny jest aksamit czarny, bo w piasku zmarnowałby się na nic. Używa się więc kolorowych aksamitów, przybranych pięknie kryzą, lub szerokiemi wyłogami, a podbija się płaszcz jedwabiem do prania lub satyną. Wygląda to bardzo efektownie a nawet okazało się, że ten nisko strzyżony welwet znosi doskonale wszelką poniewierkę. Nosi się też kepy z jedwabnego trykotu, podbite grubym eponge.

Do kompletu należy jeszcze obuwie. Każda pani wie, że najładniej wyglądają wysoko sznurowane sandałki czarne, ale i w tej dziedzinie widzimy nowość, bo wysokie sznurowane buciki nawet białe i kolorowe. Sandałki sporządza się też często z tego, co kostjum, materjału.

Wyrafinowanie mody zakreśla więc coraz szersze kręgi, uwzięło się nawet zakłócać paniom spokój podczas wywczasów morskich i pobudzać do emulacji tam, gdzie dotąd w obliczu morza wszystkie „namiętności" i „małości" schodziły na dalszy plan. Jak widzimy, imperjalizm mody okupuje każdą nieomal placówkę a postępując tak, czyni zarówno dobrze, jak i źle. Jest w tem do każdego innego imperjalizmu podobny.

Przenieśmy się naprzykład z plaży na pełne morze, na statki żaglowe, torki, jachty... I tu również ucieszymy swe oczy nie tylko bezmiarem wód, ich wiecznie zmienną barwą, mgławemi horyzontami, ciężkiem przelewaniem się fal — ale i sportowym strojem pań w obcisłych włóczkowych golfach białych, w kratę lub w pasy. Z pod czapeczki wymknie się niesforny lok, oczy (prawem mimikry chyba!) nabierają barwy morza i wysmukła sylwetka sportsmenki bierze w swe posiadanie nieobjęty wszechstwór zgrabnem sterowaniem rudla.

Pod wieczór, na deptaku, opalone od słońca i wiatru nasze pływaczki i żeglarki okazują się w nowej przemianie. Oto na suknię wieczorową, w której za godzinę utoną — w rytmie tańca, narzucają szale z krepdeszynu, czy koronki, lub frendzliste chusty antyczne o wschodnich deseniach, albo



wełniane chustki o motywach ludowych. Upinają je z szykiem co najmniej Carmeny i dziżą tak długą promenadą tam i napowrót, uśmiechają się słońcu zachodzącemu i wzeszłemu księżycowi, grają bielą i kolorami toalet w zielone oczy latarń i w zamglone ślepia nastrojowych lampjonów.

Te zaś panie, które pogardzają tańcem w gorących dancingach, przystroją się w chłodny podwieczerz w włóczkowe kepy i takież kostjumy, bardzo już w tym roku wymyślne, piękne w barwach i wykonaniu. Nie pogardza się też białym trotteur z sukna lub wełny. Biały kostjum zawsze pozostanie zwycięzcą, gdy chodzi o prawdziwą dystynkcję. Więc krótki żakiecik, obciśnięty na biodrach szerokim haftowanym pasem, albo luźny sak i barwna kamizelka.

Zasadniczo unika się w tym roku nad morzem kolorów ciemnych. Nie lubi ich morze i nie zgadza się z niemi radosny nastrój pań. Tak bardzo szaro i bezbarwnie jest w miastach, że należy pozwolić wykrzyczeć się barwom nad morzem, należy zezwolić na nasycenie się głodowi barw, który odczuwa każdy, skazany na ascezę przymusową w owe dni powszednie całego nieomal roku w mieście. Żółty, zielony, czerwony, niebieski, fioletowy, w wszystkich odmianach i odcieniach niech swawolą, kłócą się, przepraszają i znów nienawidzą, by przecież ostatecznie kochać się w słońcu na złotem łożu plaży.

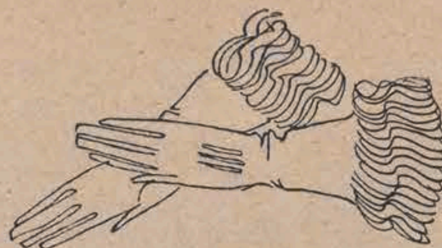
Ale, ale — jeszcze jedno! Nie zapomniała pani chyba o parasolce? O takiem małem, pokracznem cudeńku japońskiem, na którem wielkoskrzydłe ptaki latają w kół-



ko, albo dziwne kwiaty z jakiejś nieznanej planety rozkwitają w szalonych kolorach?

Parasolka taka niewiele daje cienia, to prawda, ale jest to zabawka, która może być tem dla modnej damy, czem był dla babek naszych wachlarz.

Można było ładnie z za wachlarza błysnąć oczyma, można było szepnąć za jego zasłoną zręcznie komuś słówko, można było komplemenciarza mile natrętnego



trzepnąć po ręce. Do tych samych celów służy modna mała parasolka, choć nie wiem, czy na „trzepnięcie" zgodzi się nawet najbardziej miły i najbardziej natrętny towarzysz. I nie dziw, gruba, okuta rączka, kilkanaście drutów. — Nie, szanowne panie, nie wolno nam zbyt wiele wymagać, i poświęcenie ma swoje granice!

Lecz, mówiąc wyraźnie, parasolka taka jest niczem innem, tylko małym sprzęcikiem pomocniczym do flirtu. A chyba nigdzie, tak, jak na plaży, nie rozpanoszył się ten mały golas Kupido, choć nosi w swym kołczanie krótkie i nieco przytępe bo sezonowe strzały.

NINA



1) Kostjum kąpielowy z surowego jedwabiu deseniowego, spódniczka z czarnej tafty; 2) Kostjum kąpielowy z fiołkowego jedwabnego trykotu, przybrany białym trykotem malowanym w lilas desenie



CO SIĘ NOSI OBECNIE ZAGRANICĄ



Za granicą Warszawy noszą bardzo, szególniej w Łowiczu, pasy różnokolorowe i t. zw. „Wełniaki". Wełniak składa się w bardzo prosty sposób także z tęczowych pasów, najrozmaitszych kolorów i kształtów, jak to: zielone, fioletowe, żółte i marengo. W Krakowskiem znowuż noszą tego roku kwieciste spódnice i gorsety, wybijane niezbyt krzycząco gwoździkami, ćwieczkami, stokrociem i różą. Dla panów jest moda trochę różna, zamiast spódnic, noszą oni t. zw. sukmany i krakuski. W Góralskiem na Podhalu, noszone są w tym sezonie, jak i w przeszłym, „gunie" z samotrzasku, pięknie szarotkami zasiane, kierpce oraz parzenice, a zamiast ubrania głowy okrągłe kapelusiki, ozdobione muszelkami, na pamiątkę legendy, że Zakopane wznosiło się kiedyś jakoby 900 m. nad poziom przeciętny morza.

Dalej na wschodzie panuje znów całkiem odmienna moda. Mężczyźni noszą laski drewniane w kształcie kija, ozdobione co najwyżej u góry rączką właściciela. Kobiety noszą się z waszecia i malują twarze w żywe oczy, uwidoczniając je czarną, poprzeczną kreską. W miejscu, gdzie zwykle wypadają usta, widzimy dwie pomidorowe plamy. Kobiety wschodu są naogół ładne, ale nie zadzierają nosa do góry, jak nasze Polki, zauważyłam, że raczej noszą nosy garbate. W Sofji kobiety noszą dzieci na plecach, nie wstydząc się tego bynajmniej, oby to sobie nasze Zofje wzięły za przykład, godny naśladowania. Turczynki w dalszym ciągu unikają własnej twarzy, nosząc tak zwane „Tchartczafy", rozumieją one dobrze, że twarz ludzka nie jest na pokaz, lecz raczej do domowego użytku. Mężczyźni patrzą nato przez palce, bo ich razi blask dzienny słońca. Na całym świecie kulturalnym modna jest teraz tureczczyzna. W Paryżu nawet małe dzieci uczą się siadać po turecku, nie mówiąc już o czarnej kawie, którą pije się już prawie wszędzie (trawę turecką t. zw. „Mocce" czyli „Kałwę", przyrządza się w ten sposób, że nie dolewa się do niej mleka ani masła i cedzi się ją powolutku z małych filiżaneczek). My tylko jedni, Polacy, pozostaliśmy wtyle przed nawałnicą mody tureckiej. A jednak Polska zawsze świeciła innym narodom łatwością, z jaką przyswajała sobie obce mody i obyczaje, a także nie zapominajmy o tem, że była ona zawsze wzorem bogobojności i wiary. A zatem piękne panie, czy nie należałoby wam, hołdując nowej modzie, naśladować Św. tureckiego? Byłoby to może niezawsze miłe do patrzenia, ale jakież tanie dla kieszeni i praktyczne w lecie do wszystkich sportów. Szal po babce w tureckie wzory znalazłby się napewno na ścianie w waszym salonie, a więcej przecież nic nie potrzeba letnią porą. Naturalnie, moda ta stosowna byłaby tylko dla młodych osób. Starsze kobiety powinny się szanować i wogóle na ulicę nie wychodzić. Zagranicą starość zupełnie wyszła z użycia, a te nieliczne starzejące się osoby, które się widzi, umieją zgrabnie przejrzałość swą ukryć w fałdach skóry. Pióra w tym roku są mało modne, chyba dla panów, lewej kieszonki kamizelki automatyczne piórko może zlekka wyzierać. Ołówki i zapałki są prawie rzadkością. We wszystkich arystokratycznych domach całego świata nie można się doszukać pudełka zapałek. Dziurki i guziki są też mało noszone, szczególniej dziurki. W tennisa gra się w dalszym ciągu, tylko zaszła tu pewna mała zmiana. Otóż zamiast rakiet używa się zagiętych zlekka kijków „clubs", któremi uderza się w małą piłeczkę, leżącą na ziemi. Tego nowoczesnego tennisa można grać wszędzie, t. j. na dużych pustych terenach, bez pomocy asfaltowych placów. Na zakończenie dodam tylko, że „nie ładne, co modne, ale naco kogo stać".



MAGDALENA BYWALEC-SAMOZWANIEC



BŁĘKITNA CISZA



MODELE G. ZMIGRYDERA Rys. I. Pokrzywnicka

1) Suknia z żółtego crepon'u z haftem różnobarwnym. 2) Kostjum kąpielowy z czarnej tafty, z motywem haftowanym koloru vert amande. 3) Suknia z georgetty plisowanej koloru crevette, w pasie kwiaty różnobarwne na popielatej aksamitce. Pelerynka z takiej samej georgetty, związana popielatą aksamitką. 4) Suknia fularowa, granatowa w białe desenie, przybrana gładką granatową georgettą, tworzącą falbany plisowane na bokach, oraz Marie Antoinette przy szyi.

ŚMIESZNE

Tym, którzy się śmieli na „Pelikanie“ Strindberga, powiem, że to nic nie szkodzi. Nic nie szkodzi Strindbergowi. Nic nie szkodzi i tym, którzy się śmieli. Obydwie strony — autor i publiczność — są najzupełniej w porządku. Mówię to bez złośliwości. Albowiem można się roześmiać i na tragedji. I tragedja nie przestaje być przez to świetna. Podobno człowiek o klasycznie zdrowym żołądku nie jest w stanie się martwić. Goncourt'owie notują w swoim pamiętniku taki właśnie wywód pewnego lekarza. Ktoś pochował ukochaną żonę, naprawdę ukochaną, ale miał znakomicie działający żołądek. Chciał się martwić, ale miał wyborny apetyt; chciał płakać, ale łzy natychmiast wysychały mu na rzęsach, ponieważ miał apetyt. Istotnie, dla człowieka bardzo zdrowego tragedja jest czemś śmiesznem, ponieważ uderza wybujałą przesadą, wyjściem z równowagi, niezdrowiem. „Jabym na jego miejscu...“ — mówi o bohaterze tragedji człowiek klasycznie zdrowy. Tak, onby na jego miejscu... inaczej. Tak mu się przynajmniej zdaje. A jeżeli rozumie *konieczność*, to... nie rozumie poco takie rzeczy wystawiają, traci w teatrze humor i śpieszy na kolację.

Zdrowy człowiek nie rozumie niesamowitości. Śmieszy go Baba-Jaga, mieszkająca w chatce na kurzych nóżkach, głodząca ukradzione dzieci i czasem częstująca wymizerowanego chłopczykå zimnem ślepiem wołu, jako smakołykiem. Człowiek bardzo zdrowy, przeczytawszy bajkę o Babie-Jadze i obejrzawszy arcykolorowe obrazki, które przedstawiają las z olbrzymiemi muchomorami, większemi niż wystraszony chłopczyk, broniący się przed okropną konfiturą czarownicy, uśmiecha się i mówi: „Jakież to głupie!“ Uważa, że to jest dobre dla małych dzieci. Śmieje się, widząc przerażenie tych dzieci, zasłuchanych w bajkę i wpatrzonych ze zgrozą w arcykolorowe obrazki. On wie, (człowiek zdrowy), że na świecie niema Baby-Jagi, głodzącej dzieci i zachwalającej łakocie w rodzaju wołowych ślepiów na zimno. On wie, że niema czarownic!

Niema? Czy aby klasycznie zdrowy człowiek się nie myli? Może się przytrafić, że człowiek zdrowy pewnego razu spotka w biały dzień, oko w oko, jędzę, która go poczęstuje wiśnią z wołowego ślepia. Wówczas zdumiony zdrowy człowiek przypomni sobie bajkę o zabłąkanym między muchomorami chłopczyku, i może się tym razem już nie roześmieje; i ani o bajce, ani o ilustracjach nie pomyśli już, że głupie; i nawet odkryje, że — to nadzwyczajne! — w owej bajce tkwi rzeczywistość lepiej odsłonięta, niż ją odsłoniło prawdziwe dzisiejsze spotkanie z jędzą.

„Pelikan“ Strindberga to dramatyczna bajka o czarownicy, ukrywającej się nie w lesie, nie w chatce na kurzych łapkach, ale w domach ludnych miast dzisiejszych. Chodzi to straszydło w masce dobrej żony, zabiegliwej gospodyni, poświęcającej się matki, a w istocie zamęcza męża, okrada gospodarstwo rodzinne, głodzi dzieci, bowiem potworny egoizm każe jej żyć wyłącznie życiem osobistem, samouwielbieniem, całkowitem zapatrzeniem się w siebie. Zieje z niej jedna jedyna prawda: „Nic niema, tylko ja jestem!“ Pożera dzieci, które zrodziła. Gdy przyszły na świat, karmi je flaszką, a później tak źle odżywia (eskamotując pieniądze na bardziej osobiste potrzeby), że córka nie ma klatki piersiowej, a syn wyrasta na degenerata.



Strindberg, wróg kobiety, nie opowiada tej strasznej historji jako *piece à thèse;* nie dowodzi, że kobieta to niebezpieczny, pozbawiony skrupułów, zacięty wróg mężczyzny, (co uczynił w „Ojcu“ i przez to sztukę osłabił). W „Pelikanie“ autor „Ojca“ polemizuje minimalnie, nie filozofuje; jest poetą! W ułudę sceny rzuca niesamowitą wizję dramatyczną, której jednym z najpatetyczniejszych momentów jest okrzyk kruczowłosej młodej kobiety o płaskiej klatce piersiowej: „Chodźcie, moi panowie, dam wam befsztyk! befsztyk!“ Może ten okrzyk jest i komiczny (jak owa konfitura z wolego ślepia), niemniej przecież jest i prawdziwie (w „Pelikanie“) patetyczny. Befsztyk sam przez się i inny przedmiot, nigdy nie jest ani komiczny, ani tragiczny; o komizmie czy tragizmie stanowi jedynie nasz stosunek do przedmiotu (faktu).

A zakończenie „Pelikana“—pożar okropnej chatki Baby-Jagi, bo blady, głodzony chłopiec, aby się wydobyć z zaklętego siedliska czarownicy, podłożył ogień. Dwoje dorosłych dzieci trzyma się za ręce w wielkiej trwodze. Po raz pierwszy w życiu jest im w domu czarownicy ciepło, po raz pierwszy w życiu czują, że się kochają. Otacza ich pomału dymdusiciel i wynosi ich poza dotychczasowe troski.

Role niewieście, matki i córki grały dwie znakomite aktorki polskie, pp. Wysocka i Solska-Grosserowa.

WACŁAW GRUBIŃSKI

„KOCHANEK OD SERCA" TEATR KOMEDJA



MARJA PRZYBYŁKO-POTOCKA i W. BIEGAŃSKI

Tea gown z szafirowej georgette'y przybrany złotą kasanką wykonany w pracowni Gustawa Zmigrydera



MARJA PRZYBYŁKO-POTOCKA, J. LESZCZYŃSKI i W. BIEGAŃSKI

Suknia balowa z czarnej tafty, stanik z brokatu fraise ze złotem, wykonana w pracowni G. Zmigrydera



MARJA PRZYBYŁKO-POTOCKA, W. BIEGAŃSKI i J. LESZCZYŃSKI
Fot. St. Brzozowski

Suknia balowa ze złotej lamy, przybrana bronzowym tiulem i koronką rdzawą, wykonana w pracowni G. Zmigrydera



J. OWCZARSKA, Z. DOBRZAŃSKA i A. BOGUSIŃSKI
Fot. St. Brzozowski

„BEVERLEY"
TEATR POLSKI



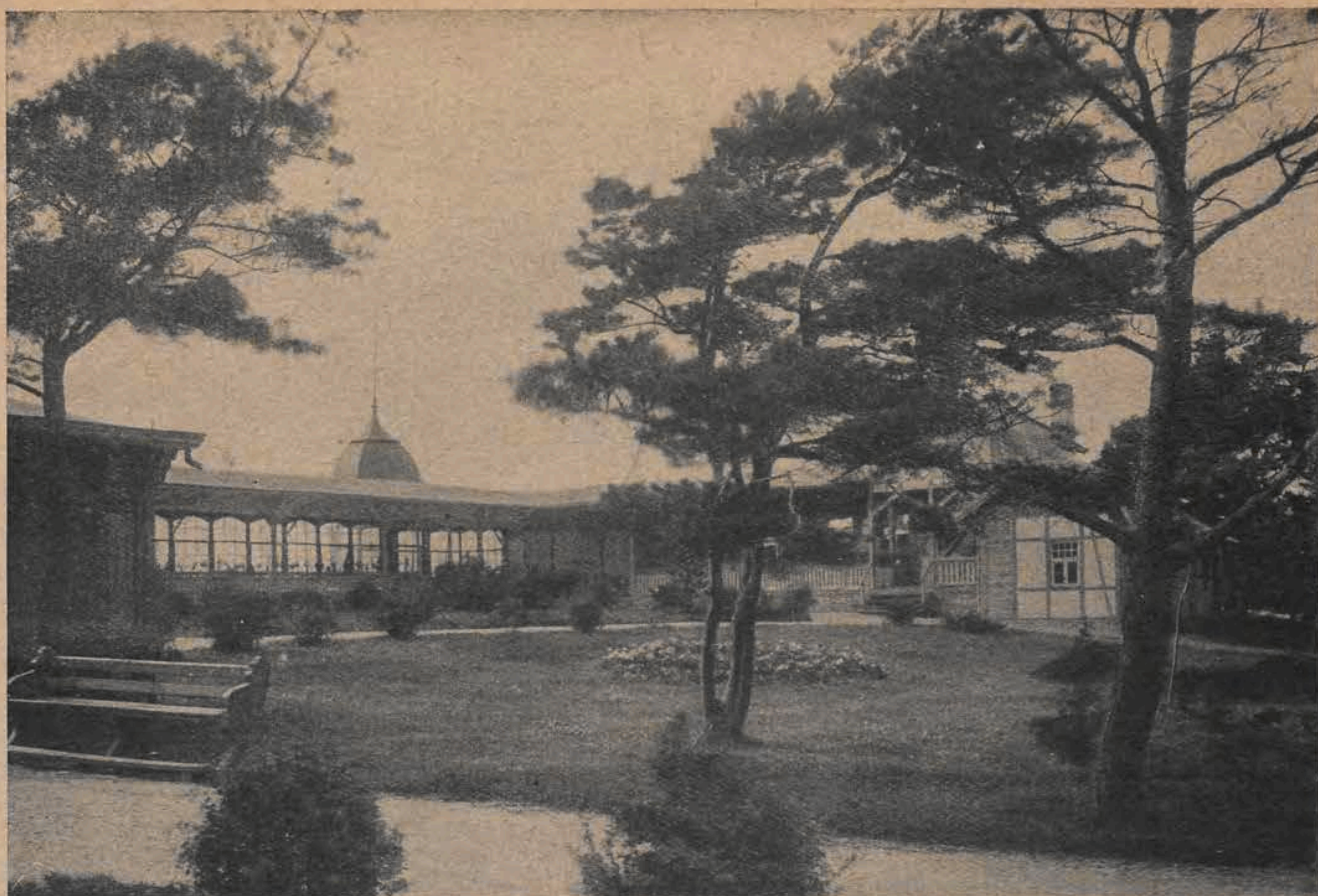
Z. DOBRZAŃSKA i J. OWCZARSKA
Fot St Brzozowski

Suknia p. Owczarskiej z georgette'y bleu natier plisowanej, pas czerwony z motywami niebieskiemi, wykonana w pracowni G. Zmigrydera

Suknia z czarnego crêpe-satin, stanik biały aplikowany w czarne pasy z pracowni G. Zmigrydera



MARJA MAJDROWICZÓWNA Fot. St. Brzozowski



Hel. Dom Tow. Kąpieli Morskich od strony lasu

Z NAD POLSKIEGO MORZA

HEL

Półwysep Hel (przez niemców Helą zwany) wrócił do swej dawnej nazwy, którą wywodzą od słowa Heljos — słońce.

Bo też otwarty, tak od morza, jak od zatoki, dopiero w słońcu staje Hel w całej swej krasie. Słońce ozłaca wybrzeża i wywabia na piasek syreny (nie te blaszane, jęczące w wodzie ku przestrodze rybakom), ale te żywe, z krwi i kości, które choć nie mają ogonów, pięknością kształtów potrafią skusić niejednego śmiertelnika. To też obyczaje panują iście sielskie na całem wybrzeżu. Syreny pochodzenia warszawskiego, poznańskiego lub innego krańca Rzeczypospolitej, nie są bynajmniej trwożliwe i na widok nieznajomych nietylko nie kryją się do wody, ale prezentują w słońcu swoje mniej lub więcej obfite kształty, obciągnięte trykotem, a nawet przy rozbieraniu się nie używają zasłon. Tu widzimy na piasku damę w koronkowem dessous, która, założywszy nogę na nogę, list pisze, owdzie nimfę ziemską w lekkiej koszulce, uprawiającą szwedzką gimnastykę dla rozgrzania się.



Fot. am. E. Zabierz

Stefan Żeromski i Marszałek Rataj

Z taką samą dezinwolturą panowie ściągają heroicznym gestem swoje niegodne pamięci, nie przerywając flirtu z najbliższą sąsiadką. Przypuszczalnie pejżaż nie straciłby wiele ze swej piękności, gdyby postawiono kilka kabin do rozbierania się na brzegu morskim. Przyznać należy, że o ile natura niezwykle bogato uposażyła ten zakątek, stworzony jak gdyby na założenie miejscowości kuracyjnej, o tyle ludzie zrobili tu bardzo niewiele. Z wyjątkiem kilku akcjonarjuszów Tow. Kąpielowego Hel, którzy odrestaurowali dawny Kurhaus i pobudzili go na nowo do życia, walcząc z wielkiemi trudnościami komunikacyjnemi, brakiem robotnika na miejscu i niemożnością sprowadzenia go z Gdańska, wobec naprężonych stosunków politycznych i t. d.

Trzeba przyznać tym panom, że dzięki ich wysiłkom dom Tow. Kąpieli Morskich, popularnie jeszcze Kurhauzem zwany, stał się jedynym ośrodkiem kultury na Helu. Budynek ten jest całkowicie prawie zamieszkały przez arystokrację, która zamiast Biarritz lub Ostendy posta-



Najwygodniejsza lokomocja



Jastarnia: odjazd kąpiących na pełne morze

nowiła popierać polskie morze; byłoby to bardzo pocieszającym objawem, gdyby nie wpływało ujemnie na życie całej miejscowości. Ta ekskluzywność Kurhauzu, jedynego budynku, odpowiadającego wymaganiom komfortu i kultury, zrobiła z niego rzecz smutną, pozbawioną życia, podczas kiedy powinien on być punktem zbornym kuracjuszów, miejscem rozrywek i centrum życia. Tymczasem panują w Kurhauzie jakieś klasztorne obyczaje, bo kiedy bardzo młodziutka para spróbowała zatańczyć podczas poobiedniej muzyki, ta ostatnia zamilkła z oburzeniem. Lub kiedy znudzony kuracjusz, przesiedziawszy cały dzień dżdżysty w domu, wybierze się do Kurhauzu, ażeby zjeść kolację i zobaczyć trochę ludzi, zastaje światła pogaszone i bufet zamknięty już około 8-ej godziny wieczorem. Mieszkańcy uzdrojowiska korzystają z wygód i komfortu, ale tych jest bardzo niewielu, gdyż pokoje już w początkach sezonu przeważnie rozebrane są przez akcjonarjuszy. Reszta letników gnieździ się po domkach rybackich, które wyglądają jak dekoracje teatralne w stylu holenderskim, albo zabawki dziecinne. Domki te, choć bardzo malownicze, są ciasne i niewygodne, zabaw-



Wypoczynek po kąpieli



Dwie „Marysie" z Jastarni



Dolce farniente na plaży



Zabawa w morzu

(Fot. am. E. Zabierz)



Plaża na Helu od strony morza



Hel. Widok z mola na zatokę (Fot. am. E. Zabierz)



Ulica na Helu

nie wyglądają maleńkie drzwi z otwieraną górną połową, z której wysunie się głowa warszawskiej damy, albo poznańskiego eleganta. Miniaturowe te budowle w stylu holenderskim utrzymane, są bardzo piękne, mają często stare meble i porcelanę, ale nie mają najprymitywniejszych wygód i letnicy zmuszeni są wdychać przez ładne okienka zapachy gnojówek i chlewów.

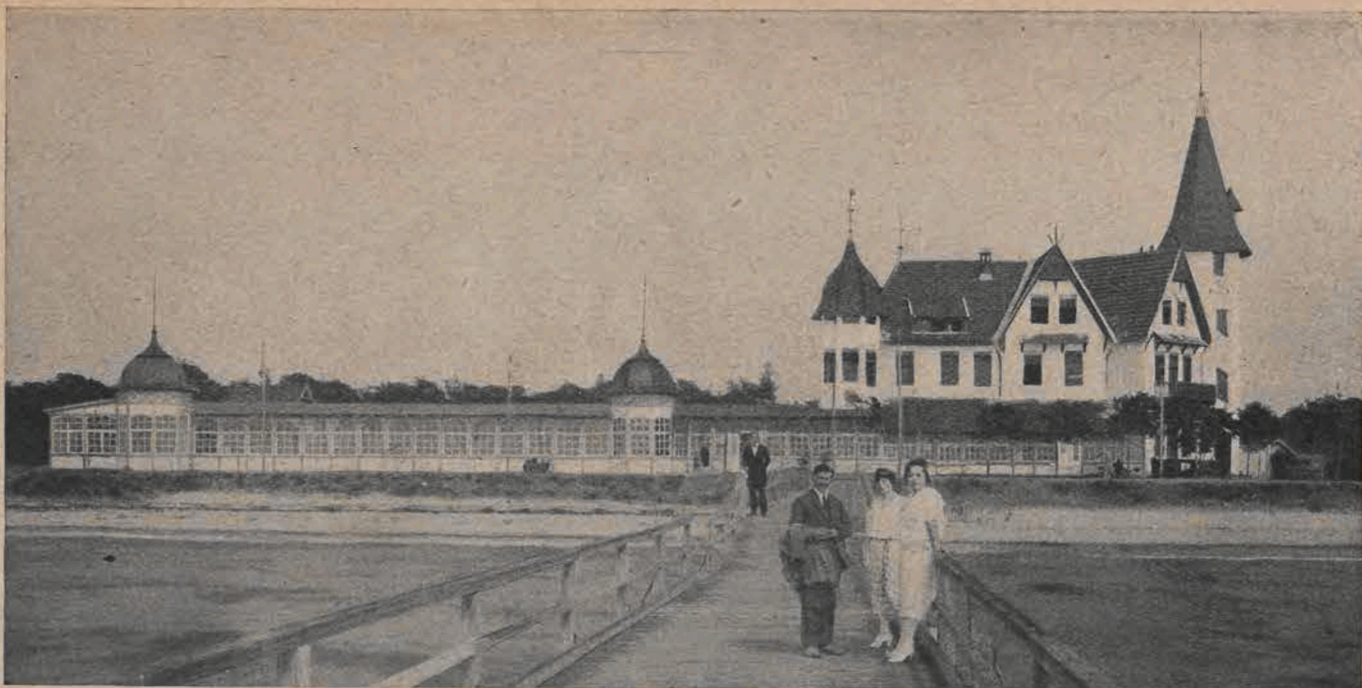
Ludność, wyłącznie niemiecka, jest uprzejma i życzliwie dla Polaków usposobiona, choć barometrem tych uczuć jest zazwyczaj stosunek polskiej marki do niemieckiej. Starsi rybacy nie mówią zupełnie po polsku, dzieci i młodzież, która się kształci w rządowych szkołach, porozumiewa się już wcale nieźle. Wątpliwym więc środkiem agitacyjnym (który letnicy czasem stosują) jest wymyślanie rybakom, że po polsku nie mówią. Tem bardziej, że polszczyzna na Helu nawet w rozporządzeniach rządowych pozostawia wiele do życzenia. A oto kwiatek autentyczny. Obwieszczenie: Zabrania się mikołajka, rośniącego na brzegach Bałtyka zrywać, natrafioni będą karani za § 34.

Gdyby złagodzić trochę braki aprowizacyjne i mieszkaniowe, wybudowawszy kilka willi nad morzem w lesie, Hel stałby się idealnem kąpieliskiem, co bezwątpienia z czasem nastąpi. Obecny brak komfortu i rozrywek ma tę jedną dobrą stronę, że odstrasza nouveau-riche'ów wszelkiego autoramentu. Dzięki temu też całe wybrzeże helskie jest w tej chwili przystanią letnią wyłącznie inteligencji polskiej.

H.



Weranda restauracyjna Tow. Kąpieli Morskich, Hel



Hel. Dom Towarzystwa Kąpieli Morskich od strony zatoki

CO MY TU ROBIMY W JASTARNI?...

Co my tu robimy w Jastarni, pod skrzydłem wielkiego wiatru, w obliczu wody słonej i głębokiej, przykryci skąpym cieniem wątłej zieleni, z naszych rybackich chat na cały dzień uciekający do białego słońca, które nas prędko obleka bronzem zdrowia?

My tu, gdy się tylko przebudzimy, patrzymy w otwarte zawsze okno, którego kwadrat przekreśla ramię studziennego żórawia. Żóraw ów skrzypem nogi i bełkotem starego wiadra—już nas obudził. To znaczy, że jest godzina siódma.

Więc się żywo zbieramy i czekamy, czy już się przebudzili najlepsi towarzysze naszego dnia. Towarzysze naszego dnia już wstają. Już, widać, usłyszeli trzask ognia w kuchni i przemówił do nich kogut, — bo już słychać bose, drobne kroki na podłodze, i już wołają: — Czy się wyspałeś, kogutku?!

Nasi dwaj towarzysze, równi w czasie, przestrzeni, pod jednem słońcem jednacy, — moje dwa srogie bliźniaki!

Gdybym nie był Spartjatą, poszedłbym do nich zaraz, zobaczyć, jak jeden złoty łeb i drugi wychyla się pod rzędem świętych oleodruków, z powłoczek chłopskiego łoża. Jak ze snu niepamiętnego rozwarte nagle oczy niebieskie przyjmują wesele dnia. Jak wkrótce z wyprężonej figurki tobołek się zwija na łóżku ruchliwy, prężny, różowy, i przetacza się od głów posłania trawy morskiej do stóp i woła: — Pójdziemy na zatokę!!

Ale jestem człowiekiem twardych obyczajów, znam mores należny niani. Czekam, aż się gotowalnia „ułagodzi", aż klamka, która z jakiegoś wielkiego steamera aż tu, do drzwi kaszubskich, przywędrowała, niepewnie zakołacze... Czekam, aż buty małe i malutkie pięście w stukocie czworonożnym rozlegną się na deskach donośnie...

Wtedy otworzę drzwi i otworzę ramiona. Ale uśmiechnięte tygrysy moje złotogłowe przelecą mimo objęcia i, stanąwszy na środku, spytają niskiego pułapu: — Tery?! Gdzie Tery?!

Więc musimy iść i musimy szukać stokroć ode mnie ważniejszego przyjaciela, pieska Tery. Już stanęliśmy w drzwiach otwartych na piach, grodzony szczupłą wiśnią i porzeczkami, które od zarania swego nie wydały jednego owocu. Za piachem, wiśnią, za rzadką czupryną porzeczek widać dwa dachy czerwone, a dalej, za dachami, wznosi się lekko ku słońcu tarcza niebieska, srebrem fali dziergana.

— Morze! — wołają chłopcy. — Masz łódkę?! Tatuś będzie miał łódkę od Herrmana!

Te ważne słowa usłyszał za węgłem Tery. Przybiega i poddaje pieszczocie rude, skręcone kudły.

— Jaki ma nos — woła syn.

— On nie gryzie — mówi drugi.

— Czy się „ispałeś", Teri? Dzień dobry, Teri, dzień dobry, kogutku!

Wtem stała się rzecz, ważniejsza od wszystkiego. Oto pod cieniem wiśni „spostrzeżono" wsparte o pień cierpliwy ogromne wiosła, kupę białej sieci, kosze pełne piachu, przemięszanego z ślimakami, i skopek.

Z dwóch małych, ogorzałych piersi, uniesionych nagle wysoko nad skraj marynarskiego wycięcia, tryska odkrywczy i potężny okrzyk memu lenistwu ospałemu i światu radosnemu, i psu, i kogutom, i kurom, i kaczorowi, i barankowi, i kozłowi, i wodzie, i domowi całemu, i wszystkim nowościom szczęścia wszem wobec przesłany: — Dzień dobry, wiosła! Tu są wiosła! Dzień dobry, nasze wiosła!!

Zaraz za wiśnią, na trawie, dobiega swoich dni stara dziurawa kutra. Moi wioślarze, moi odkrywcy wspaniali, pną się po jej brzegach smolnych, zasiadają na szorstkiem dnie czarnego żywota ło-

dzi. Tu, trzymając w mięciutkich pięściach olbrzymie wiosła, będą pili i jedli „śniadanie“, pod opieką niani, a w rozumnej i potrzebnej rozmowie z Terim, kogutem, z małą Agnieszką, córką rybaka, z małym Rudolfem, Engielbergiem i z rogatym kozłem, który tak „dobrze śmiejdzi“.

Po śniadaniu przestajemy żeglować, bo nas czeka nowa praca, nowy uczynek i nowe, nieznane wyniki. Już nie jesteśmy marynarzami. Kiedyż to było, kiedy, — gdyśmy w czarnej łodzi po gajach wiśniowych i piachach słonecznych i niebieskich trawach płynęli? Odejdź przeszłości napastliwa, — jesteśmy polską kawalerją.

— Tatuś jest teraz wojskowy, — wołają moi ułani, — przez co, mój na cywila przerobiony mundur stary nabiera blasku, o jakim nigdy pewno marzyć nawet nie śmiał żaden marszałek Cesarza.

— Tatuś jest teraz wojskowy... — Przez to trepy moje są dudniącemi kopytami, a ręka cuglem i ręką w jednej postaci. Przez to z piersi moich wydobywa się głos fanfary kawaleryjskiej, jaką chyba tylko w niebie słyszał sam Poniatowski...

Mamy niezliczone mnóstwo, — trzech koni. Koń sosnowy, olchowy, wiśniowy, na trzech bowiem pędzić będziemy laskach, sosnowej, olchowej i wiśniowej, które mój genjusz tak ochrzcił, nie znając drzew gatunku.

Oto jesteśmy ustawieni, już drży nasz szyk, a teraz już pędzimy pod głos Haydnowskiej pobudki, którą jeszcze z krakowskich błoń mego dzieciństwa pamiętam. Pędzimy dokoła chaty czerwonej, — kto kiedy dalej potrafi?! Mija jedno okno i drugie, minęliśmy Kaszuba, który naprawia sieci przed drzwiami, już gmach z wioseł o drzewo wspartych zginął za nami daleko, a z czarnej łodzi, gdzieśmy przed wiekiem śniadali, ślad nawet nie pozostał.

Gdy przyszła niania, że dzieci muszą iść na słońce.

— Dzieci idą do morza — rzeknie pierwszy tygrys.

— Do morza, przez las, w którym są jagody— powie drugi.

Niema w tym lesie jagód, tylko w innym, przy zatoce. Tak p r z e c i e wiem, tak mnie życie nauczyło, jako, że dużo razy szedłem ku morzu pełnemu przez las jałowy i dużo razy w lesie, nad cichą zatoką, wiele jagód nazbierałem... Ale nie mówić tego człowiekowi, który jest marynarzem, ułanem, „kofanym“ synem i przyjacielem kozła.

— Do morza przez las, w którym są jagody!

Pocóż się spierać wobec rozmaitości naszych lasów ojczystych. Naprzód musimy iść wilgotną brózdą, przez las ziemniakowy, którego zimne nacie rosną aż po czoło moich usilnych pielgrzymów. Potem wchodzimy w głęboką dżunglę lasu bobowego. Jego grube pnie nie rozstępują się łatwo, jego kwiaty nakrapiane zasypać mogą badawcze oko podróżnika. Dalej, — Sahara od lasu bobowego aż po plant. Tu widać pociąg z Pucka, lub z Helu, co ma lokomotywę, i jest las trzeci, sosnowy — i morze „dobre dla dzieci“.

Ale, czy my mamy czas oddać się jego dobroci?! Nie mamy.

Nad jego brzeg, — nianię z kijami, namiotami, kubełkami, łopatkami i pomarańczą po drodze zostawiwszy, — dojeżdżamy w postaci trzech pociągów. Idzie znów wiśniowy, sosnowy i „olfowy“. Gdy przemierzą złotą równinę, gdy staną nad jej brzegiem, wyciągniętym między dwoma niebami wody i błękitu... Gdy przed rozczapierzonym grzebieniem piany, — stacja! — krzyknę — już się zamieniły w kucharzy.

Są teraz kucharzami — i pociągiem.

Nie dziwi się temu niebo roziskrzone, nie dziwi woda, szalona w swojej głębi a przy granicach piaszczystych tak potulna, nie dziwią się temu kosmaci panowie, prążkiem trykotu żebrowani, ani panie, niby drób okrąglutki hożą gromadką biegające! Ani nawet cała pensja żeńska, rządowa, z nazwy szprotek na wybrzeżu znana, pod okiem swego doktora, niby łysego Sokratesa wśród tancerek, na piachu ćwicząca, strzeżona czujną lornetą ukrytych w gąszczu marynarzy. Nie dziwi się temu żadna ze starych łodzi, które pachną do słońca ostatnią siłą dawno zwietrzałej smoły. Nie dziwi się temu nikt żywy, czy martwy, — jak nic na ziemi, co jest na własnem miejscu — prawdzie się dziwić nie zacznie.

Jesteśmy kucharzami i pociągiem. Nasz expres składa się z laski sosnowej, na której wiszą dwa wagony, to jest kubełki blaszane. Moi dwaj synowie, jedyni pod słońcem jedynem, są siłą, a właściwie czemś więcej, — duszą siły, — tu obecną. Siłą niską, materjalną, jestem ja, który jestem lokomotywą. W moich straszliwych płucach miesza się ogień z parą, moja głowa jest kominem, moje usta gwiżdżą przeraźliwie, a dym, w postaci mojej białej chustki do nosa, uwiązanej do laski, powiewa nad wagonami. Moje stopy, może nawet trochę dumne z niewielu prostych dróg, a tak długiego błądzenia,—teraz dopiero są, czem są.

Są olbrzymiemi kołami potężnej lokomotywy, wobec której największe smoki największych linij New-York—St. Francisco są niczem.

W takim pociągu wywozimy morze na piach, — moi synowie dokonywują, czemu święty Augustyn nie sprostał,—na lasce wiozą morze, aby z ocea-



Latarnia morska na Helu

nu, wlanego w dołek, zrobić ciasto. Robi się łatwo. Trzeba łopatką wymieszać a wraz przygotować blachę, wygładziwszy odpowiednią przestrzeń piachu. Nie próbujcie tej przestrzeni dotykać! Moi synowie, którzy dla tych czynów cudotwórczych zrzucili z siebie wszystko odzienie i są tylko w „chiffon Marie-Antoinette" na ramionach, przestrzegą was, że ta blacha strasznie parzy!

A „na trzy" wywróciliśmy kubły, — już się babki pieką, — mianowicie „na mocy" oklepywania dna kubełków łopatkami. Już są gotowe, przybory odrzuciliśmy, babki stoją, wyborne, piękniejsze od egipskich piramid. I znów w pociąg zmienieni pomkniemy, by nowych form przysporzyć, ciasto nam w rękach rośnie, jak bogom w palcach pamiętliwych sama wieczność.

Ludzie nas chwalą za nasze wytrwałe dzieło, błogi cień za siebie rzucające, i pani z wody wynikła w czarnej politurze kostjumu do babek naszych woła, i policjant z godłem Państwa na czole, skromności tu pilnujący, nie wie, czy winy wśród ludzi ustawicznej jeszcze szukać, czy cnocie naszej czas poświęcić...

Póki cudów trudu i genjuszu nie przerwie niania, — że obiad!

Teraz miniemy bory sosnowe, bobowe, ziemniakowe, jak to bywa w chwili południa człowieczego, — nikt nam nie poda dłoni, sami będziemy brnąć przez gąszcz, przez piach, — nikt nas nie weźmie na rękę! Że przyjdziemy do chaty na naszych małych nogach, w niewdzięcznej spiekocie słońca umartwieni, z żarem świata w oczach, i z próżnią trudu w sercu!

Odrzucimy narzędzie, rzemiosła, i zasiądziemy na koszu, — dwaj działacze. Tu nareszcie stanie przed nami talerz, ręką znajomą obsłużony, a my obaj, — i ty i on, — pojadać będziemy z miseczki i z obsługi, i łykać łyżka za łyżką, — do granicy południowego snu.

Na jego obszarach nic się więcej nie będzie dziać, prócz ciepła i oddechu, a dopiero za tym obszarem krzątać się będzie siła niższa. Ona, w mojej postaci, podparta laską, która już moc czarodziejską straciła, uda się przez piach i ubogie wygony, do wsi.

— Niema „lódki", — rzeknie mi dziś czcigodny Neptun, szynkarz i możnowładca w jednej osobie, Selin. Twierdzi poważnie, niby przykazaniem objęty prostokątem drzwi swego słonecznego szynku, — że dziś „lódki" pojechały na rybołóstwo.

Gdybyż nie potwierdził tego faktu niuchem tabaki! Ale już się stało. Ciemna garstka władnego pyłu usypała się z rożka na siodełko kciuka. Z siodełka prędzej od pchły skoczyła w nos. Już się stało! Bo teraz nos, łyse czoło, łyse brwi, łyse powieki, łyse wargi, łysa broda, wszystko naraz tak się szczelnie zamknęło.

Idę tedy przez słońce, między domami, między żerdziami, co chorągiewką wiatr przed człowiekiem ostrzegają, między sieciami, które w wywczasach słońce na przyzbach w splot swój łapią, między wiosłami, które na ławach śpią, — idę do drugiego wielmoży, szynkarza, Kaszuba Herrmana.

Wielcy bogowie północy, jeżeliście byli straszni i potężni, to Herrman jest waszem odbiciem! Jego kilkunastokrotne potomstwo przycichło na podwórku pod wierzbą. Nawet jego korny mieszkaniec, spalony od słońca mecenas stołeczny, nie śmie kwilić, a kwaśnem mlekiem obłożony, cierpi w milczeniu.

Ale ja, — idę, dla moich synów stawam śmiało przed groźnym majestatem, rozłożonym za ladą na cielistych piernatach, w kolebie łoża rodowego, wśród łuny czerwonych poduszek. Oto piwna źrenica mocarza spostrzegła nareszcie moją nerwową twarz. Kosmatą pierś wznosi piekielny rozgłos, lesiste łydy roztoczyły się po błoniu piernatów. Ręka, tatuowana kotwicą, przebitem sercem i podobizną Cleo de Merode machnęła, nawet łaskawie.

— Bierz lódku *, — bierz!

Więc pojedziemy popołudniu, ja przy wiosłach, moi dwaj malutcy, figowi marynarze z łopatkami w morzu po rękojeść zatopionemi, z dwóch stron jakoby skrzydłem, ogarnięci kurzem objęciem niani.

Z brzegu powieje nam chustka i dłoń matki, trudów morskich niezwykłej, pożegnanie dającej. — Bo czem będą dzieła, trudy i zdobycze, gdy za niemi pożegnanie chodzić nie będzie i żal na brzegu nie spocznie?!

Mijamy fale spokojne, a gdy wpłyniemy na większe, grozimy głębokiej wodzie, — czemuś głęboka, ty wodo?

Aż dojedziemy do kutry, która stoi na kotwicy, wrośnięta w toń zatoki omszałym łańcuchem. Temu łańcuchowi powiemy, cośmy mu już mówili wczoraj, przedwczoraj i jutro, — żeby był mocny! I wówczas nie patrzę już na szmaragdowe oczy żelaziwa. Przemieniony w wilka morskiego krzyknę: — do wioseł!!

Będziemy walić boki kutry łopatkami, ruszać wszystkie śruby, szarpać pompę, złazić do wąskiej kajutki, nakrywać pokrywką czajnik, który tu na zardzewiałym piecyku ziewa jeszcze od zimy, — a z tego wszystkiego żegluga będzie straszliwa, chociaż na jednem miejscu, lecz prowadząca w bezmiary!

A kiedy o zachodzie wrócimy na brzeg, by właściwie zakończyć dzień, — poszukamy na drodze, czy wśród zagród, czy blisko koło osiedli, czy między piachem a rolą — wiejskiego pijaczyny, który się nazywa Strug, ale nic nie ma wspólnego z naszym drogim pisarzem, bo jest bogaty.

Poznamy go zdaleka po wysokim płomieniu maków. Będziemy wołać, on przyjdzie do nas z swoim ciasnym koszykiem, w którym nosi truskawki. Da nam truskawek białoróżowych, wodnistych, ale będziemy je jeść, jakby były najlepsze, bo się nam wtedy przypomni nasza ziemia niska, przestronna, rozkrzewiona, o której trudno zapomnieć nawet przy długich, w morzu pogodnem zatopionych wiosłach.

Juljusz Kaden-Bandrowski

*) Lódku = łódkę.



Pani moja droga i łaskawa!

Jest pierwsza noc lipcowa, pada, jak zwykle, deszcz. Czasem tylko przerywa monotonne kapanie mróz. Wówczas odchodzą od serca i mózgu zmarznięte kończyny, niby żona od rodzonego do mlecznego męża, dlatego tylko, że ten rodzony „był taki dobry". Jakże smutno!

Pogoda zmienia się co chwilę. Cierpię przez nią wszelakiego rodzaju upokorzenia. Wiadomo Ci zapewne, że głównem miejscem, ośrodkiem życia kulturalno-płciowo-handlowo-towarzyskiego, są t.zw. Krupówki. Krupówki to ulica, przy której są: dancingi, księgarnie, *wyręby mięsa i wędliny*, strumyk, błoto i Karpowicz. Czyż można żyć bez tych rozkoszy? Nie! Prawda? Posłuchaj!

Wychodzę z domu (mieszkam od Krupówek b. daleko) — mróz! Kładę futro! Dochodzę do Krupówek — upał! Słyszę:

— Patrzcie, temu zimno! Warszawista! Ceper! Kaziu, spójrz na tego suchotnika!

Wychodzę z domu popołudniu — upał! Wkładam jasne, letnie ubranie. Dochodzę do Krupówek — mróz! Słyszę:

— Patrzcie, warjat — gorąco mu! Jak się wydekoltował! Warszawista! Ceper! Lodziu, patrz, jak się ten suchotnik hartuje, napewno niedługo pociągnie!

Oprócz klimatu Zakopane ma dla swych gości wiele przeróżnych atrakcyj, rozrywek i przyjemności. Więc w pierwszym rzędzie: dancingi z jazz-bandami swojskiemi i czarnemi, zagranicznemi. Swojskie: jazz-Silber-band, jazz-Gold-band i zagraniczny jazz-king Roberts.

Jazz-king Roberts czarny działa w „Morskiem Oku". Działa, to znaczy: trzech murzynów piszczy, dryga, jęczy, ciamka, stęka, gwiżdże, tupie, mruga, kicha, pluje, charcze, skacze, przysiada, siada, bąka, beka, bryka, puka, pika, chrapie, żuje, wyje, oraz tyrpie, tarmosi, miętosi i telepie dwie damy niemieckie, umyślnie, jako wzory osobliwej zręczności dla dziewic i matron naszych sprowadzone.

Na chodniku przed dancingiem stoi gromada tubylców. Dźwięki tam-tamu, piski piszczałek, dzwonienie dzwonków, cymbalenie cymbałów i trąbienie trąb rozdziawiły im gęby. Zainteresowanie wielkie.

— No, fajnie grają, co?

— Słuchajcie, mówią, że tych czarnych to słychać — prawda to? — pyta gaździna starego bacę.

— Przecie grają, to słychać, no — ogłuchliście, czy co? — oburza się baca.

— Kiek mówią, że ich tak, jak kozy słychać, niefajnie. No?

— Jaż ta wim, wąchałek ik myślicie, że się pytocie. Policja je od tego, nie ja, albo aklimatyka. Za cóż biero marki, niek słuchajom! No!

Wewnątrz kawiarni płci piękna połowa oddycha zachwytem. Oczy chodzą po negrach, jak pająki. Usta wykrzywiają się w tysiączny sposób, wyrażając z jednej strony: zupełną pogardę dla białych, z drugiej: nieskończone uwielbienie i chętną uległość dla czarnych.

Słyszy się rozmowy:

— Patrz, jak on chodzi koło kobiety!

— Każdy tak chodzi w tańcu. Wreszcie mnie chodzenie nie imponuje.

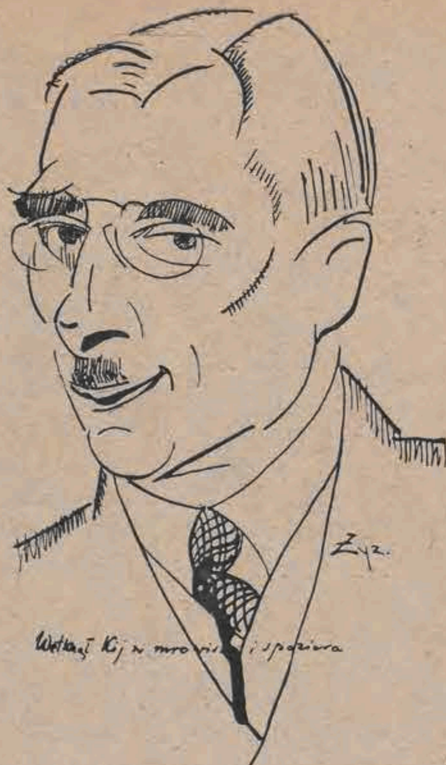
— Słuchaj, ja cię proszę, nie patrz tak na niego! W siedem miesięcy po ślubie wlepianie oczu w takiego czarnego — nie może wyjść na dobre...

— Mama się czepia! Właśnie będę patrzyła, i gdy mnie poprosi będę z nim tańczyć! Tak, jeśli mama chce wiedzieć, będę tańczyć!

Mama napiła się białej kawy, sponsowiała, wywróciła białka, zobaczyła swego przyszłego wnuka w najczarniejszych kolorach i zemdlała.

Murzyni właśnie wydzwaniali pięknemi zębami shimmy, kiedy wynoszono biedną białą mamę młodej mężatki do kawiarni Tatrzańskiej, gdzie wycierano sobie właśnie biodra w melancholijnem tango.

O tej samej godzinie znakomity poeta Rytard w domu Roi stawiał piewsze kroki na Świnicy, Stanisław Ignacy Witkacy Witkiewicz siedział na swej czystej formie, kończąc ostatnie trzy dramaty: *„Wybrzuszenie pępka psychologicznego z orbity metafizyka"*, *„Degrengolada jelitowa"* — dramat w 3 aktach, jednej osobie, pięciu trupach i ladacznicy na widowni, „Pani Torvida zwłaszcza Piperazyna" — dramat okropny z Tumorem Mózgowiczem



na widowni. — Dwa akty przy zapuszczonej kurtynie bez odsłon; Gustaw Zamoyski biegał naprzełaj dokoła siebie; Piotr Choynowski miał trzy w piki i połowę nowej powieści; Antoni Słonimski chwalił się przed przyjaciółmi bliskim stosunkiem w Egipcie z kobietą urodzoną w r. 521 przed N. Chrystusa, czego zazdrościł mu niepomału artysta Teatru Małego Władysław Grabowski, wzdychający do Rzepichy.

To wszystko co w opisanej godzinie czynili lub przeżywali wyżej wspomniani, zasłaniał przed okiem ludzkiem swą dostojną figurą artysta i reżyser T. Polskiego Jan Janusz.

Stanisława Umińska, opalona i „poprawiona", wyglądająca jak czarna perła, rozświetla smutność i ponurość podhalańskiego lata swym uśmiechem i oczami.

Jeżeli skaczę z tematu na temat, z osoby na osobę, z czarnego na białe, wina to raczej terenu i widoku, jaki mam od rana aż do późnej nocy przed oczyma, niż moja.

Wczoraj przysięgała mi jedna nerwowa panna, przysięgała na niepokalaność swoją, że widziała, jak Giewont poruszał brodą i marszczył czoło. I to wszystko z powodu Birtusa, Karpowicza i Dukiewicza, trzech dostojników podhalańskich, zdzirtusów, jakich zapewne nie oglądała dotychczas stolica Polski. Cudze chwalicie, swego nie znacie itd. Na ten temat możnaby było napisać całą broszurę.

Podhale obfituje we wszystko. Góry tutejsze, doliny i skały, to zaiste złoty róg. Spójrzcie na pierwszą lepszą wystawę sklepową.

Zobaczycie: sałatę, cebulę, pomarańcze, cytryny, ciupagi, obsadki, likiery Bolsa, Baczewskiego, Mikolascha, papiery listowe, sery owcze, kiełbasę krakowską, a nad tem wszystkiem: „Z naszych gór, z naszych skał polski góral dla nas rwał". Co? Idzie sobie góralik w nasze górki: najpierw zrywa ciupagę, potem ze dwie flaszczyny Bolsa, potem trochę kiełbasy, trochę serka i wieczorem zupełnie napity i najedzony wraca na Krupówki i śpiewa. I jak śpiewa nasz juhas?! Jakby się najadł drutu kolczastego i pstrągów, razem z haczykami, na które je złapano.

Znam, łaskawa pani, twoją skłonność do malarzy. Jest ich tu coniemiara: Tymon Niesiołowski, Wacław Borowski i Irena Pokrzywnicka—rytmiści, Terlecki, Augustynowicz, Jan Rosen, Zefir Ćwikliński, Stanisław Witkiewicz, rzeźbiarze Gustaw Zamoyski, Stanisław Sobczak i w. in. W tych dniach otwarto wystawę artystów podhalańskich.

— No, no — tylko nie Gałek! Gałek — mówi pan? Dobrze, Gałek! Co jeszcze jeden? Panie, ja panu radzę!...

Właściwie na malarzach uważam list mój zaskończony, chciałbym jednak przez wrodzoną mi miękkość serca, aby czytelnicy, zamierzający przyjechać do Zakopanego, mieli tu do pewnego stopnia życie ułatwione i nie płacili t. zw. frycowego w tej lub innej formie: czasu, humoru, pieniędzy i t. p. W tym celu podam niżej kilka najbardziej zasadniczych rad i wskazówek człowieka doświadczonego, któremu zostało jeszcze trzy ćwierci do śmierci.

W nocy, w hotelu, mówić głosem spokojnym do każdego złapanego na sobie „chrobocha": — Nie ja pierwszy i tyś nie ostatnia! — po wypowiedzeniu tego zaklęcia należy do pojmanej (ego) stosować sposób znany przyrodnikom, mianowicie: uśpić eterem, zaopatrzyć w kolejną liczbę i złożyć do specjalnie na ten cel uprzednio przeznaczonego lamusika. W ciągu kilku tygodni letnich można sobie uzbierać wcale pokaźną kolekcyjkę. Spać—chodząc. Żyć z dnia na dzień! Nie przestawać z suchotnikami, bowiem mówi przysłowie: „Z kim przestajesz, takim się stajesz!" Nie mówić do siebie głośno, wogóle nie rozmawiać z sobą nawet szeptem, wówczas bowiem liczą za pokój podwójnie. Nie pytać się właściciela hotelu: — Czy będzie jutro pogoda? — każdy z nich napewno odpowie, spojrzawszy na sufit: — O jutro, tak! — jutro zaś będzie lało napewno.

W pensjonatach, gdzie życie prowadzi się publicznie, nie należy mówić nawet do właścicielki pensjonatu: „Ależ panią pokąsały owady!" Wykrzyk taki nic nie pomoże ani właścicielce, ani mieszkańcowi pensjonatu.

Nie przywiązywać zbytniej wagi do jedzenia, ponieważ jedzenie, i to znacznie lepsze, człowiek może znaleźć wszędzie, nawet w Stryju u Dienstel — Dom Zdrowia, Hotel. Broń Boże nie pytać nigdy, jak się nazywa zupa i z kogo zrobiona. Żyć z dnia na dzień, tak się bowiem tu płaci.

Nie pokazywać małoletnim rozporządzeń Ministerstwa Zdrowia, wywieszonych w pensjonatach, grozi im bowiem napewno nierząd.

Odpędzać towarzystwo bakcylami! Udawać warjata przez pierwsze dwa tygodnie — po dwóch tygodniach udawanie jest zbyteczne.

Nie nakładać sobie tyle jadła na talerz, iżby nałożone przypominało Giewont lub Zawrat. Jest to bardzo źle widziane przez właścicielkę pensjonatu. Wogóle nie wolno mieć apetytu w murach pensjonatu, gdzie indziej proszę bardzo. Nie wolno nie mieć sił dla dam! Nie wolno nie mieć pieniędzy na kwiaty, dorożki i samochody! Wolno umrzeć cichutko pod smereczkiem, limbą lub sosną, umrzeć z uśmiechem na ustach w dzień uregulowania wszystkich rachunków. Zakopane nie ma nic przeciwko temu. Ono robi co może!

Niechaj więc żyje Zakopane!

J. ŻYZNOWSKI





KURACJA

(Z CYKLU: PANI LALA)

Na deptaku jednej z najbardziej „uroczych pereł Beskidu“ spotykam panią Lalę. Wśród tłumu kuracjuszek, udających strojem i ruchami manekiny - modele z letniego żurnalu mód, pani Lala wygląda jak model najbardziej letni i najbardziej modny. Cała — niczem obłok jakichś niesłychanych abażurowych (czy ażurowych) kwiecistych fularów, czy wogóle woalek (nie znam się na tem), pani Lala zwraca ku sobie dziesiątki ócz płci brzydkiej w hołdzie naturalnego podziwu i odwraca od siebie setki ocząt płci pięknej, co jest naturalnie jeszcze większym dowodem hołdowniczego podziwienia dla jej toalety.

— Jakaż szczęśliwa gwiazda przywiodła tu pana, panie Kaziu, na ten swojski partykularz, — wita mnie pani Lala, w radosnem snać roztargnieniu obdzielając okiem jakichś dwóch dżentelmenów. Na długo pan przyjechał? Dokąd pan zabawi? Oczywiście rekwiruję pana na swój wyłączny użytek. Nie ma pan pojęcia, jak ja się tu nudzę. Ale trudno — kuracja... właściwie doktór przepisał mi Landeck, ale gazety nawołują do niewywożenia pieniędzy zagranicę, więc... Zresztą absolutnie niepodobna otrzymać zagranicznego paszportu. Chociaż dla całej Warszawy jestem w Landeck. Pan mnie nie zdradzi? Dlaczego pan nic nie mówi? W jakim pensjonacie pan się zatrzymał?

— „Pod Jagiełłą“.

— A ja „Pod Batorym“, zaraz obok. Bardzo się cieszę. Będziemy chodzić na spacery, nieprawdaż? Ja tu nie znam żywego ducha. Jestem sama — samiuteńka. Ale trudno — kuracja!... Przynajmniej w tej ciszy i spokoju człowiek podreperuje sobie skołatane nerwy, nieprawdaż?

Chciałem odpowiedzieć potwierdzająco, lecz wokoło na deptaku wrzał taki gwar, zagłuszała go jedynie wojskowa dęta orkiestra, grzmiąca jakiegoś archaicznego marsza. Na znak zgody tedy kiwnąłem głową i kichnąłem trzy razy, zakrztusiwszy się kurzem. Orkiestra dla tego samego widać powodu zawiesiła swą produkcję.

— Nie ma pan pojęcia, jakie tu cudowne powietrze. Prawdziwy balsam dla płuc. Zwłaszcza w „Czarnym Potoku“. Jest tam bardzo miła restauracyjka. Widok z niej na góry — przepiękny. I bardzo smaczne pstrągi. Ach-ta dyjeta! — Publiczność na deptaku z chwilą ukończenia „koncertu“ przerzedziła się znacznie. Niedobitki, podzieliwszy się na pary, uchodziły do sąsiedniego parku.

— Dość mam tego tłumu — rzekła pani Lala — doprawdy, nie rozumiem nawet, poco ja tu przychodzę. Idźmy do parku. Mam przepisany przed drugiem śniadaniem półgodzinny spacer. Zazwyczaj towarzyszy mi pan Józek, sąsiad. Mieszka „Pod Poniatowskim“. Bardzo miły inżynier ze Lwowa. Właśnie siedzi tam w altance. Poznam panów. Zazwyczaj przynosi mi tu codziennie książki z miejscowej wypożyczalni. Niesłychanie dawcipny w rozmowie. — Niestety nie mogłem skonstatować dowcipu pana Józka (w rozmowie), gdyż oprócz „bardzo mi miło“ przy prezentacji, nie odezwał się w ciągu pierwszych dziesięciu minut ani razu, patrząc bardzo podejrzliwie pod własne nogi i na mnie.

— Pan zapewne teraz ma kąpiel, — rzekła do mnie pani Lala, dziękując jednocześnie panu Józkowi za przyniesioną z czytelni „Trędowatą“, — prawda, jak tu pięknie?.. Więc nie będę zatrzymywać pana, panie Kaziu. Proszę iść wykąpać się i przyjść na drugie śniadanie do „Warszawianki“. Będę tam zaraz po spacerze. Dochodzę zwykle do „Michasiowej“ i wracam.

Au revoir!

Widocznie „Michasiowa“ przeprowadziła się gdzieś dalej, gdyż pani Lala wróciła do „Warszawianki“ po dobrej godzinie.

Zdziwiłem się bardzo zmianie, jaka zaszła w panu Józku. Był to zupełnie inny człowiek. Wesoły, rozmowny, ujmująco sympatyczny (z pierwszego zdania zaczął z ogromnem uznaniem mówić o mej działalności literackiej). Nawet mu na „Michasiowej“ urosły spore wąsy i włosy zmieniły swój kolor na jasny blond.

— Panie Józku, trzeba zaraz zamówić fiakra, bo pani Muni tylko co patrzeć, — nie zdążyła jeszcze dokończyć pani Lala, a już pan Józek jak motyl frunął po fiakra.

— Cuda pani robi, pani Lalo! Żeby człowieka tak zmienić w ciągu godziny.

— O kim pan mówi?

— O panu Józku.

— O którym?

— O tym samym, którego poznałem na spacerze, a który teraz pobiegł po fiakra.

— Przecież to dwaj różni panowie!

— Dwa Józki?

— Naturalnie. W Galicji co drugi mężczyzna ma na imię Józek.

— Skądże się wziął ten drugi „co drugi?“

— Z pensjonatu. Musiałam się pójść przebrać, bo może deszcz będzie padał. Jedziemy na obiad do „Czar-



nego Potoku“. W pensjonatach dają zwykle na obiad coś tak niemożliwego, że nawet dyjety zachować nie można. To bardzo miły człowiek. Adwokat z Kolonji. Przecież ja tu nikogo nie znam; jestem taka sama, że oszalałabym z nudów, gdybym nie miała towarzystwa. Pojedziemy we czwórkę. Wraca już pan Józek z panią Munią! Bardzo miła, żona jednego sędziego z Tarnowa. Widzi pan, jak ja o panu myślę. Zjedzmy coś prędko i jedźmy, bo może będzie padał deszcz, a ja chcę wziąć słoneczną kąpiel.

— Pani Muniu! — pan Kazio, literat z Warszawy.

— Słyszałam o panu bardzo wiele — od pani Lali.

— Moi państwo, zjedzmy coś naprędce i jedźmy.

Zjedliśmy naprędce po salaterce zsiadłego mleka, po jajecznicy i po kilka bułeczek z białą kawą (prócz niezłej babki) i pojechaliśmy.

Ogromnie jest przyjemnie zwiedzać kraj rodzinny fiakrem we czwórkę. Kołysząc się obok pana Józka (№ II-gi) na małem siedzeniu, podziwiałem widoki Beskidu narówni z widokiem pani Muni i pani Lali. Przewiewny zefir górski szedł w zawody z przewiewnemi zefirami damskich toalet (głowię się do dziś, co było bardziej przewiewne). Żartobliwe koncepty przeplatane uśmiechami (niczem kolana towarzystwa w ciasnym fiakrze) muskały się zlekka i mile. Za każdym zakrętem drogi, jak za każdym ruchem ramion naszych pań, odsłaniały się coraz piękniejsze widoki. Niema jak kuracyjna wycieczka krajoznawcza! Okoliczna ludność w osobach swych najmłodszych przedstawicieli witała nas przy każdem osiedlu bukiecikami nadrownego kwiecia, które wrzucała do powozu wraz z garściami swojskiej gleby. Przybywszy na miejsce, znaleźliśmy się w posiadaniu sporej ilości ziemi (na kolanach i ubraniach) i całego nieomal herbarza podhalańskiej flory.

Geograficzną osobliwością „Czarnego Potoku“ jest fakt, iż nietylko czarnego, ale wogóle żadnego potoku tam niema (bo i poco?), są natomiast w miejscowej restauracyjce przepyszne pstrągi (prawdopodobnie rosnące w stanie dzikim w sąsiednich górach, o ile nie szmuglowane z Dunajca), których akurat właśnie zabrakło. Niemniej przeto obiad był pod względem towarzyskim i dyjetycznym uroczy. Przed obiadem szukaliśmy (ja z panią Munią i pan Józek z panią Lalą) jagód w pobliskim malowniczym lesie. Nieobeznani jednak dokładnie z miejscowością, znaleźliśmy jagody dopiero podczas deseru na talerzach. Po obiedzie mieliśmy się pójść opalać (ściśle według przepisów lekarskich).



— Znam tu jeden uroczy zaiste zakątek, gdzie najłatwiej można się opalić, — szczebiotała pani Lala, — ale nie wiem dokładnie, którędy się tam idzie.

— Na wszystko jest sposób, — zaopinjował pan Józek, — ja z panią pójdę jedną stroną, szanowny pan literat z panią Munią drugą stroną, a kto znajdzie, ten da znać drugim.

Niestety, piękny projekt, z prawdziwą szkodą dla kuracji i przepisów lekarskich, nie doszedł do skutku, gdyż w momencie wyruszenia w drogę, przed „Czarny Potok“ zajechał jakiś nieznany fiakr, z którego wysiadło dwóch również nieznanych panów, radośnie powiewających kapeluszami w kierunku pani Lali.

— Ach, doprawdy — zawołała na widok nieznajomych, pani Lala, — byłabym państwu zapomniała powie-

dzieć, że umówiłam się z tymi właśnie panami, że pojedziemy po obiedzie razem pod Kopę Magóry, by zwiedzić słynną grotę Janosika i zjeść podwieczorek. Obydwaj ci panowie są bardzo sympatyczni.

Jeden z nich ma fabrykę nafty w Drohobyczu, a drugi kopalnię gazu ziemnego pod Jasłem, czy może odwrotnie, bo doprawdy nie pamiętam. Państwo pozwolą, że ich poznam: pan Józek... pan Staszek... pan Kazio i pan... przepraszam, ale zapomniałam!.. pani Munia!.. Ja siadam z panami, a pani Munia z panem Józkiem i panem Kaziem. Proszę za nami, bo my znamy drogę. Pani Muniu, niech pani nie flirtuje za bardzo z panem Kaziem ani z panem Józkiem, bo będę zazdrosna!.. Farewell!

Wycieczka do groty Janosika (przynajmniej w naszym fiakrze) była znacznie cichsza od poprzedniej. Rozmowa się rwała, a nawet, podczas rzadkich wymian zdań, głos pana Józka i mój brzmiał dziwnie nieswojo i przygłuszenie (może dlatego, że pani Munia siedziała na naszych kolanach).

Jednak wkońcu przyzwyczailiśmy się i jakoś tam dojechali. Podczas zwiedzania groty obie panie ciągle się bały i trzeba je było uspokajać, skutkiem czego pan Józek powalał sobie cały rękaw, objąwszy w ciemnościach zadymiony stalaktyt zamiast pani Muni, mnie zaś pokrzepiająco głaskała ręka pani Lali, która się zresztą przy wyjściu w blasku dnia okazała ręką pana Staszka (zawsze miałem szczęście do ludzi). Poczem w sąsiedniej gospodzie nastąpił miły acz bardzo pożywny podwieczorek w towarzystwie powiększonem o całą załogę samochodu, który również zwiedzał grotę (trzech panów i jedna pani bardzo dobrzy znajomi pani Lali,— z deptaka). Wracaliśmy późnym wieczorem gwarną kawalkadą pojazdów, umajonych gałęźmi ułamanemi z przydrożnych drzew. O kilometr przed uzdrojowiskiem pani Lala przypomniała sobie, że nie odbyła przepisanego przez lekarza przedkolacyjnego spaceru. To samo przypomniał sobie również jeden z panów, jadących w samochodzie.

— Trudno, moi państwo,— tłumaczyła się pani Lala,—kuracja przedewszystkiem. Będzie pan, panie Kaziu, no kolacji u Bochenka? Proszę tam na mnie zaczekać i zamówić to, co zwykle. Kelner będzie wiedział. Jedźcie państwo, a my, panie Karolu, chodźmy przez las, będzie bliżej.

Po powrocie do pensjonatu zastałem depeszę, wzywającą mnie do Warszawy. Gdy na kolacji u établissement „Bochenek" powiadomiłem o tem panią Lalę (spóźniła się nieco, gdyż musiała się przebrać ze względu na chłód wieczorny), zmartwiła się ogromnie.

— Co ja nieszczęśliwa teraz pocznę? Pan jest właściwie jedynym człowiekiem, którego znam w tej Pipidówce. Teraz znów zostanę samiuteńka. A tak się cieszyłam! Przyczem czuję, że ta kuracja nic mi nie pomoże. Wykonywuję najstaranniej wszystkie zabiegi, wyrzekam się wszelkich przyjemności, przestrzegam dyjety i czuję coraz większy upadek sił. To są nasze swojskie budy. O! idzie pan Józek.

— Ależ to nie on!

— Naturalnie, że nie ten, ani tamten, co pan myśli.

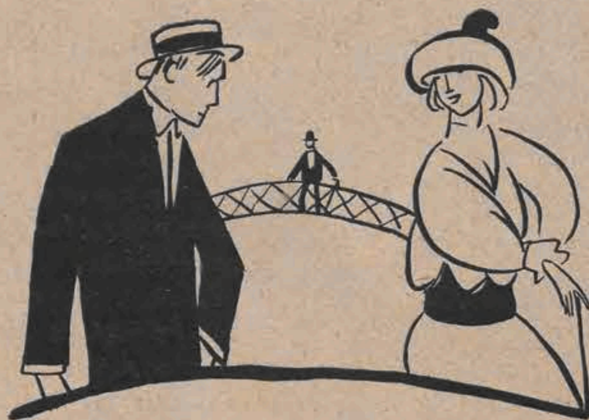
— Jeszcze jeden?

— Więc dla pana mam go przechrzcić na inne imię, czy co? Panie Józku, proszę poczekać na mnie na tym mostku, co zwykle. Żegnam pana, panie Kaziu. Muszę odbyć przepisany godzinny trening przed snem. Ah — ta kuracja!.. A w Warszawie proszę pamiętać, że jestem w Landeck!

I z uśmiechem męczennicy, idącej na ofiarę, zniknęła pani Lala w ciemnościach alei góry Parkowej (słusznie tak zwanej od wielkiej ilości parek, zaludniających jej ławki).

Pozostałem szczerze zatroskany nadmierną intensywnością kuracji pani Lali.

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI





Do Zoppot? Nie, jedźmy do starożytnych Bai, do „wybrzeża złotego błogosławionej Venus, do ponętnego daru dumnej Natury"[1]; nie do pruskiego, lecz do rzymkiego „badu", do starej kampanji, „siedziby Nimf i Nereid"[2].

Oto na cudnem kampańskiem wybrzeżu rozsiadło się rzymskie zdrojowisko. Samo piękno natury mogłoby uzdrowić chorego; a źródła gorące, kąpiele, kuracje w świetnie urządzonych domach zdrojowych oraz ożywione niezwykle życie towarzyskie stwarzały z Bai wyjątkowe zupełnie uzdrowisko.

Spróbujmy więc pojechać do Bai!

Nie staną nam na przeszkodzie trudności walutowe i paszportowe; kąpać się będziemy i mieszkać w „Kurhauzie", w którym bywał Horacy, w kąpielisku położonem w gaju mirtowym[3].

Obejrzymy wille królów i książąt narodów sprzymierzonych, bo mieć willę w Bajach jest punktem honoru dla nich[4]; obejrzymy wielką latarnię morską, park starożytny, restauracje, sklepy, w których sprzedadzą nam małe szklaneczki z napisem: „Na pamiątkę z Bai"[5].

Zwiedzimy wille, budowane na krawędzi wybrzeża lub sięgające w morze — budowane przez bogacza, o którym śpiewa Horacy:

„Ty zaś marmuru bryły skupujesz
I chociaż śmierć ci zagląda w oczy,
Na grób niepomny, domy budujesz,
I koło Bajów, gdzie morze toczy
Szumiące fale, ty chcesz wybrzeże
Rozszerzyć, jakbyś mało miał włości
Na stałym lądzie..."

Zgoda. Jedziemy. Ale czy będziemy się tam dobrze bawić?

Posłuchajmy relacji tych, którzy tam byli.

Na falach spokojnego morza, pod szafirowem niebem rozjeżdżają, jak opowiada Juvenalis, „Baianae cumbae — gondole"[6]; od czasu do czasu ukazuje się okręt książęcy lub królewski.

Pełni życia „kuracjusze" wiosłują, ścigają się łódki. Na „sztrandzie" ożywione grupki spacerujących, śpiew i muzyka, oraz... jak twierdzi Seneka — „inne rzeczy, które dla rozrzutnych nie są grzechem, ale przedmiotem sławy"[7]. Przejechać się można w każdej chwili łódeczką samemu lub we dwoje[8].

Noc tem bardziej więc święci triumfy — noc „gwiazdami oświetlona, a dzięki łagodnemu morzu spokojna" wedle słów Tacyta[9].

Że cnota w Bajach nie kwitnie—to rzecz pewna. Ale któż cnoty szuka na morskiem wybrzeżu? „Baje to schronisko wad" — biada Seneca; „Baje to siedziba Nimf i Nereid" — wielbi Martialis.

Nie dziwi nas uwaga Owidjusza, że ten i ów kuracjusz, otrzymawszy ranę w serce, rzekł: „Nie są te fale tak uzdrawiające, jak sława głosi"[10].

Mówią nawet, że niegdyś była zimna woda przy brzegu Baj, ale Venus rozkazała Amorowi przepłynąć zatokę i pozostawić w morzu iskrę ze swej pochodni—od tego czasu zapada na „sercową" chorobę (ale tę miłą wadę serca) każdy, kto zażył kąpieli. Przytacza wreszcie Martialis[11], że pewna surowych obyczajów rzymianka, nie ustępująca w cnocie starym Sabińczykom, przybyła na kurację do Baj „Penelopą", a wyjechała „Heleną".

Jeżeli zaś teraz, Piękne Panie, mężowie nie zechcieliby wobec tego puścić Was do Baj — powiedzcie im, że Penelopa może się zamienić na Helenę nietylko w Bajach, ale i... w Otwocku.

ZDZISŁAW KONOPKA

---

1) Martialis, Epigramaty XI, 81, 1 ff.
2) Martialis, Epigr. II, 57.
3) Horacy, Listy 15, 5.
4) Flavius — Starożytności XVII, 1.
5) Friedländer, Sittengeschichte Roms, I[10] str. 407—410.
6) Juvenalis Satyry XII, 80.
7) Seneca — Listy 51, 4.
8) Martialis — Epigr. III, 20.
9) Tacyt, — Kroniki XIV, 5.
10) Ovidius, Ars amandi I, 257-8.
11) Epigr. I, 63





Mojem zdaniem stało się bardzo źle, że Homer był ślepy i nie chodził do kina. Nie interesował się bowiem wcale tą dziedziną twórczości, nie wymyślił też jakiejś dziesiątej muzy o dźwięcznem imieniu, np. Kinoterpe. Dlatego właśnie sztuka filmowa nie ma dotąd ambasadora na Olimpie; wobec czego niektórzy twierdzą, że poprostu wcale nie jest sztuką.

U nas zwłaszcza — w każdej prawie kawiarni literackiej — ktoś kogoś mocno ująwszy za guzik, wygłasza *con brio* monolog następujący:

— Sztuka?! To? Że tam jakiś umorusany operator kręci sobie korbą, na płótnie obrazki migają, a orkiestra wygrywa: O Josef, mein Josef, was bist du so kensch?! Ale mówią tak ludzie, których nie rażą w kurjerkach łokciowe feljetony o teatrze i wzmianki garmontem, rozgłaszające światu, że urocza p. Dyndalska przy współudziale utalentowanych amatorów z łona straży ogniowej obywatelskiej wykonała z porywającem zacięciem jednoaktówkę „Tatuś pozwolił". Mówią tak ludzie lekkomyślni, którzy się nie zastanowili nad prostą kwestją: dlaczego to owa pani Dyndalska, grono strażaków z Będzina, „Faust" w Raciążu, „Hamlet" z Obożnej czy z Placu Kercelego mają bez apelacji passe-partout do salonów Wielkiej Sztuki i dlaczego tego glejtu mamy odmówić np. jednemu z najgenjalniejszych komików współczesnych Charlie Chaplinowi, uroczej i wdzięcznej Liljanie Gish, reżyserowi tej miary, co Griffith, malarzom, dekoratorom, architektom, muzykom, legjonowi artystów, poświęcających najlepsze pomysły i lata wytężonej pracy sztuce filmowej.



STANISŁAWA GALLONE,

warszawianka, jedna z najwybitniejszych artystek kinematograficznych włoskich. Jej kreacja ostatnia, film czteroaktowy „La madre folle" będzie wyświetlany w sezonie nadchodzącym w Rzymie, Paryżu i Londynie.

Nie wyłamujmy zresztą drzwi otwartych i nie poruszajmy kwestyj przesądzonych. Na Zachodzie oddawna już poważni profesorowie w poważnych aulach uniwersyteckich wykładają studentom „historję i etykę kina", każde większe pismo ma stałą rubrykę „z ekranu", prześwietne Towarzystwo Dickensowskie w Londynie broni filmu „Oliver Twist" przed

zakusami cenzury, a Fatty-grubasek jest dziś w Paryżu napewno bardziej znany od Coquelina.

Ale rzeczą doprawdy podziwu godną jest to, że właśnie w krajach kulturalnych, w krajach, gdzie każdy kamień przydrożny jest przepojony atmosferą wielkiej sztuki, w miastach, w których brukowce i flizy chodników więcej mają wykształcenia artystycznego, niż niejeden z naszych estetów — właśnie tam, w boskiej Italji, we Florencji, w Rzymie teatr upada, a kinematograf się rozwija.

W rzymskiej „Argentinie", na scenie źle zbudowanej, zawieszonej ordynarnemi płachtami, gromada kiepsko ogolonych, rozczochranych aktorów powtarza — licho wie poco — za suflerem tekst komedji, publiczność gwiżdże, albo, co gorsza, bije brawo przy każdem zabawniejszem „sypnięciu", sztukę po trzech nieudanych wieczorach zdejmują z afisza. Tuż obok na Via Nazionale, albo na Cola di Rienzo, stoi gmach, zbudowany przez najlepszego architekta włoskiego, gmach z rozsuwaną jak w obserwatorjum kopułą, przez której sektory blade gwiazdy zaglądają do sali naprzemian tajemniczo ciemnej, to znów grającej światłami, wypełnionej dźwiękami najświetniejszych orkiestr, zapachem perfum i kwiatów, szelestem najwykwintniejszych tualet, ogniem krzyżowym spojrzeń, błyskiem uśmiechów, połyskiem kobiecych ramion, krótko mówiąc, wszystkiem, co najbardziej poetyczny reporter w momencie najwyższego uniesienia wypisać może.



Stany Zjednoczone ogłaszały w ostatnich czasach tyle konkursów piękności, że jedna z wielkich ilustracyj amerykańskich wpadła na pomysł ogłoszenia konkursu premjowanych już piękności. Laureatką tego konkursu została Miss Anna Perdue, utalentowana gwiazda kinematograficzna, która została Królową Piękności na całą Amerykę

Tak wygląda „Splendor", „Augusteo" czy „Cines" (ktoby tam wszystkie nazwy spamiętał) i tu najlepsi obywatele współczesnego Rzymu gromadzą się tłumnie, aby podziwiać, tym razem szczerze, obok bladych gwiazd firmamentu gorejące wielkiem światłem gwiazdy ekranu: Bertini, Gallone, Jacobini. Bo to trzeba przyznać: dziwnie hojnie obdarza dziesiąta Muza sławą i popularnością swoich ulubieńców!

Warszawianka, Stanisława Gallone, jest głośna w kraju Galileusza — od Pontebby do Girgenti i od Fiume do Palermo. Małe dzieci szkolne ją znają, najwybitniejsi pisarze nowych Włoch, Sem Benelli, Pirandello, d'Ambra składają jej wonne wiązanki swych natchnień w ofierze.

Doprawdy, sława filmowa ma się do nikłej sławy teatralnej — jak aeroplan do kolejki podjazdowej...

BRUNO WINAWER



In vino veritas

STEFIE POŚWIĘCAM

Jeżeli zważymy, że na pierwszej stronicy Pisma św. Pan Bóg tworzy dopiero świat, a już na ósmej Noe leży urżnięty wpień, to przekonamy się, że widocznie pilną sprawą było obdarzenie człowieka boskim trunkiem gronnym, winem, które od Noego do Poego i od Poego do poetów dzisiejszych trąbią całemi oceanami najlepsi synowie wszystkich narodów — i właśnie poeci w pierwszym rzędzie. Bo jakże inaczej? Jeszcze Wacław Potocki mawiał, że „o wodzie i o jusze kwaśnej nie może wiersz być ładny, nie może haraśny". Ciągnie się tedy nieskończony szereg pijaków, opojów, biboszów, dmikuflów, dmidzbanów, moczygębów, chlaczy, popijaczy, opilców — pochód cały zataczających się, rozchwianych, rozkołysanych na wesoło i na smutno kompanów. I co za rozmaitość panuje w określeniu tego stanu! Człowiek bywa nietrzeźwy, podochocony, podchmielony, zawiany, trynknięty, czerknięty, podcięty, wstawiony, pod dobrą datą, wlany, urżnięty, ululany, pijany jak Bela, wreszcie zryty, jak to się mówi, na zielono, kiedy mu w mózgu kanarki wyprawiaja rzeczy tak dziwne, że nie odważę się o nich pisać. Zalewanie pały jest zjawiskiem tak powszechnem, że należy mu się wreszcie jakaś apologja, jakaś obrona przed zarzutami obskurantów, którzy istoty alkoholu nie rozumieją, a uważając życie za pierwszorzędne sanatorjum, na jedno tylko zdobyć się potrafią: na pokazywanie wątroby pijaka, która rzeczywiście różni się nieco od wątroby abstynenta, lecz cóż to wogóle za załatwianie sprawy zapomocą wątroby?

Nie mam bynajmniej zamiaru agitowania za pijaństwem. Wprost przeciwnie—jestem gorącym zwolennikiem zakazu sprzedaży trunków wyskokowych, albowiem napój tak szlachetny nie powinien być dostępny dla byle kogo, lecz stać się przywilejem wybranych, rozumiejących jego istotę i oddziaływanie. Nie chcę także, aby mnie źle zrozumiano i pod innym względem.

Proszę nie sądzić, że uważam alkohol za stimulus poetycki. Bynajmniej. Wstrętem napawają mnie owi oszuści liryczni, których teraz jest na szczęście mniej, lecz którzy przed 20 laty grasowali bezkarnie po wszystkich literaturach, upijając się i pisząc ponure i kiepskie sonety o duszy. Panowanie Nosa z „Wesela" Wyspiańskiego skończyło się bezpowrotnie, a my, poeci współcześni, wiemy, iż indyjski Soma, bóg soku odurzającego, jest jednocześnie bogiem odurzającego Słowa — i niepotrzebna jest nam butelka pod pachą, aby zaznać upojenia. Będę tedy traktował alkohol, jako zjawisko, nie szczędząc mu wprawdzie słów należnej pochwały, lecz dalekim będąc od snobistycznych maksym na temat ucieczki za jego pomocą od tak zwanej głupio „szarej rzeczywistości". Bodlerowskie „enivrez vous" zgłębić trzeba i przemyśleć, aby zrozumieć, iż wino tak samo płynie z otwartego nieba, jak z odkorkowanej butelki.

Mówi Potocki, że

„Wino koniem poetom. Ledwo go
w brzuch nalał,
Rzekłbyś, że od rozumu odszedł,
będzie szalał,
Nie inszą snać przyczynę uważał,
ale tę,
Kto nazwał po łacinie epotą*) poetę".

Poeci piją rzeczywiście najczęściej i może najwięcej. Czemu się to dzieje — dociec trudno. Jeden z przyjaciół moich, świetny poeta i niezgorszy pijak, opowiadał mi niedawno, jak leżał i dumał smętnie, dlaczego on właściwie pije. I to, powiada, że się nad tem zastanawia, tak go zasmuciło, że poszedł na wódkę. Lecz poza przyczynami bądź to natury anegdotycznej, bądź wynikającej z trybu życia, zaglądanie poetów do kieliszka ma głębsze, istotniejsze przyczyny. Nie wierzę w zalewanie robaka ani tak zwane rozpędzanie trosk zapomocą alkoholu. Trunek ten bowiem to ma do siebie, że każde uczucie pogłębia jeszcze bardziej. Smutek jest po pijanemu smutniejszy i radość radośniejsza. Ja osobiście, mając jakiekolwiek zmartwienie, unikam alkoholu, gdyż wiem, że w oparach jego urośnie ono do rozmiarów bólu i rozpaczy. Radość natomiast, nawet w stanie ukrytym, skropiona porcją mocnego płynu, ponosi z kopyta, z serca skacze do mózgu i strzela oczyma w taką dal, o jakiej nawet zwarjowanym astronomom się nie śniło. W głowie powstaje zamęt, pewne zawoalowanie, zaćmienie, lecz jednocześnie dziwna ostrość i dobitność odczucia; zaczyna się wrzawą i galop myślowy, tętent wyobraźni, każdy odruch woli staje się imperatywem, rzeczywistość nie nabiera kształtów fantastycznych, jakby kto mógł sądzić, lecz przeciwnie — ukazuje się obnażona i prawdziwa, w całej swej bezwzględnej okazałości; życie, podniesione do kwadratu, uwypukla się i porywa nowemi formami, które jeszcze przed godziną były zatarte i niepozorne; popęd odwagi, nieoczekiwane ge-

*) Pijakiem.

sty, wesoła wolność, szczerość i rzewność, nieprzeparta chęć do śmiechu, śpiewu i tańca, podziw, budzony przez najzwyklejsze rzeczy, wreszcie całe mnóstwo śmiesznostek, jak np. tajemniczość, z jaką człowiek pijany opowiada najprostszą historję, lub nieuzasadnione pretensje, z jakiemi ni stąd ni zowąd zwraca się do najlepszych przyjaciół — wszystkie te cechy mają wiele uroku i swoistego wdzięku.

Człowiek pijany jest stanowczo łagodniejszy i lepszy od trzeźwego. Nie mówię naturalnie o wyjątkach. Widziałem opilców rozbestwionych, żarłocznych, chutliwych, brutalnych, jak dzikie zwierzęta. Tacy budzą wstręt i obrzydzenie. Naogół jednak przeważa kategorja pierwsza.

Wszystko zależy właściwie od tego, kto pije, jak i ile. Zapijanie się do nieprzytomności, połączone z całym szeregiem ekscesów fizjologicznych, jest obrzydliwe i dowodzi, że dany osobnik nie godzien jest zaznawania rozkoszy wina. Byłem niedawno świadkiem tarzania się po ziemi pewnego malarza, który z pianą na ustach chwytał uczestników uczty za nogi, wyjąc przytem i wyrzucając ze siebie całe słowniki skatologiczne. Ten stan ze-



zwierzęcenia wskazuje, że istnieje ars bibendi, sztuka picia, na wzór ars amandi, sztuki kochania.

Pierwszym paragrafem tej sztuki, pierwszą zasadą każdego jej mistrza jest umiarkowanie. Vini potu moderato hilarari animum — ta dewiza znakomitego pijaka, a w wolnych chwilach i poety, Horacego, powinna przyświecać wszystkim uczniom pijackiego cechu. Wlewanie do żołądka potwornych ilości wódki, piwa, likieru i wina, bezładna mieszanina trunków, pośpiech i łakomstwo nie dadzą nigdy prawdziwego zadowolenia. Pić należy powoli, wybrednie, z rozwagą, zastanowieniem i z szacunkiem dla napoju.

Przyjrzyjmy się rozmaitym odmianom alkoholu i zbadajmy bezstronnie rodzaje ich działania oraz możliwości efektów upojeniowych.

Zaczynam od wódki. Wódka powinna być mocna, czysta, zimna i bez zapachu — w każdym razie tak zwana większa mocna, od której należy zaczynać każdy seans, powinna posiadać cztery powyższe zalety.

Sam akt wychylania kieliszka, musi mieć w sobie coś z pioruna: całą zawartość wlewa się do ust bez zastanowienia, nagle, z pasją niepozbawioną czułości, i połyka się entuzjastycznym haustem tak, aby iskry i łzy stanęły w oczach, aby sparzona gardziel pełgała przez chwilę białym płomykiem. Po pewnym czasie, potęgując stopniowo dawki i nie zapominając o starej maksymie, że pierwszy się nie liczy, należy wstrzymać seans co najmniej na pół godziny, aby dać wódce czas na wytworzenie atmosfery, sprzyjającej szeregowi tak zwanych przedostatnich kieliszków, które wolno już pić bez zachowania poprzedniego ceremonjału, pamiętając o tem jedynie, aby nie przeciągać strunki, gdyż wtedy wódka staje się męką, rozpaczą i utrapieniem.

Kto poczuł już punkt kulminacyjny efektu, a sądzi, że uda mu się utrwalić go zapomocą jeszcze dwóch czy trzech kieliszków — ten grubo się myli. Moc, obudzona w nim, słabnie, ruchliwa wesołość przechodzi w ponurą ociężałość, w bezwład, w straszne uczucie przedśmiertne, w zgrozę budzące mdłości, połączone z takiem obrzydzeniem dla trunku, że kropli więcej przełknąć nie można. Są, naturalnie, łby, dla których nadmiaru niema, gdyż wlewają w siebie kubły i cebry, a nigdy nie są pijani, lecz o tych mówić nie śmiem, jako że budzą we mnie zabobonny strach i poważanie. Dla przykładu tylko powiem, że byłem niegdyś w towarzystwie dwóch panów, którzy po wypiciu trzech karafek wódki, czterech butelek tokaju, butelki koniaku, butelki Cointreau i ośmiu kufli piwa przywołali kelnera i szepnęli mu coś na ucho, kelner zaś podał na nowo wódkę i zakąskę. Zaznaczę skromnie, że udział mój w tej uczcie był całkowicie platoniczny.

Wódka jest zresztą brutalna i działanie jej kończy się często czarnym, ciężkim snem. Przechodzę tedy do wina, do złotego, świętego wina, które upaja, jak kwiecień, jak księżyc, jak pierwsza miłość, do wina, które, nawet ciemne, odurza jasnością, nawet cierpkie, musuje słodyczą, które się pieni i żyje w cienkim kielichu swem tajemniczem winnem życiem, błyskami, szumem, rozlewnością, wonią, dzwonnym bulgotem o swej pradawności. Wino — to arystokrata, wino ma swe legendy i tradycje, ma tysiąc dźwięcznych pieśni i świtę wiernych, zakochanych wassalów. Dzieje grona winnego sięgają aż do kolebki dziejów kultury ludzkiej. Sadził je Noe, Fenicjanie rozpowszechnili wzdłuż wybrzeży morza Śródziemnego ze wschodu na zachód, Egipcjanie, prócz swego piwa, pijali sok gronny i czcili Ozyrysa, jako dawcę tego nektaru. Wiecznie młody bóg, Bachus, czczony był nie mniej, niż inne bóstwa, a Grecy i Rzymianie pili tęgo i uczciwie. W swej arcyświetnej monografji „Der Wein", zastanawia się Hans von Zobeltitz nad ciekawą sprawą, czy smakowałyby nam obecnie owe, tak wysławiane przez poetów staro-



żytnych, wina antyczne — i dochodzi do wniosku, że nie. Nawiasem zaznaczę, że kulinarny eksperyment tego rodzaju zrobiła ongi córka Gustawa Adolfa, królowa szwedzka Krystyna, która zaprosiła uczonych szwedzkich na obiad, przyrządzony według przepisów książki kucharskiej Celjusza Apicjusza *). Skutek był ten, że poczciwi profesorowie popsuli sobie żołądki.

Ta sama historja powtórzyłaby się napewno przy piciu win starożytnych. Badania wykazały, że grecy i rzymianie dolewali do wina miodu i wody morskiej, aby przy-

*) Coelius Apitius. De re coquinaria. Venetiis 1499.

spieszyć fermentację. Wątpię tedy, czy smakowałoby nam nawet wino z jagód Cekuby, w prasach kaleńskich wyciskane, nawet falerno z Sinucory i Casilinum, nawet vinum massicum lub mamertinum, słynące w Rzymie od Cezara. Nie obeszłoby się pewno bez vinum rabarbarum, gdybyśmy owych smakołyków starożytnych zakosztowali.

Istnieje milutka legenda grecka o powstaniu wina. Szedł niegdyś Dionizos do Naksos. Zmęczony drogą, siadł na kamieniu i spostrzegł małą roślinkę, która mu się bardzo podobała. Wziął ją tedy ze sobą i ruszył dalej. Słońce prażyło z nieba, więc Dionizos bał się, że mu roślinka uschnie. Podniósł więc z ziemi ptasią nóżkę i ukrył w niej wątłe źdźbło. Lecz w boskiej dłoni Dionizosa zaczęła się roślinka rozrastać, tak że nowe pędy trysnęły z obu stron kostki. Musiał więc schować ptasią nóżkę w znalezionej kości lwa, a gdy i w niej nie mógł ukryć rozwijającej się ciągle zieleni, włożył wszystko w grubą nogę oślą. Tak doszedł do Naksos, Chciał zasadzić w ziemi znaleziony korzonek, lecz przyrósł on do ptasiej nóżki, ta zaś do kości lwa, która znów zrosła się z nogą osła. Patrzy — a tu z małej roślinki rosną już grona. Wycisnął z nich sok i nauczył ludzi pić wino. I wtedy stała się rzecz dziwna. Kto łyknął sobie porządnie, ten był z początku wesół i śpiewał jak ptak, potem stawał się silny jak lew — a wreszcie głupi jak osioł.

W alegorji tego niewinnego opowiadania jest może szczypta prawdy, lecz uważam, że czynienie na temat wina dowcipów nie przystoi zupełnie zwolennikowi jego. A że najszczerzej i najpoważniej pragnę wyśpiewać mu hymn—szukam słów najdrogocenniejszych, pochwał najwznioślejszych, najczulszych zwrotów, najgorętszych wybuchów zachwytu...

Ale że tego rodzaju afekty narażają mnie często na milutkie i szybko przemijające scysje z osóbką, którą zaszczyciłem dedykacją artykuliku, dam lepiej spokój... Będę chłodny i fachowy: w następnym numerze „Pani“ zamieszczę ściśle naukową dyssertację, stanowiącą rozdział z uczonego dzieła o alkoholu, które piszę.

Dyssertacja moja będzie miała tytuł tajemniczy a smakowity: „Coctail, flip, fizz, sling, smash and sour“.

J. Tuwim



Chinoiseries.

Nie poto chcę jechać do Chin,
by widzieć piękne świątynie —
bramę jakąś Ming czy Tsin,
lub pejzaż w Kao-linie.

Przecież
póki mam twarz białą z różowem,
bez kurzych łapek na skroni,
marzyć o tem i owem
nikt mi nie wzbroni.

Otóż
chcę jechać do chińskiej miłości,
chcę jechać do chińskiej wiśni —



najłatwiej tam i najprościej
sen chiński mi się wyśni.

Może
jakiś szumiący dostojnik,
nieznany, żółty i ciemny,
w ramionach mięśniami zbrojnych
nauczy mnie chińskich tajemnic?

— Jakich?
— Tajemnic laki, herbaty,
płaskich jak liść kapeluszy,
pagód i smoków rogatych —
i mojej własnej duszy.

M. KOSSAK-PAWLIKOWSKA

RZECZ O „NAGOŚCI" W TEATRZE

Stulecia prawie było potrzeba nato, by odsłonić w teatrze wdzięki kobiety aż do ...trykotu mniej lub więcej dyskretnego. Ale dzisiaj, po wojnie, żyjemy w epoce realizacji i pośpiechu gorączkowego. Nikt nie ma czasu na czekanie. Jak dziecko niecierpliwe, które odrazu zabawkę rozbiera na jej części składowe, publiczność chce widzieć i wiedzieć natychmiast, co i gdzie piszczy pod trawą. Pęd wzniosły do prawdy, do ideału i absolutu — nagiego ogarnął rzesze. Ta i owa tancerka ma ładne nóżki, inna twarzyczkę anielską i ramiona hurysy. Czy to nie złuda? czy niema w tem co do „reszty" jakiegoś oszukaństwa? Publiczność stęskniła się za doskonałością, jak Tomasz niewierny żąda, aby ją przekonano naocznie. Nie uznaje półśrodków. Kobiece „nu" na scenie ma być piękne w całości — od stópki kształtnej, poprzez śpiewną linję biodra i konchę łona rzeźbioną, aż do wychylających się w przestrzeń pąkowiem strzelistem piersi z różanego marmuru. Inaczej, niech lepiej aktorka zostaje szczelnie ubrana.

Zwyczaje ani klimat nie pozwalają narodom zachodnim i północnym na wskrzeszenie tradycji pięknej nagości w życiu publicznem dawnej Grecji, Rzymu. Ale pęd ponowny do odrodzenia klasycznego wzmógł się znacznie. Misterja eleuzyńskie i korowody świętych bakchantek przeniosły się do teatrów i music hallów. Publiczność ma dosyć pruderji i połowiczności. I oto z rozmachem gwałtownym fala szczerości opanowuje deski sceniczne i zmywa, że się tak wyrażę, ostatnie ślady starej hipokryzji, pozostawiając zaledwo tu i owdzie — dla efektu estetycznego — listek figowy. Ten — ci się zdaje symbolem i godłem, do którego zmierza najnowsza moda teatralna. Legje ładnych kobiet zeszły na scenę, olśniewając widza swą nagą urodą w tęczowym blasku rozdrganych dekoracyj, urozmaiconych gdzie niegdzie plamą barwną ulotnej, wykwintnej toalety.

Gdzie szukać źródeł reakcji? Skąd przyszły oskarżenia, zarzuty, potwarze? Któż zdoła dokładnie to wytłumaczyć. Dość, że znaleźliśmy się w Paryżu w okresie powrotnej fali wstydliwości, vogue de pudeur. Zaalarmowano władze groźą demoralizacji, szerzącej się na widowni rzekomo z „nu" scenicznego. Rząd poświęcił tej kwestji „palącej" specjalne posiedzenie. I zagroził swemi piorunami jowiszowemi. Minister spraw wewnętrznych (dlaczego nie zewnętrznych?) wydał zarządzenia, i proces sensacyjny może już jest w toku.

Wprawdzie złośliwe języki mówiły, że sprawa powstała w grodzie ludzi sędziwych, których widok „nagości" obraża śmiertelnie, ponieważ z wiekiem opuściła ich męska siła, opadła im broń... Mówiono o rozdrażnieniu panującem w pewnych sferach wpływowych, a brzydkich (przysięgamy, że takich nie znalazłbyś wśród czytelniczek Pani!) przedstawicielek płci pięknej na widok nielojalnej konkurencji aktorek. Mówiono o perfidnej prowokacji piosenkarzy kabaretowych, którym zabrakło było tematu... Mówiono... ale poco wdawać się dalej w plotki.

Sprawa wytknięcia granic legalnych „nagości" na scenie poruszyła publiczność z pewnością dużo więcej, niż wytykanie granic geograficznych, jakiemi zajmowali się do tychczas dyplomaci z zawodu. Wykwintny dziennik elity umysłowej i artystycznej „Comedia" rozpisał ankietę. Wszyscy się godzą w swych odpowiedziach nato, że tak samo, jak w sztuce, piękne „nu" ma prawo bytu w teatrze. Lecz tutaj opinje się podzieliły. Cytowano zdanie wielkiego pisarza Paul Adama, że wolność absolutna jest warunkiem piękna, że wszelkie ograniczenia i kary prowadzą w tej dziedzinie do hipokryzji i groźniejszego, bo ukrytego rozpasania. Opowiadano, jak znany malarz Bonnat wzbraniał się otworzyć drzwi kardynałowi Lavigerie, gdyż właśnie malował w pracowni nagą modelkę. „Ależ nagość jest niewinna" — odparł wchodząc wielki kardynał. Przeważna część głosów wskazywała, że „nu„ kobiece na scenie może być estetyczne tylko w obrazach i pozach nieruchomych, harmonijnie skomponowanych. Przeciwnie pozy i gesty dwuznaczne w połączeniu z żywszym ruchem burzą piękno linji ciała kobiecego i wywołują u widza — o horrendum! odruchy zmysłowe. Podniesiono słowem do wysokości aksjomatu twierdzenie, że ciało kobiety jest estetyczne tylko na płótnie, na podjum rzeźbiarskiem lub też na łożu, tym tronie naturalnym kobiety. W odpowiedzi nato, Gémier powstał w obronie tańca charakterystycznego, w którym nagość tancerki może przyczynić się ogromnie do ewokacji artystycznej całości. Szczegół zabawny! wszyscy dyrektorzy music hallów wystąpili z gotowością skasowania częściowego lub ograniczenia „nu" na scenie, pod warunkiem, żeby uczynili to wszyscy konkurenci. Czy aby olśniła ich łaska i przejrzeli otchłań piekieł, do których ściągają swych widzów orgją rozbrykanej nagości? Bynajmniej, chodziło o trudność wynalezienia dostatecznej ilości statystek, zbudowanych bez zarzutu, a któreby mogły demonstrować *bez wstydu* plastykę swej karnacji.

Najmocniej wszakże musi przemawiać do sumienia mężów stanu argument przedowcipnego Nozière'a. W tłumie nagich kobiet — powiada — który wałęsa się po scenie a często gęsto i na widowni, widzę jedno wielkie niebezpieczeństwo. Uwaga i emocja widza rozprasza się i zmienia swój charakter. Ciało kobiety zatraca w ten sposób urok swej tajemnicy. Podobnie, jak pracujący w cukierniach gubią apetyt do słodyczy i ciastek, w widzu wytwarza się w tych warunkach popęd do stanu czystości i niewinności. Rząd troskliwy o dobro publiczne, powinien rozważyć poważnie niebezpieczeństwo, które wynika z tych zbiorowych nastrojów dla sprawy zaludnienia Francji, wystawionej szwank. Już Sully Prudhomme pisał, że człowiek jest jedynem zwierzęciem, które wymyśliło osłony dla większego rozkoszowania się nagością. Nie pospolitujmy tedy publicznie tego, co czar swój główny zawdzięcza tajemnicy i intymności.

Tymczasem władze wytoczyły śledztwo dyrekcji Palace, jednego z większych music hall'ów, za niemoralność pewnych scen revue Toutes les femmes. Spowodowało to już kilka arcy-zabawnych qui pro quo. Tancerce brzucha Zoulajce sędzia śledczy p. Bacquart postawił np. niedyskretne pytanie, o czem myśli w tych chwilach. Zamiast odpowiedzi artystka zademonstrowała swój taniec, dla wykazania, że nie ma on nic wspólnego z tem, o czem myślał sędzia. Tenże wybraniec losu polecił drugiej oskarżonej p. Rahna wykonanie zakwestjonowanego jej popisu w „Popołudniu Fauna".

Trudno powstrzymać się w tem miejscu od wyrażenia podziwu dla sumienności i poświęcenia urzędnika francuskiego. Przesłuchanie trwało trzy godziny, podczas których p. Rahna podobno ciągle tańczyła. Artystka opowiadała później, że seans ten mocno ją zmęczył tem bardziej, że w chwili, gdy zgodnie z perypetją tańca znajdowała się w pozycji leżącej — zwykle ktoś stukał do drzwi, i sędzia pośpiesznie ją prosił, by wstała, „dla uniknięcia niepożądanych posądzeń"? Zapomniałem dodać, że oskarżone stawiły się do gabinetu p. Bacquart'a w swym „stroju" scenicznym...

W sferach miarodajnych rozważają obecnie projekt stworzenia urzędu „eksperta od nagości", który własnem sumieniem i własną na intymne widoki wrażliwością będzie mierzył, czy trykot w danem miejscu jest nieodzowny, czy liść figowy ma kształt i rozmiary moralne, czy plastyka danego aktu jest „estetyczna" czy też... Zapewne dla ścisłości naukowej wypadnie kreować dla tych ekspertów specjalne luporatorja, gdzie z pomocą centymetru, lupy oraz innych sposobów eksperymentalnych będą poddane badaniu kolejno setki statystek z każdej mniej lub więcej „obnażonej" revue.

Zajęcie miłe, lecz jakże odpowiedzialne! Czy długo mu wydołać potrafi nawet najbardziej potemu przez naturę obdarzona jednostka płci brzydkiej. Przysłowie łacińskie nie darmo powiada, „nec Hercules contra plures"!

Zaiste, odpowiedź na pytanie, gdzie są granice artystyczne „nagości" w teatrze, wygląda coraz bardziej na kwadraturę koła, z którem tyle ma zresztą w licznych swych „szczegółach" pokrewieństwa.

EDWARD WORONIECKI

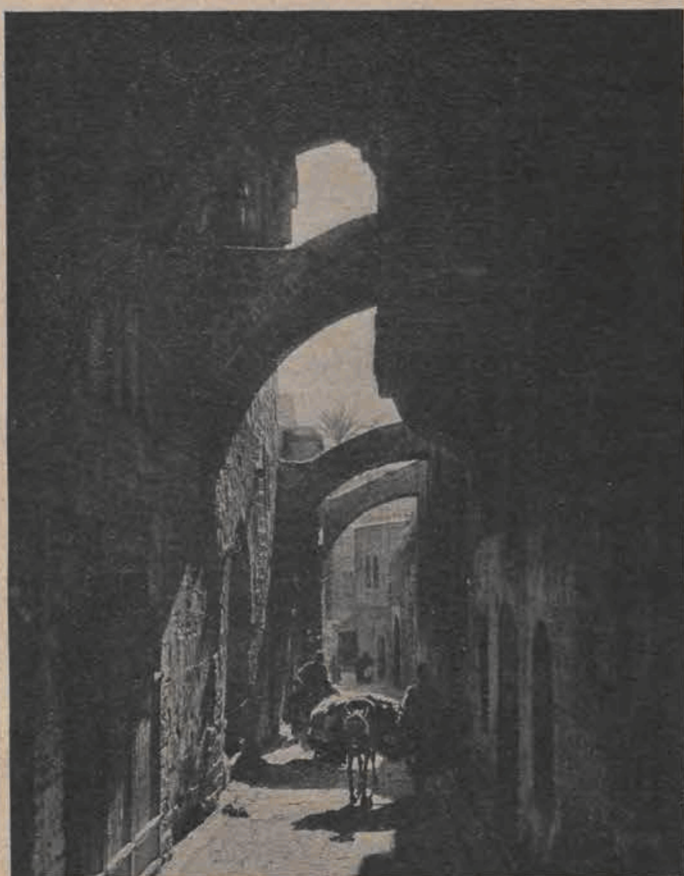


PARYŻ W LIPCU



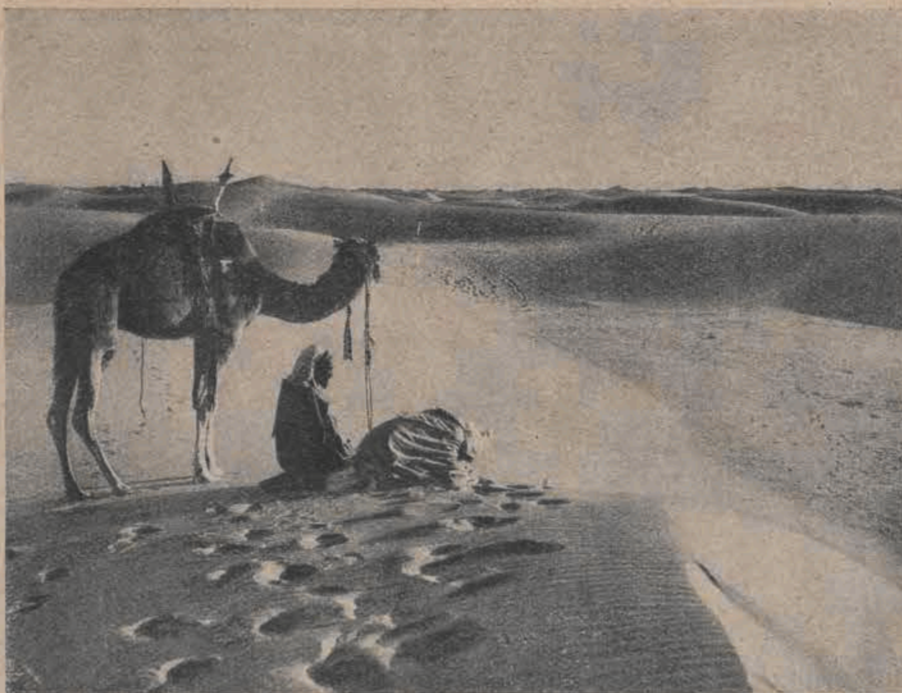
Kodak i Cook są to pionerzy cywilizacji. W małej mieścinie arabskiej, a właściwie oazie Bet-Ha-Nun, w pobliżu Gary, z rozrzewnieniem spotkałem się z temi dwoma wyrazami pełnemi znaczenia i potęgi. Wszędzie, gdzie jest biuro Cooka lub sklep Kodaka, podróżny czuje się bezpieczny i spokojny, jak kukułka. Siedząc na białym kamiennym dachu arabskiego domku, patrząc na srebrny księżyc wychylający się z za szyldu Cook'a i na palmę, ozdobioną reklamą Kodaka, rozmyślałem nad znikomością życia własnego i mojej pracy. Któż sięgnął wyżej w światowej popularności od Kodaka i kto przewyższy Cook'a w jego sławie? Czyjeż pióro potrafi wywrzeć wpływ taki na współczesność, jak te dwie firmy handlowe? Jeśli zgodzimy się, że podróż kształci, przyznać musimy, że biura podróżnicze Cook'a są profesorami w akademji kształcenia — one swojemi prospektami namawiają nas do zwiedzenia Aten lub Kairu, one dają nam książeczki biletowe, które nam pozwalają się zatrzymać tak długo i tam, gdzie sobie Cook uplanował, one to nam tłumaczą, że niewolno, będąc w Aleksandrji, nie pojechać do Kairu, będąc w Kairze, nie zwiedzić Port-Saïdu i będąc w Saïdzie nie zwiedzić Jerozolimy, Damaszku, Bagdadu, Tybetu, Indyj, Chin. Jeśli Cook wyznacza nam marszrutę, narzuca tryb życia, hotele i restauracje, o tyle Kodak zajmuje się stroną piękną naszej podróży i kształci nas artystycznie. Każdy pasażer pierwszej klasy (bo o plebsie i o sobie nie mówię), który zatrzymuje się w Kairze, w hotelu Shepheard's lub Majestic, musi nazajutrz rano pojechać do Piramid i zrobić sześć błon Kodaka; trzy z lewej strony Sfinksa i trzy zdjęcia trzech piramid. Na miejscu jest dragoman, który wskazuje fragmenty najpiękniejsze i mały boy, który wskazuje najartystyczniejsze, oświetlenie. Są tam też w pobliżu małe dzieci arabskie, które w odpowiedniej chwili ustawiają się w malowniczą grupę (po szylingu od osoby) u stóp Sfinksa dla uwidocznienia skali i istotnej wielkości tej beznosej rzeźby.

Kodak utrzymuje (zresztą bardzo słusznie) w każdem mieście tak zwane charakterystyczne typy. Są to przeważnie starcy z długiemi brodami, ubrani malowniczo, którzy siedzą w miejscach widocznych i dobrze oświetlonych. Między ludnością a podróżnymi istnieje idealne porozumienie, o ile bowiem każdy podróżny daje z przyjemnością szylinga za obejrzenie Sfinksa, o tyle każdy tubylec oddałby chętnie Sfinksa za obejrzenie szylinga. Cook nie pozwala jednak zbytnio eksploatować podróżnych w obawie, że nie wykupią biletu powrotnego — turyści, którzy popełnili tę nierozsądność, zgóry oddani są na pastwę i eksploatowani rabunkowo. Po objechaniu wszystkich linij Cooka i zrobieniu paru tysięcy zdjęć, podróżny, który był zawstydzany i traktowany surowo przez urzędników biura podróży, doznaje często miłego i żartobliwego traktowania ze strony przedstawicieli tej instytucji. Po paru latach podróży jest



Ulica w Jerozolimie

on nawet czasem klepany po ramieniu i nazywany po imieniu oraz odwrotnie. Szablon, który te dwie potęgi narzuciły światu, uwidocznia się nawet w strojach turystów. Na wschodzie wszyscy europejczycy chodzą w białych ubraniach tropikalnych, w białych pantoflach i w wielkich czarnych okularach, no i oczywiście każdy ma książeczkę Cook'a, aparat Kodaka i sznurek. Mój Boże! Kiedy się przez kilka tygodni patrzy od rana do wieczora na Anglików, Amerykanów i Japończyków, fotografujących o tej samej porze te same piramidy, gdy widzi się, jak galopują po piasku na osłach i wielbłądach Cook'a, przychodzi na myśl, że cały świat został stworzony poto, aby go fotografowano.



Modły o zachodzie słońca

Ziemia kręci się dokoła swej osi, jak rolka Kodak-Filmu, a Cook wykreślił na mapie nieba marszrutę, którą ziemia i słońce sumiennie odmierzają. Jeżeli umrę tutaj, na ziemi egipskiej, to nie od porażenia słońca, bo Cook kazał mi kupić kask tropikalny, nie od zapalenia oczu, bo w sklepie Kodaka sprzedano mi czarne okulary, nie umrę na biegunkę, bo Cook nie pozwala biegać, a każe jeździć, ale umrę poprostu na Cook'a z komplikacją Kodaka. Umrę cicho i bez skargi, śmierć bowiem będzie mi ulgą. Boję się tylko jednego — że przed zgonem przyjdzie do mnie sam stary Cook i wręczy mi bilet na tamten świat, a sędziwy Kodak własnoręcznie odfotografuje mnie w trumnie.

Kair 19.V. ANTONI SŁONIMSKI



Międzynarodowa wystawa sztuki dekoracyjnej w r. 1925 w Paryżu

W r. 1925 odbędzie się międzynarodowa wystawa sztuki dekoracyjnej w Paryżu. Inicjatywa tej wystawy powstała jeszcze przed wojną, kiedy Francja zauważyła stałe zmniejszanie się eksportu produkcji francuskiej z dziedziny sztuki dekoracyjnej. W wyjaśnieniu przyczyny tego smutnego faktu okazało się, że dzieje się to dlatego, iż francuski przemysł artystyczny przeważnie ograniczał się w swej produkcji do kopjowania stylów historycznych, a bardzo mało uwzględniał współczesnego ducha i jego styl. Tymczasem Niemcy zorganizowali w całem państwie doskonałe szkoły przemysłu artystycznego, które następnie wytworzyły całe masy sił twórczych, produkujących współczesne z uwzględnieniem celowości, higjeny i zastosowania materjałów przedmioty.

Dzisiaj w Niemczech wszystko, co ma cokolwiek wspólnego z formą plastyczną, jest tworzone pod kontrolą artysty-plastyka, nawet ulica i fabryka w swym zewnętrznym wyglądzie musiały mu się podporządkować. W roku 1913 w paryskim „Salonie jesiennym“ Monachijczycy urządzili wystawę niemieckiej sztuki dekoracyjnej i mieli nie tylko sukces moralny, ale całą wystawę wyprzedali. Fakt ten ostatecznie uświadomił Francuzom grożące im niebezpieczeństwo konkurencji niemieckiej nietylko na gruncie zagranicznym, ale nawet we własnym kraju. Oczywiście jednak to, co Niemcy zrobili przez kilkanaście względnie kilkadziesiąt lat systematycznej pracy nie da się zniwelować przez urządzenie jednej, doraźnej, choćby w największych rozmiarach, wystawy. Stąd też przygotowania do wystawy datują się jeszcze z przedwojennych czasów, a w ostatnich latach termin wystawy, trzykrotnie zmieniany, został ostatecznie przez parlament francuski oznaczony na rok 1925.

Dewizą wystawy jest jej współczesność, wszystko, co jest kopją, reminiscencją lub kompilacją stylów przeszłości jest zgóry od udziału w wystawie wykluczone. Tę zasadę musiała Francja postawić przedewszystkiem własnym artystom, którzy pozostawając pod zbyt silnym urokiem swej pięknej przeszłości, nie mogli wytworzyć dzieł wybitnie nowożytnych.

I w związku z przygotowaniami do tej wystawy zauważyć się daje w ostatnich latach we Francji wielki postęp. Najbardziej konserwatywne fabryki mebli, które dotąd produkowały prawie wyłącznie kopje różnych Ludwików, zaangażowały do współpracy wybitnych artystów-dekoratorów, to samo można powiedzieć o wielkich magazynach, jak „Printemps“ i „Gallerie Laffaiette“ i inne.

Wystawa odbędzie się w samem sercu Paryża, bo na terenie Esplanady Inwalidów, po obu brzegach Sekwany w tem miejscu i obejmie oba pałace sztuki. Polska została zaproszona do wzięcia udziału w tej wystawie w r. 1920, kiedy jeszcze ani termin, ani rozmiary wystawy nie były ściśle określone. Niemniej ówczesne ministerstwo Sztuki i Kultury powołało do podjęcia prac przygotowawczych, związanych z tą wystawą, na delegata swego p. Jerzego Warchałowskiego, znanego działacza na terenie polskiej sztuki stosowanej. Przez ubiegłe trzy lata używał p. Warchałowski asygnowanych mu na prace przygotowawcze pieniędzy na subwencjonowanie istniejących pracowni, ogłaszanie konkursów na różne przedmioty z zakresu sztuki dekoracyjnej, wreszcie na zakładanie nowych warsztatów

Kiedy z wiosną b. r. parlament francuski już ściśle określił termin i miejsce wystawy, prace, dotąd przygotowawcze, musiały przejść w stadjum konkretnych i realnych kroków, prowadzących do już blisko stojącego celu. W tym celu Ministerstwo Wyznań i Oświecenia powołało do zorganizowania działu polskiego na tej wystawie wielki Komitet, który obradował dn. 10.VII w Prezydjum Rady Ministrów pod przewodnictwem p. ministra Głąbińskiego. Po wysłuchaniu referatu p. J. Skotnickiego, dyrektora dep. sztuki, i p. J. Warchałowskiego, dotychczasowego delegata dla spraw wystawy, wybrano mniejszy Komitet Wykonawczy. Na Komisarza Generalnego wybrano p. J. Warchałowskiego, uchwalono utworzyć prezydjum honorowe wystawy, wreszcie uprosić Prezydenta Rzeczypospolitej na protektora wystawy.

Dnia 12.VII odbyło się pierwsze posiedzenie konstytuujące się nowego Komitetu Wykonawczego, na którem na przewodniczącego wybrano p. Warchałowskiego, jego zastępcę p. W. Skoczylasa, na sekretarza p. Cz. Młodzianowskiego, a na skarbnika p. F. Łopieńskiego.

Następnie Komitet Wykonawczy, po przejrzeniu prac nagrodzonych na konkursie na pawilon polski wystawy, polecił zwrócić się do autorów dwóch prac, a mianowicie do p. J. Czajkowskiego i F. Mączyńskiego z prośbą o ściślejsze opracowanie ich projektów, poczem jeden z nich definitywnie zostanie zaakceptowany do wykonania.

Dział polski mieścić się będzie na wystawie w kilku miejscach, co zresztą zastosowane zostało do wszystkich państw. A mianowicie tak zwany pawilon reprezentacyjny, na który konkurs już się odbył, mieścić się będzie nad Sekwaną w alei, w szeregu pawilonów innych państw. Wnętrza i poszczególne działy bardziej rozwiniętych gałęzi sztuk dekoracyjnych pomieszczone będą w olbrzymich halach, na ten cel zbudowanych, w których połowę miejsca zajmie Francja, a drugą połowę inne państwa. W ten sam sposób podzielony będzie także „Grand Palais“. Nadto w tak zwanym parku atrakcyj i rozrywek Polska będzie mogła wybudować pawilon restauracyjny, w którym mogą się odbywać produkcje rozrywkowe.

Od terminu rozpoczęcia robót na miejscu i wysyłki przedmiotów dzieli nas zaledwie półtora roku, czas ten ze względu na ogrom pracy, jaki nas czeka, jest bardzo krótki, i tylko intensywna praca może nas uchronić od kompromitacji. W miarę postępów w tej pracy nie omieszkamy o nich informować naszych czytelników.

WŁADYSŁAW SKOCZYLAS



Jeden z estońskich chórów żeńskich w strojach narodowych

PRZEZ PIEŚŃ—KU WOLNOŚCI

(Z POWODU VIII ŚWIĘTA ŚPIEWACKIEGO W REWLU)

Burza wojny europejskiej zmiotła i rozbiła stare, wielkie państwa i nie do poznania zmieniła mapę polityczną Europy.

Na mapie tej dziś widzimy małe państewko, które jak gniazdo jaskółcze przytuliło się do skalistych brzegów szarego Baltyku — a któremu na imię Estonja.

Niewiele wiemy o tem państwie i narodzie estońskim. Dawniej był to kraj baronów niemieckich, których misją było hurtowe dostarczanie carom moskiewskim satrapów, kochanków caryc, ministrów, kamerjunkrów, generałów i policmajstrów.

Tymczasem prawdziwa historja Estonji ma wiele wspólnego z naszym Śląskiem.

Tak jak na Śląsku, tak i w kraju nadbaltyckim prosty lud, przez ciemnotę i wyzysk klas posiadających odcięty od kultury, przechował i zachował przez stulecia pierwiastki swej odrębności narodowej. Tylko z tą różnicą, że Śląsk był nadciętą gałęzią potężnego polskiego drzewa, a ciemny lud estoński resztką jednego z fińskich plemion w X, XI stuleciu gęsto osiedlonych na brzegach Baltyckiego i Północnego morza.

W XII stuleciu plemię estońskie zostało podbite przez Duńczyków, w owe czasy chętnie uprawiających proceder morskiego handlu w połączeniu z rozbojem i podbojami. Duńczycy następnie sprzedali ziemię estońską wraz z jej mieszkańcami Zakonowi Rycerzy Mieczowych, którzy istotnie ogniem i mieczem szerzyli chrześcijaństwo, przedewszystkiem w ten sposób, że zajmowali na swoją własność uprawne ziemie ludu estońskiego, aby następnie, zrzuciwszy habity rycerzy-zakonników, przedzierzgnąć się w sławetnych baronów baltyckich, panów życia i śmierci nielicznej garści estońskiego ludu, ocalonego cudem w tak gorliwie prowadzonej akcji nawracania na chrześcijaństwo.

Ten lud ciemny i niewolny, jeno w legendach, opowieściach i pieśniach, przekazywanych w rodzimym języku z pokolenia w pokolenie, przechowywał niejasne poczucie swej odrębności narodowej i wspomnienie swej wolności.

Dopiero po 48-ym roku ub. st. — roku wiosny narodów, gdy wszystkie śpiące snem letargicznym narody drgnęły do nowego życia—zaczął budzić się i naród estoński.

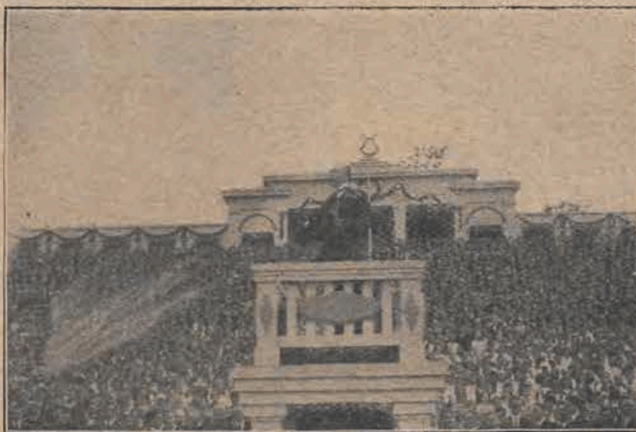
A tą siłą czarodziejską, która budziła go ze snu wielowiekowego — była *pieśń*.

W 1865 roku w Dorpacie powstało pierwsze estońskie kółko śpiewackie, nazwane na cześć mitologicznego estońskiego boga śpiewu jego imieniem „Wanemuine". Data ta stała się historyczną w dziejach estońskiego ludu. Założycielem tego kółka był „ojciec estońskiego narodu" J. Jansen, który był dla odrodzenia się estońskiego narodu tem, czem Palacky dla Czechów, Strossmayer dla Chorwatów, nasz Karol Miarka dla Śląska.

Jansen wiedział, co czynił, odwołując się do pieśni. Z jednej strony rząd carski, pomimo całej swej podejrzliwości, węsząc wszędzie kramołę, nie mógł jej podejrzewać w śpiewie — i jak wiemy, przeciwnie, uważał śpiew za antydotum kramoły i dlatego u nas tak gorliwie popierał operetkę, z drugiej strony pieśń pozostała jedynem niemal ogniwem łączącem uśpiony lud estoński z zamierzchłą przeszłością wolnego bytu.

Coraz więcej po wsiach i miasteczkach powstaje kółek śpiewackich, stają się one ośrodkiem odradzającego się życia narodowego Estończyków, zaś zjazdy śpiewackich kółek manifestacjami narodowemi.

Od 1869 roku do 1910 roku odbyło się siedem takich świąt śpiewackich, gdyż rząd moskiew-



Prezydent Rzeczypospolitej Kukk otwiera Święto Śpiewackie w Rewlu w dn. 30/VI b. r.

ski z wielkim trudem udzielał pozwoleń, z przerażeniem patrząc na rozwój odrodzonego ruchu estońskiego.

I miał czego się dziwić i bać. Bo oto jeśli na pierwszem Święcie Śpiewackiem w 1869 roku stawiło się 45 chórów z 800 śpiewakami, to na VII Święto Śpiewackie w Rewlu w 1910 roku stawiło się już 627 chórów z 10 tysiącami uczestników.

Nic też dziwnego, że VIII Święto Śpiewackie z rzędu, a pierwsze w niepodległej Estonji, urządzone 30 czerwca i 1—2 lipca r. b. w Rewlu, stało się prawdziwem świętem narodowem, na które zjechała się niemal cała Estonja, zaproszono gości z sąsiednich państw. Naród estoński chciał uczcić swe kółka śpiewackie, które były kuźniami ducha narodowego, gdzie wykuwała się kultura estońska, hartowano wolę narodu i potęgowano i podniecano pieśnią jego pragnienie Wolności.

Na VIII Święto Śpiewackie stawiło się 496 chórów i orkiestr z 15 tys. uczestników, to też nic dziwnego, że defilada ich przed Prezydentem i Rządem trwała blisko dwie godziny.

Samo Święto Śpiewackie odbywało się w cudownie pięknym, ogromnym i starym, bo w 1718 roku założonym, parku „Katharinental"—tam wybudowano wielką, otwartą scenę, mogącą pomieścić zgórą 10 tysięcy osób.

Święto śpiewackie zainaugurował sam Prezydent Rzeczypospolitej Kukk, w krótkich słowach mówiąc o znaczeniu w dziejach Estonji kółek śpiewackich.

Ten moment przemówienia Kukka przedstawia jedna z załączonych fotografij.

Sam koncert wypadł imponująco — załączone fotografje dają o tem pewne pojęcie. Na scenie chór, złożony z 10 tys. śpiewaków, któremu dyrygent ton musiał poddawać ze swego wysokiego wzniesienia przez tubę morską, na widowni 100 tysięcy płatnych miejsc, pół tyle widzów na drzewach i polanach parku poza płatnemi miejscami. I co ciekawe, że gdy ten blisko 200-tysięczny tłum przez trzy dni kolejne płynął nieprzebraną falą za miasto do tego parku i zpowrotem, nie było ani jednego nieszczęśliwego wypadku i ani jednej kradzieży. A gdy jeden z zagranicznych dziennikarzy zgubił portfel z kilkudziesięciu dolarami, na drugi dzień wrócono mu go w całości. I ta wysoka kultura i etyka, którą widzieliśmy na każdym kroku, dużo zawdzięcza zamiłowaniu do śpiewu.

Jeżeli naród, liczący niespełna miljon osób, posiada pół tysiąca chórów śpiewackich nie licząc chórów szkolnych — to innemi słowy cały naród śpiewa. Istotnie, jak wysoka jest muzyczna kultura w narogzie estońskim i jak przesiąknięty jest nią cały naród, to mogliśmy obserwować w ciągu tych 3 dni Święta Śpiewackiego. To naprawdę było Święto Pieśni i Muzyki. — Już o 6-ej orkiestry ze starych murów budziły i witały Rewel fanfarami, w kościołach chóry w czasie mszy rannej śpiewały koncerty duchowne, o 8 rano już było pierwsze przedstawienie w operze, następnie odbywały się przed południem koncerty poszczególnych chórów, z których naprzykład chór „Estonja" i „Męski chór w Rewlu" stoją na poziomie pierwszorzędnych europejskich chórów, popołudniu połączony koncert wszystkich chórów w parku, wieczorem znowu opera i znowu symfoniczne koncerty poszczególnych artystów, kompozytorów i orkiestr.

I co najważniejsze, wszędzie pełno ludzi.

Kompozytorzy, dyrygenci chórów i orkiestr są najbardziej popularnemi osobami, zwykle flegmatyczni Estończycy zjawienie się ich witają oklaskami.

To rozmiłowanie się w pięknie i harmonji musiało znaleść swój wyraz i w teatrze, do którego Estończycy mają wielkie zamiłowanie. Rzecz naturalna, że żadna sala nie zmieści takiej ilości gości, jaka zjechała się i pragnęła być w teatrze, który jest tylko jeden w Rewlu.

Dlatego o godz. 11 wieczorem na tej samej scenie otwartej, na której w dzień śpiewały chóry połączone, odbywały się przedstawienia. Grano „Króla Edypa" Sofoklesa, „Salome" O. Wilde i „Ofiarę" R. Tagore — w śmiałej inscenizacji.

Stary, drzemiący park, skąpany w bladem świetle księżyca, 20—25 tysięcy nieruchomych widzów, zasłuchanych w to, co się dzieje na ogromnej scenie, dzięki pysznym a potężnym w swej prostocie dekoracjom zmienionej do niepoznania.

Takie było VIII Śpiewackie Święto w Estonji.

Pieśń stała się tu tem ogniwem, które połączyło zamierzchłą Przeszłość z Teraźniejszością.

Pieśń — była tą siłą, która krzepiła i budziła wiarę i nadzieję w godzinach ponurej niewoli i ucisku.

Pieśń — dziś jest pobudką do radosnej pracy dla Przyszłości.

W tem zamiłowaniu Estończyków do śpiewu i muzyki ujawnia się cała ich natura, spokojna, dobrotliwa i pracowita.

Estończycy namiętnie są pracowici.

A więc jak te pszczoły, im więcej i radośniej pracują, tem głośniej śpiewają swoją pieśń na cześć Pracy, Wolności i Słońca.

Niedługi ten czas, gdy Święta Śpiewackie i nocne ludowe teatralne przedstawienia pod gołem niebem, w starym, przepięknym Rewlu nad brzegami szarego Baltyku szeroko zasłyną poza granicami maleńkiej Estonji, ściągając na te uroczystości miłośników Muzyki i Teatru.

I kto wie, czy tem swem zamiłowaniem do Pieśni i Piękna Estonja nie zbuduje najlepszego szańca do obrony swej Niepodległości?

Bo czyż Ludzkość ze zgrozą nie powstrzyma ręki tego narodu, który chciałby kamieniem zburzyć i zniszczyć ul rozśpiewanych i pracowitych pszczół?

TADEUSZ HOŁÓWKO



Ogólny widok Święta Śpiewackiego w Rewlu w czasie koncertu

„O DOMOWEJ POGADANCE I TRZECH SYLWETKACH"

W N-rze 5 „Pani" pisałem słów parę o modach męskich, streszczając w trzech sylwetkach trzy style „noszenia się", dające się zauważyć na terenie wszechświatowym.

Starałem się dać pojęcie o zasadniczych cechach mody angielskiej, francuskiej i amerykańskiej, a podkreślając bezpretensjonalną męskość i wytworną prostotę mody angielskiej, użyłem terminu, „że ubierać się po angielsku — to znaczy ubierać się dobrze". Nic nowego. Rzecz znana, i byłoby śmieszne doprawdy „włamywać się w otwarte drzwi", gdyby nie groźna filippika przeciwko Anglji, Anglikom i wszystkiemu co angielskie, pióra kolegi Żyz. w N-rze 6 „Pani", zatytułowana „Domową pogadanką o trzech sylwetkach".

Kolega Żyz., tym razem pisząc już o modach męskich, przedewszystkiem nie może darować Anglji, że się do niej jedzie „przez morską chorobę". Dalej brawurowem słowem bije Anglików na polu sportowem, zrywa wieniec bohaterstwa ze sztandarów biednej Wielkiej Brytanji, a nawymyślawszy jej synom od złodziei kieszonkowych (pickpocket), oświadcza, że jego zdaniem, ubierać się po angielsku — to znaczy ubierać się nieodpowiednio, a więc źle. (Kolega Żyz. nie ubiera się po angielsku). Kolega Żyz. jest zdania, że przymioty wewnętrzne muszą się wyrażać w odpowiedni sposób nazewnątrz (no, zapewne!), że Anglik ubrany cały dzień à la commivoyageur z natury, charakteru i powołania, agent bądź handlowy, bądź śledczy, nie ma nic wspólnego z Polakiem, który, że jest „surtout le brave", nie może się na Angliku wzorować. Stąd wniosek (ha, to okropne!), że ponieważ jesteśmy „surtout les braves", powinniśmy się odpowiednio ubierać (maczugi, krzywe pałasze, pióropusze, czy co?). „Panująca dziś na całym świecie wola narodowej niezawisłości (pisze dalej kolega Żyz.) musi i powinna wywołać pragnienie tej niezawisłości w każdej dziedzinie życia narodowego, zatem i w dziedzinie mody".

Co do przyszłej mody narodowej, to już chyba kolega Żyz. żartuje! Patrjotyzm nie polega przecież na kroju spodni? Następnie dowiadujemy się od kolegi Żyz., „że arystokracja francuska o krwi błękitnej i konserwatywnej nie zna innych krawców, prócz tych z placu Vendôme, i że arystokracja wogóle nie znała innej mody prócz francuskiej". Nie kwestjonując zasadniczo koloru krwi arystokracji francuskiej, ani też jej właściwości psycho-politycznych, jestem nieco odmiennego zdania o gustach tak zw. arystokracji wogóle. Bo czemże się wyrażała owa „anglomanja" high-lifu wszystkich krajów, jak nie sposobem życia i ubieraniem się? Co zaś do krawców z placu Vendôme, to widziałem tam firmy królów mody damskiej, a aczkolwiek nie miałem okazji „interview" u arystokratów francuskich o ich krawcach, sądząc z wyglądu ich, przysiągłbym, że nie ubierają się jednak na placu Vendôme, lecz u Poola lub Davisa, firm angielskich, tak znanych wśród wytwornych gentlemanów całej kuli ziemskiej, jak firmy Wortha i Paquina wśród eleganckich kobiet.

Kolega Żyz. oświadcza dalej „tout simplement", „że angielska moda przestała już świat obchodzić". Że tak nie jest, dość przejrzeć żurnale mód męskich. Są to bądź oryginalne angielskie, bądź usiłujące chociażby tytułem nadać sobie pozory angielskich. Oto ich nazwy: „Minister's gazette of faschion", „New Bond-Street style", „Myfaire Faschion", „Carlton Faschion" i jeden jedyny o brzmieniu niezdecydowanem „La mode Anglo-Française". De facto więc, istnieje jedna tylko moda męska—tą jest moda angielska. Jeżeli pisałem o modzie francuskiej i amerykańskiej, to jedynie dlatego, że indywidualne cechy obydwóch tych narodów wycisnęły swe piętno na pierwowzorze angielskim, zmieniając je i przystosowując do swoich gustów.

Tak kolego Żyz., wyrocznią mód męskich *nie był Londyn a jest Londyn*, i *nie jest Paryż, a był Paryż*, a właściwie nie Paryż, a Wersal, był i skończył się. A działo się to roku Pańskiego 1776, kiedy to zjawił się na dworze francuskim Francklin, ubrany w prosty, czarny, kwakierski frak.

Sprostowania kolegi Żyz. co do mody francuskiej z załączeniem tekstu, zaczerpniętego prawdopodobnie z podpatrującego Londyn „Monsieur'a", nie są przekonywujące — „taille longue" czy „taille haute" — to obojętne, chodzi o sposób noszenia się, o przesadny i wymuskany zniewieściały styl, tak cechujący elegantów francuskich.

Jest to sprawa temperamentu, nerwowej natury, głos rasy i gorącej krwi, lubującej się w przesadnych gestach, barwach — w tem właśnie leży ich pokrewieństwo z szajgecami.

Całkowicie podzielając entuzjazm kolegi Żyz. do Francji artystycznej, intelektualnej i bohaterskiej, nie podzielam zupełnie jego zapału do exterieure'u jej brzydszej połowy, wyłączając oczywiście ludzi światowych, ocierających się o Londyn i mających wszędzie na całym świecie jednaki, wyrażający się w prostocie i bezpretensjonalności wygląd gentlemana, przeciętny t. zw. elegant francuski zalatuje nieco hermafrodytyzmem i groteskowością.

Wygląd à la commivoyageur, o jaki posądza Anglików kolega Żyz., nie jest wcale typowy — nie wiem zresztą, jak go sobie kolega Żyz. wyobraża. Co zaś do żakietów, obowiązujących jakoby wszystkich Anglików w niedziele — jest to przesada—wyścigi, wizyta—czemu nie? Anglik z lepszej nieco sfery spędza swą niedzielę „out the door" i typowy w ten dzień jest dlań raczej strój sportowy. Wieczorem zaś smocking i frak.

Byłoby śmieszne wmawiać w kogoś, co jest ładniejsze. Jedni lubią befsztyk, inni schab z kapustą.

Są, jak to mówią, gusty i guściki.

Pomimo wszystko muszę przyznać, że artykuł kolegi Żyz. „Domowa pogadanka o trzech sylwetkach" podobał mi się bardzo.

Umówmy się tylko na przyszłość nie mieszać polityki ze spodniami. Dobrze? A więc: niech żyje Polska! vive la France! Hip, hip, hurra!

I. Z.



THE RIVER GIRL

Dlaczego mówi się „the River girl“? — „Panna wodna“, „dziewczę rzeczne“, czy po prostu nimfa, kiedy obok niej przeważnie widnieje i „the River boy“, o którym nikt nie mówi. I czemu nikt nie mówi River couple? Kiedy przecie, gdzie tylko zwróci się oczy, wszędzie widać na Tamizie parki. Bo Tamiza, jej cieniste wybrzeża, jej nadbrzeżne hoteliki i ogródki strażników śluz, w których podają poobiednią herbatkę, jej ukwiecone domki — łodzie, to miejsce, gdzie najwięcej spotkać można zakochanych. Mniej w dnie powszednie, ale natomiast w święta i podczas weekendu roi się na tej najukochańszej przez Anglików rzece.

Nie mówię tu o regatach, wyścigach, zdarzeniach, które corocznie z regularnością zegarka powtarzają się, czy to w Henley czy w Maidenhead, ale o zwykłem życiu na Tamizie, które trwa od wczesnej wiosny do późnego lata i jesieni. Kursują po niej statki osobowe, któremi zdążają turyści na obiad do słynnej restauracji Star and Garter w Richmond, kursują łodzie motorowe bogaczy i sportsmenów, a nierzadko widać, jak za taką łodzią płyną po wodzie przywiązane butelki szampana, chłodząc się naturalnym sposobem. Płyną łódki, w których przykładnie jadą na wycieczkę pary małżeńskie z dziećmi lub bez, kursują niby dorożki, małe łódki, zdążające z jednego do drugiego house-boat (letniego, na wodzie umieszczonego domku) z wizytami lub przywożąc zapasy.

Ale dominuje „punt“ — bat, bajdak, czy też tratwa, na której jedynie właściwą przyjemność pobytu na rzece odczuwa prawdziwa „River girl“ w towarzystwie zakochanego młodzieńca albo w braku młodzieńca jednej lub dwóch przyjaciółek. Długim palem czy bosakiem odbija tratwa od brzegu, wymija inne tratwy, przechodzi przez śluzy, umacnia się między zwisającemi gałęźmi nadbrzeżnych drzew. Czem gondola dla Wenecji, tem jest „punt“ dla Tamizy. Tylko słowo gondola wzbudza w nas obrazy księżyca, zawoalowanych dam, tęsknych brzęków gitary i malowniczego gondoliera, „puntem“ zaś kieruje w jasny dzień, w olśniewających blaskach słońca nienagannie, według wszelkich reguł ostatniej mody, ubrany młodzieniec. Koszula w paski, nieskazitelne ineksprimable płócienne lub flanelowe, pas skórzany, białe buciki i sztywny kołnierzyk.

„The perfect lover“, idealny kochanek musi być też idealnym kierownikiem „puntu“. „Punter“ uczy się w tajemnicy, bo sztuka ta prawie tak trudna jest jak sztuka angielskiego „spooning“ — zalotów, flirtu czy też nadskakiwania. „Punt“ o dnie płaskim, bez transu głównego, posiada przewrotność prawie że kobiecą. Lubi zamiast wprost płynąć, zachodzić bokiem, nie znosi ruchów gwałtownych, trzeba się z nim delikatnie, łagodnie obchodzić. Próbuj inaczej, a obróci się jak warjat, stanie na przeszkodzie całemu ruchowi i wystawi cię na gniew i pośmiewisko wszystkich otaczających statków.

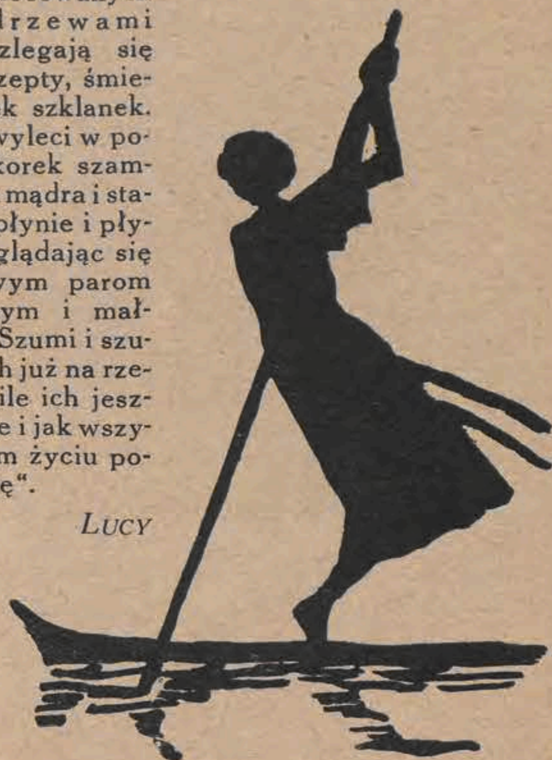
„The River girl“ to typ specjalny. Można by powiedzieć, że to właściwie dwa typy. Jeden rzekę uważa za miejsce, gdzie można swobodnie żyć; w gorącu boso i w bardzo lekkim ubraniu spoczywać; ten typ chroni się od słońca batystowym czepeczkiem, „sunbonnet“, lub papierową parasolką, której czasem używa zamiast parawanu, gdy chce rycerza swego całusem nagrodzić za jego trudy. Bo w Anglji, gdzie wszystko jest „shocking“, całus do najmniej „shocking“ i flirtem uświęconych a nawet usprawiedliwionych urządzeń należy.

Drugi typ, to ten, który rzekę traktuje niby wyścigi czy teatr, pokazując nowe, specjalnie na rzekę komponowane toalety. Ta wdziewa jedwabne pończoszki, zamszowy bucik najnowszego fasonu, powiewne muślinowe, georgettowe, batystowe, fularowe sukienki, cieniste pasterki lub fantastyczny na krótko przyciętych włosach zawój i bierze jedwabne na licznych pałeczkach rozpięte bogato haftowane japońskie parasolki.

„The River girl“ jest produktem „punt'u“. Smukła, indolentna, leniwa kokietka przemienia się chwilami w atletyczną, energiczną, z wdziękiem wiosłującą sportsmenkę. Mieszanina Diany z Afrodytą. Raz jak sułtanka leniwie wyciągnięta pod parasolem przygląda się, jak jej niewolnik pracuje, to znów daje mu jako paszy i władcy spoczywać, a sama, prosta jak trzcina, rytmicznemi ruchami zanurza pal w głębi Tamizy, a potem, ująwszy go wysoko nad głową, zgina się jak łuk, którego cięciwą jest drewno bosaka.

Z umocowanych między drzewami tratw rozlegają się wesołe szepty, śmiechy, brzęk szklanek. Czasem wyleci w powietrze korek szampański. A mądra i stara rzeka płynie i płynie, przyglądając się tym i owym parom zakochanym i małżeńskim. Szumi i szumi: „Ile ich już na rzece było, ile ich jeszcze będzie i jak wszystko w tem życiu powtarza się“.

LUCY



LONDYN, W LIPCU



NIEDYSKRETNY KĄCIK

„Pani“ — jak każda zresztą niewiasta — jest z natury niedyskretna i sprytna. Skorzystała też z mego chwilowego w Warszawie pobytu i... kazała mi pisać o najniedyskretniejszych stronach Warszawianek. Mam wnikać w tajniki nietyle duszy ile... cery i urody czytelniczek naszego wydawnictwa. Usłuchałem...

Uczyniłem to tem chętniej, że pragnąłbym, aby Warszawianki, już dziś szykiem dorównywujące prawie temu ideałowi kobiety, jakim jest Paryżanka, mogły ją w niedługim czasie prześcignąć!

W „patrjotyzmie“, jaki mam dla rodaczek „Pani“, posunąłem się znacznie dalej: chciałbym, aby Paryż nazywano „Warszawą zachodu“, nie zaś jak dziś — Warszawa uzurpowała sobie nazwę „Paryża północy“. Ta zmiana ról Paryża i Warszawy zależna jest jedynie od tego „cudu nad Wisłą“, którego rocznicy nigdy świętować nie będziemy, bo jest wieczny — od Warszawianki. Tak. Warszawiance w niczem nie wolno ustępować swej siostrzycy z nad Sekwany.

Ma ku temu wszelkie dane, lecz nie dba o nie.

Warszawianka ubiera się ładnie, często nawet pięknie. Elegancję i estetykę nóżki doprowadziła do wyrafinowanego (?) kultu. Nie posiadła natomiast kunsztu i tajników korygowania natury.

Warszawiance brak często (trudno, trzeba to sobie raz powiedzieć i raz wreszcie z tem skończyć) tego czegoś, co w Paryżu nazywają „avoir du chien“ (na Boga! nie tłumaczcie tego dosłownie), brak jej, passez moi le mot, wykończenia, jednem słowem retuszu. Mówmy otwarcie, Warszawianka nie umie się obchodzić ze swoją cerą.

Nie chcę przez to powiedzieć, że Warszawianka pogardziła kosmetykami — przeciwnie, używa ich nadmiernie, lecz nie potrafi sobie z niemi poradzić.

Trzeba to zmienić radykalnie. „Pani“, zawsze dbała o urodę swych czytelniczek, dołoży wszelkich starań, aby tak się stało, i zpewnością dopnie celu.

Ja „Panią“ znam.

„Pani“ jest uparta...

Na zwróconą sobie szczerze uwagę, jedna z pięknych moich znajomych (innych nie znam), oznajmiła mi — z budzącem współczucie westchnieniem, że w Warszawie niema nikogo, kto dawałby logicznie umotywowane, korzystne porady natury estetycznej...

Sklepy, prowadzące dział kosmetyczny, obsługiwane są albo przez osóbki mniej niż kompetentne, albo przez stroskanego i zniechęconego właściciela, który namawia do kupna takiego przedmiotu, którego pragnie się czemprędzej pozbyć, lub, stosując się uprzejmie do życzenia klijentki, sprzedaje zupełnie obojętnie towar przez nią żądany, nie poczuwając się do obowiązku zastanowienia się, czy kosmetyk odpowiada danej cerze, rodzajowi urody, kolorowi włosów i oczu, wreszcie wiekowi danej klijentki.

Nie wiem, czy moja piękna znajoma miała słuszność, skarżąc się w ten sposób, wiem jednak napewno, że w „stolicy kosmetyki“, to jest w Paryżu, sprzedający, czy sprzedająca, uważnie, wzrokiem doświadczonego znawcy, przyglądają się klijentce i bezwzględnie proponują kosmetyk, odpowiadający całkowicie zadaniu...

To też „Pani“, dbała o wszystkie potrzeby swych czytelniczek, powierzyła mi ten dział, jeden z najważniejszych, tylko dlatego, że jestem malarzem i Paryżaninem... Bo jako malarz i Paryżanin (pokażcie mi takiego drugiego w Warszawie) widzę i miłuję z całej duszy barwę.

A barwa jest przecież najważniejszym czynnikiem efektu. Dobry ogrodnik dba o barwę wypieszczonego kwiatu.

„Grand Couturier“ dba o barwę swej kreacji.

Kobieta wreszcie powinna przedewszystkiem dbać o barwę swej cery.

Bez efektu bowiem przejdzie najpiękniejsza szata, najwytworniejszy kapelusz, skoro twarz nie będzie harmonizować z całością doskonałej — barwy.

Kobieta, wiecie o tem wszyscy, jest pięknym obrazem, a tualeta jej — ramą. Harmonja stylu i barwy musi być dobrana i utrzymana bez zarzutu.

„Pani“ życzy sobie, bym jej czytelniczki nauczył osiągać jak najdoskonalszą harmonję...

Zastosuję się do życzenia mojej władczyni, i nauczę wszystkie jej czytelniczki, co czynić należy, by cera stawała się nietylko piękna ale i modna.

Zaczniemy od najniewinniejszego i najniezbędniejszego środka: od *pudru!*

Już w następnym numerze „Pani“ opiszę pięknym czytelniczkom gatunki, kolory i zapachy pudrów, które należy stosować dla poszczególnych indywidualności urody, oraz gatunków skóry i sposobów ubierania się.

Tymczasem jednak upoważniam wszystkie panie do skorzystania z mego pobytu w Warszawie i zwracania się do mnie z całem zaufaniem o rady, wchodzące w zakres estetyki zewnętrznego wyglądu i kosmetyki. Dyskretne odpowiedzi na pytania listowne (do Redakcji, dział kosmetyki) znajdą Warszawianki już w następnym numerze „Pani“ (Odpowiedzi od Redakcji).

Suivons la mode...

Kobieta istnieje poto, żeby być ozdobą życia, a zatem, żeby się podobać... lecz trzeba posiąść sztukę podobania się.

Francja poświęciła temu wiele, wiele tomów.

Począwszy od XIII wieku, literatura francuska posiada dzieła o umiejętności podobania się, o sztuce życia, o szczęściu kobiety, a wszystko to ujęte w formę poradników, pamiętników i t. d.

Jakże więcej wyrafinowane były nasze prababki w „sztuce uwodzenia“, podobania się, a przedewszystkiem w sztuce upiększania, podkreślania i utrzymywania swej urody. Najdziwniejsze jest jednak to, że obecnie o kobiecie trzydziestoletniej mówi się już z pewnym przekąsem, jak o przekwitłej. Dawniej sześćdziesięcioletnia „piękność“ często rywalizowała szczęśliwie z piętnastoletnim podlotkiem.

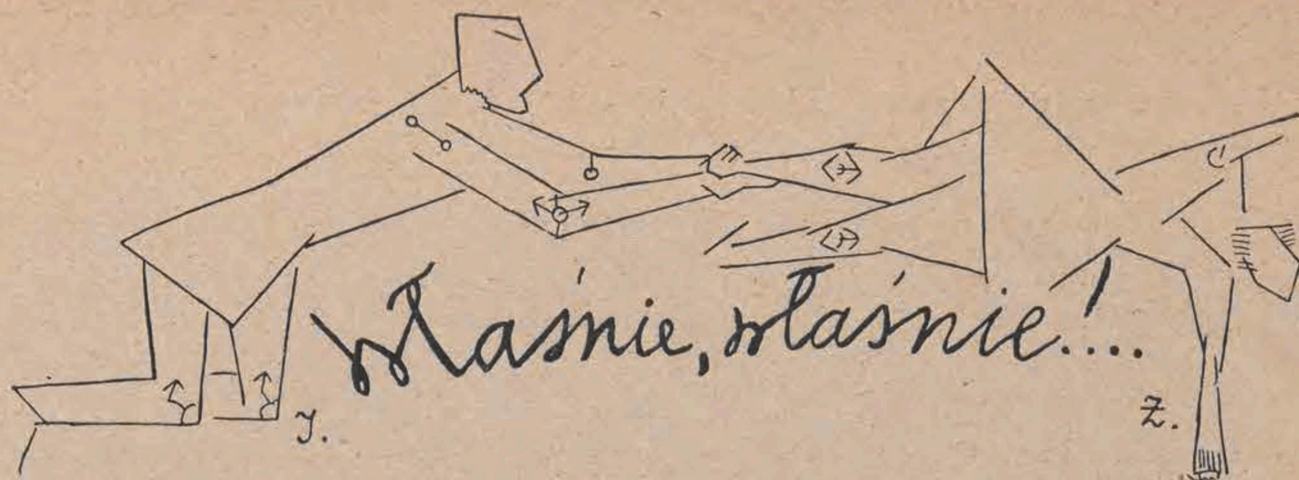
Dawniej kobiety wcześnie zaczynały, ale też i długo zażywały... szczęścia podobania się...

Na tem kończę, obiecuję jednak wtajemniczyć moje miłe czytelniczki w jak największą ilość „sekretów“ naszych praprababek.

Le secret de la conquête stanie się niewyczerpaną „studnią“ czytelniczek „Pani“.

Czekam na pytania. Warszawianki! Będziecie mi wdzięczne!

PARYŻANIN



literatura

„Pomyłki" — zbiór trzech nowel Stefana Żeromskiego, wydany świeżo przez Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie, jest jakby potrójnym akordem, każdy w innej tonacji, wziętym z tą swoistą autorowi „Wiatru od morza" pasją, wdrażającą polskie słowo w silny rytm wnętrznej pulsuacji. Trzy utwory, z których każdy zupełnie odmienną posiada fizjognomję, w innym uderza kierunku, inny cel artystyczny posiada na względzie.

Pierwsza z nowel, której tytuł dał firmę całemu zbiorowi, jest dramatyczną impresją, do której, niby dziwna przybudówka, dołączony jest długi przypisek, zawierający biografję psa, nakreśloną z rzadkim u Żeromskiego humorem, z przenikliwością, godną Dygasińskiego i z nieporównaną plastyką słowa.

Druga z nowel — „Złe spojrzenie" — jest rozwinięciem bolesnego skurczu uczuć ojcowskich, epizodem, jakich w życiu tysiące, lecz spotęgowanym do niesamowitej siły wyrazu, podniesionym do wysokości, na której zdają się już ścierać ułamki kosmosu, rozpryskiwane żywotną falą człowieczego wnętrza.

Najlepiej jednak wypowiedział się Żeromski w ostatniej noweli, w „Pavoncellu". Jest to historja dziwnego romansu pięknego jak efeb Włocha, artysty-skrzypka i artysty w miłości, z równie cudną, rosyjską arystokratką. W utworze tym powraca dawna skłonność autora „Popiołów" do organicznego amalgamowania nieśmiertelnego piękna z jego straszliwie zmysłowemi wyznacznikami. Technika ta sama, ale dłoń, która jej zwykła używać, potęgą artystycznej suggestji zniewala czytelnika przeżywać te same dreszcze bez poznania ich tożsamości. Z mistrzostwem świadomego artysty, rozpłomienionego dojmującą wizją rzeczywistości, wzbija Żeromski w górę obłok nieskazitelnego piękna szczerej namiętności. Pod lazurowem niebem Italji, wśród bezcennych zabytków i cichych pałaców arystokracji, dokonywuje się cielesne zespolenie włoskiej smagłości ze słowiańską bielą alabastrową w jakiś plastyczny i muzyczny posąg, owity zielenią południowego lauru. Tem bardziej dojmująco, tem boleśniej uwypukla się okrutny, szatański finał, który rozprasza i unicestwia promienie różowej i złotej poświaty.

„Pavoncello" wyszedł z pod pióra, które największe trudności artystyczne pokonywuje ze spontaniczną łatwością i zdumiewającą potęgą. *W. Z.*

Chwilową pauzę w twórczości oryginalnej postanowili widocznie wyzyskać nasi wydawcy w sposób roztropny i obdarzają nas przekładami, szwarcując pracowicie klejnoty z krajów dalekich. Szczęśliwy przypadek zrządził przytem, żeśmy — dzięki Tow. wydawniczemu „Ignis" — wypłynęli wreszcie ze słodkich, ale nieruchomych wód literatury francuskiej i wydostali się na pełny, bezkresny, niezmierzony ocean powieściopisarstwa angielskiego. Cóż to za piękna książka ów „Murzyn z załogi Narcyza!" Wielki poeta opowiada nam — przeklętym szczurom lądowym — o morzach południowych, o mozole żeglarza, o masztach, skrzypiących w noc burzliwą, o złych wichrach, smagających płótna i reje... Jak pieśń, jak antyczna oda na cześć Oceanu, na cześć pracy ludzkiej, jak dźwięczny poemat brzmi proza tej „opowieści o kasztelu". Żaglowiec „Narcyz" i jego załoga, brodaty sternik, Singleton i umierający naprawdę murzyn—symulant stają się nam bliscy i drodzy, mały statek handlowy urasta na wielki symbol ludzkości, borykającej się z przepotężnym żywiołem między rafami bytu, z bijącem sercem towarzyszymy „Narcyzowi" w jego podróży z Bombaju do Przylądka Dobrej Nadziei i dalej, obok wysp Azorskich, aż do South Foreland, do wybrzeży starej Anglji. Po raz to pierwszy chyba pisarz tej miary odtwarza w języku tak czarownym życie marynarza i nad kartami tej najpiękniejszej książki Conrada myślimy o własnych latach młodzieńczych, o czasach, kiedy przygody żeglarzy na morzach dalekich były nam najmilszą lekturą...

W nieco zatęchłej atmosferze warszawskiej jest powieść Conrada ożywczym prądem świeżego powietrza, orzeźwiającą „morką", wiejącą podczas ciszy...

— CHRYZPE —

Ktokolwiek interesował się twórczością Johna Galsworthy, czytał „Powszechne Braterstwo"; „Legendę Forsytów", bywał na przedstawieniach „Gołębiego serca" i „Sprawiedliwości", ten musiał być uderzony niezwykle silną, jak na pisarza angielskiego, nutą osobistej uczuciowości. Prozaik wielkiej miary, powieściopisarz, który wespół z Kiplingiem, Conradem, Shaw'em i Chestertonem należy do chluby prozy współczesnej, wśród swych rodaków nawet jest odosobnionem zjawiskiem i indywidualnością wybitną.

Tytuł, który ma jego powieść, wydana świeżo przez firmę K. Rudzki i S-ka — „Ciemny kwiat" — całkowicie jest usprawiedliwiony niezwykłą, odurzającą, prawdziwie piękną treścią. Niby nad kielichem ciemnego krzewu młodości, nachyla swą twarz autor, i głębokim, zachwyconym wzrokiem wpatruje się w jej upajające wnętrze. Bohater powieści — subtelny rzeźbiarz, zobjektywizowany po epicku doskonale, zdaje się być nic nieznaczącą przegrodą, wstawioną pomiędzy czytelnika a uczucie. Z niezwykłem mistrzostwem przybliża Galsworthy do ócz czytelnika zawiły rytm męskiej miłości — i na tle czterech indywidualnie przyjętych sylwetek kobiecych wtajemnicza nas w piękno wzruszeń najgłębszych. Suggestywność artystyczna Galsworthy'ego jest tak wielka, że odczuwa się niemal zapach i podziwia świeżość kunsztowności tego „ciemnego kwiatu", który poprzez całą książkę wyciąga swe subtelne płatki, osypane rosą cudu życia.

Zwłaszcza część trzecia p. t. „Jesień", posiada wszelkie cechy zupełnie niezwykłej konstrukcji artystycznej, która pozostawia w myśli czytelnika niezatarte wrażenie.

W. Z.

„Książki Ciekawe" wydały ostatnią powieść Ugona Ojetti'ego p. t. „Karjera mojego syna". Jest to mistrzowską ręką naszkicowany obraz Włoch powojennych w chwili wybuchu t. zw. „faszyzmu". Walki stronnictw politycznych, karjerowiczostwo sprytnych prowodyrów partyjnych, zamęt pojęć, bankructwo dawnych ideałów militaryzmu, karykaturalny bolszewizm, usiłujący szerzyć swoje utopje we Włoszech, szczycących się prastarą kulturą, i wreszcie triumf zdrowego instynktu mas narodowych, — wszystko to przedstawia Ojetti z niezrównaną plastyką i prawdą. Jego pogodna satyra, jego barwna narracja i bystrość obserwacyjna, zwłaszcza zaś głębokość myśli obywatelskiej, przypomina czytelnikowi polskiemu arcydzieła Bolesława Prusa, z którym Ojetti jest spokrewniony rodzajem talentu.

„Karjerę mojego syna" można by śmiało postawić obok „Emancypantek" wielkiego polskiego pisarza. Lektura powieści Ojetti'ego nietylko sprawia przyjemność estetyczną wysokiej miary, lecz w równym stopniu kształci umysł i rozwija poglądy społeczne dzisiejszego człowieka.

Ukazał się zeszyt 5-ty „Południa", czasopisma wileńskiego, poświęconego sztukom plastycznym i muzyce. Wytworne to wydawnictwo pozyskało poza wybitnymi krytykami, piszącymi w Polsce, nazwiska europejskiej sławy: prof. Strzygowskiego, historyka sztuki, znanego z rewelacyjnych prac o pochodzeniu sztuki chrześcijańskiej, i Tausmana, jednego najbardziej cenionych w Paryżu kompozytorów muzyki współczesnej. W bogatej kronice „Południe"

KORYFEUSZE TEATRU

VII — Rys. Edwarda Głowackiego — VIII



ELNA GISTEDT



MARJAN DOMOSŁAWSKI

notuje najważniejsze wydarzenia z zakresu malarstwa, rzeźby, architektury, przemysłu artystycznego, muzyki i literatury. Zeszyt zdobią drzeworyty Skoczylasa i Wąsowicza oraz fotografje okazów przemysłu artystycznego.

Treść zeszytu V. Drzeworytnicy. Dobrodzicki. Wystawa Polskiej Sztuki Drukarskiej w Warszawie. Nowe horyzonty, prof. J. Strzygowski. Słowo wstępne, prof. M. Lalewicz. Zadania współczesnej dekoracji scenicznej, Fr. Siedlecki. Muzyka nowoczesna. A. Tausman. Kronika.

„Książki Ciekawe" wydały nowy utwór prof. A. F. Ossendowskiego p. t. „Cień ponurego Wschodu". Znakomity znawca krain egzotycznych maluje tu wstrząsające obrazy bliskiego Wschodu, a więc Rosji i Syberji. Życie religijne, obyczajowość, zwyrodnienie duchowe, praktyki czarnoksięskie, sięgające zamierzchłych czasów pogańskich, a uprawianych w Rosji aż dotychczas, zarówno za panowania carów białych jak i czerwonych — wszystko to opisał z niezwykłą plastyką znakomity autor dzieła „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów" w swoim nowym utworze.

Prof. Ossendowski w „Cieniu ponurego Wschodu" stawia sobie jako cel ostrzeżenie Europy, a zwłaszcza jej przedmurza polskiego, przed niebezpieczeństwem azjatyckiem. Niebezpieczeństwo to zagraża cywilizacji chrześcijańskiej nie od rzeczywistego Wschodu, który trwa w mistycznej zadumie, lecz od Wschodu Rosji, pozornie zeuropeizowanej, lecz w gruncie rzeczy piastującej zaborcze ideały Mongołów.

Nowa książka Ossendowskiego porusza do głębi prawdą myśli i olśniewa bogactwem egzotycznych barw.

teatr

„Nigdy nie można przewidzieć". Taki swawolny i filozoficzny tytuł dał Bernard Shaw jednej z najświetniejszych swoich komedyj. Nigdy nie można przewidzieć. Czego nie można nigdy przewidzieć? Gry życia. Najbardziej przewidujący człowiek nie jest w stanie przewidzieć, jak się zachowa jego serce w następnej chwili. Serce! Nie mam mojego serca, nie panuję nad niem. Tak. Tutaj leży pies niespodzianek. Tutaj mieszka nasza własna tajemnica, której nie znamy.

Ze źródła tej koncepcji wypłynąwszy, sztuka najgenjalniejszego współczesnego Irlandczyka bawi się ironizowaniem komunałów. A dzieje się to w sposób nietylko dowcipny, ale i prawdziwie wesoły, tak, że „nigdy nie można przewidzieć", co wyniknie z tego, czemu się właśnie przyglądamy.

Na tle ładnych przeważnie dekoracyj p. Śliwińskiego grano uroczą komedję Shaw'owską przez pół wyśmienicie, przez pół słabo; przez pół świetnie rozumiejąc autora, a przez drugie pół pozostając z nim w nieporozumieniu. P. Łuszczewski np. w roli początkującego dentysty, zamiast być młodym lekkoduchem, chłopcem bardzo inteligentnym i pełnym fantazji, był przebraną za chłopca, niezbyt inteligentną, ogromnie grzeczną i cokolwiek wstydliwą, dziewczyną. Dowcipne argumenty, które ten junak mówi, zjawiały się w ustach p. Łuszczewskiego, jako wyszukanie uprzejme, niemal przepraszające, wyjaśnienia. Wyobraźmy sobie fajerwerk, który przez delikatność spala się bez wybuchów, szumu, syku i blasku! Aby dobrze zagrać rolę dentysty bez pacjentów w „Nigdy nie można przewidzieć", p. Łuszczewski musi przestać być panną.

P. Umińska jako Glorja wygląda uroczo, ale przez reżysera została omylnie pchnięta w kierunku „kukiełkowatości". Jeżeli się interpretuje osóbkę najbardziej nawet sztywną, to przecież tej sztywności nigdy nie należy doprowadzać do martwoty. Glorja jest żywym człowiekiem, nie kukiełką z szopki. Ten sam błąd popełnił p. Zelwerowicz, interpretujący adwokata. Gdy stawał bez ruchu, jego nieruchomość miała charakter nieludzki, była to nieruchomość szafy, nie człowieka. Do p. Umińskiej powiem, jak się mówi w pewnej legendzie ludowej do zesztywniałej w kontorsjach nieboszczki: „Pofolguj, Glorjo!" i wierzę, iż ta rzetelnie utalentowana, żywa i jeno chwilowo zahypnotyzowana artystka zelżeje w postawie, ruchu i głosie, a p. Zelwerowicz, reżyser, zachowa się w stosunku do niej wbrew samemu sobie, jak Pygmaljon, który się zakochał w swoim posągu, gdy ten ożył.

Świetna w całem tego słowa znaczeniu była p. Ola Leszczyńska jako Dolly, najrozkoszniejszy w świecie urwis dziewczęcy. Niepodrabiana młodość, niepodrabiany temperament, niepodrabiana inteligencja, a wszystko to podane z zachwycającą prostotą. W ożywieniu p. Leszczyńskiej, jako Dolly, niema efektacji, niema tego, co to niemile krzyczy z każdego gestu: „Czy uważacie, jaka ja jestem młoda?!" Młodość Dolly w interpretacji p. Leszczyńskiej nie jest rzeczą wyprodukowaną w pocie czoła, nie jest młodością wypracowaną aż do zmęczenia, ale jest młodością tout court, młodością, która jest, ale która się sobą nie popisuje. P. Leszczyńska została obdarzona nietylko talentem, ale i miarą artystyczną; to stanowi

dużą jej siłę i piękny jej wdzięk. Bo np. p. Daczyński, grający psotnego braciszka panny Dolly, mimo iż posiada wymarzone warunki na pacholę, w dodatku do tych warunków zgrywa się w charakterze półdziecka, uderza w toniki naiwności, rozkapryszenia, i naturalność warunków psuje sztucznością akcentów i minoderji. Zgoła zbytecznie również naśladuje nienajszczęśliwsze z manier p. Osterwy.

P. Słubicka w roli matki dała postać kobiety dobrej i miłej. Trzy rozmaite typy wybornie inkarnowali pp. Stanisławski, Samborski i Orwid.

Na kapitalnej sztuce Shaw'a, pełnej poetyckiego uroku, publiczność często się śmieje, aczkolwiek nie wszyscy potrafią właściwie zrozumieć mistrza komedji angielskiej. Czy jednak sztuka ta będzie miała wielkie powodzenie, tego „nigdy nie można przewidzieć" w stosunku do żadnej, żadnej sztuki.

W swawolnym świecie zabawnie idealnych uczuć pierwszorzędnych kokot paryskich, w komedji p. Verneuil'a p. t. „Kochanek od serca", p. Marja Przybyłko-Potocka, grająca Karolinę (kokotę), daje arcydzieło sztuki aktorskiej. Olśniewająco ubrana postać tego ślicznego anioła, który czuje się w upadku, jak szczupak w wodzie, inkarnowana jest przez p. Przybyłko-Potocką z rozkosznym dowcipem. Treść sztuki? Bywa się kochanym, gdy się niema pieniędzy. Gdy się ma pieniądze, nie bywa się kochanym. Pieniądz demoralizuje. Demoralizuje swego posiadacza. Mieć pieniądze znaczy — według p. Verneuil'a — mieć pewne wady, które zabijają miłość.



Fot. St. Brzozowski

STANISŁAWA UMIŃSKA

„Nigdy nie można przewidzieć"

TEATR POLSKI

Suknia z pracowni G. Zmigrydera, — kapelusz M-me Henriètte



„WIELKI FRYDERYK" TEATR ROZMAITOŚCI

Kobieta (pardon, w komedji p. Verneuila kokota), związana uczuciowo (no, nietylko!) z bogatym mężczyzną, staje się taką samą własnością tego mężczyzny, jak pieniądze. Kobieta lubi być pożądana, ale nie lubi być kupioną własnością. A stosunek bogacza do jego kochanki zawsze (zawsze!) jest stosunkiem właściciela do rzeczy posiadanej. Taką filozofją oddychają dowcipne trzy akty ostatniej nowości repertuarowej najmłodszego teatru dyr. Szyfmana, *Komedji*.

Nowość ta grana jest koncertowo przez uroczą p. Przybyłko-Potocką, przez znakomitego p. Leszczyńskiego i świetnego p. Biegańskiego. Dekoracje bombonierkowe.

„Wielki Fryderyk" Adolfa Nowaczyńskiego, wystawiony, (wznowiony) w Rozmaitościach (w teatrze Letnim) przez dyr. Solskiego, nie jest sztuką dla kobiet. Nie jest również (narazie) i dla pierwszej sceny polskiej. Dla kobiet nie jest dlatego, że mówi się w niej bardzo dużo o polityce, a nie robi się zamachów (młody Krasicki zamiast strzelić dwa razy w pruskie plecy odwróconemu Frycowi, strzela w polską głowę własną, nie zyskując przez to najmniejszej glorji), zaś polityka, aby zajmowała kobiety, musi być efektowna; dla pierwszej sceny narodowej „Wielki Fryderyk" nie nadaje się znów dlatego, że... pierwsza scena nie nadaje się w tej chwili dla „Wielkiego Fryderyka". Pierwszą sceną w tej barwnej i z pasją napisanej sztuce, jest tylko p. Ludwik Solski, inkarnator roli tytułowej. Prawie wszyscy pozostali tworzą zespół biednej sceny prowincjonalnej, częściowo przez błędną obsadę, a głównie przez obsadę amatorską. Początkujący adepci grają w sztuce Nowaczyńskiego odpowiedzialne role! Mimo to świetna kreacja p. Solskiego i zainteresowanie, jakie szczególniej dzisiaj budzi utwór Nowaczyńskiego o Niemcach na dorobku, przez długi szereg wieczorów sprawiały, że „Wielki Fryderyk" zapełniał (i jeszcze zapełnia) salę teatralną w ogrodzie Saskim.

WACŁAW GRUBIŃSKI

Mam wrażenie, żem już kiedyś, i to nie tak dawno, i gdzieś niedaleko, bo, zdaje się, w tym samym teatrze Nowości, widział „Królowę Montmartru", tylko, pod innym tytułem. Ale wtedy dosłuchać do końca nie miałem ochoty, a teraz — i owszem. Kto reżyserował dawniej, — wolno nie pamiętać, widocznie ktoś inny, niż dzisiaj, albo ktoś gorzej usposobiony. Tym razem reżyserował p. Domosławski, i operetka wypadła dobrze, t. j. można się było śmiać. Szczególnie sam reżyser, połączywszy swą rutynę aktorską z opracowaniem con amore typu nawracającego się apasza-złodzieja, stworzył rzecz doskonałą. Pan Domosławski, rzec można, był główną gwiazdą w sztuce i przesunął jej punkt ciężkości więcej w stronę wodewilu, tak, że muzyka zeszła na plan drugi.

Kompozytor Vada Ennem, domyślać się trzeba, że z kraju, gdzie czerwony pieprz rośnie — nie jest jednak bez talentu i inwencji. Owszem, dał dużo walców, i tego charakterystycznego tworzywa muzycznego, które mile uderza o słuch ale jest niewinne i byłoby jeszcze więcej niewinne, gdyby nie dodawał mu charakteru i wyrazu specjalista w tych razach dyr. Górzyński.

Z pań wyróżniały się Jóźwiakówna i Korabianka. Pierwsza królowała wyglądem i strojami. Gdybyż w jej prozie było więcej nie-uczniowskiego szablonu dykcji! Śpiewa bowiem całkiem godziwie. Panna Korabianka jeszcze nie opanowała plastycznie swych ruchów i figur, — aby miały w spokoju czy w tańcu więcej tego wdzięku, do którego nas przyzwyczaiły królowe Nowości i Wodewilu.

Z panów wypada jeszcze wspomnieć dobrego sobowtóra Krzewińskiego — p. Wolińskiego.

Dwóch wrogów ludzkości wyhodowała lekka muzyka: Kallmana i Stolza. Dwa utrapienia zrodziły niezliczoną moc neurastenji, wybuchów wściekłości, samobójstw i t. d.: Bajadera i Salome. Otóż twórca tej ostatniej, Stolz, jest autorem „Czaru Nocy", operetki, grywanej teraz z wielkiem powodzeniem w „Wodewilu".



Historyczny pałac dóbr Opolskich w Niezdowie. Własność pani Marji Władysławowej Kleniewskiej

Chociaż jednak z nienawiścią w sercu poszedłem na to widowisko, którego treść libretową wymyślił doświadczony i niewyczerpany hurtownik Bodansky, musiałem przyznać, że muzyka jest rzeczywiście ładna. Zawiera kilka partyj pomysłowych i efektownie zinstrumentowanych, jak np. tango — shimmie, śpiewane jako duet miłosny, które jest na szczęście o tyle szlachetne, że pewnie piłą się nie stanie. Nie brak też i dobrych walców, i z węgierska, czardaszowato zakrojonych czułości i namiętności — dla uprzytomnienia nam, że jesteśmy na czarze nocy, którego bez tego przewodnika nie wiedzielibyśmy gdzie szukać.

Wogóle z ostatnich operetek, grywanych w Warszawie, ta niewątpliwie ma najwięcej cech pochodzenia z wytwórni muzycznej kulturalnej i zasobnej w inwencję.

Treść — to zwykłe u Bodansky'ego qui pro quo. Księcia biorą za kelnera przez półtrzecia aktu, a komiwojażera wielkiej firmy bieliźniarskiej, z większym jeszcze żydowskim nosem, za jego wysokość ekscelencję, niemal eminencję i t. d. Nikt nic nie rozumie, ale wszyscy bawią się doskonale. Główną zasługę w tej zabawie mają panowie Szczawiński i Walter, oraz panie śpiewające: Sokołowska i Grabowska, obdarzona bardzo porządnym głosem sopranowym.

Niewiarowska i Redo bujają na wywczasach. *C. J.*

kino

Właściciele warszawskich teatrzyków świetlnych bardzo źle administrują olbrzymim majątkiem, który z woli losu w ręce im się dostał. Postępują sobie, jak zły gospodarz, albo żądny prędkich zysków dzierżawca, dewastują grunt i wyjaławiają żyzną glebę. Pod pozorem, że teraz są przecie wakacje, „ogórki" i sezon martwy, traktują Warszawę jak Kocmyrzów, Zgierz i Pabjanice, starają się publiczności wielkomiejskiej obrzydzić kinematograf, dają broń w rękę przeciwnikom tej szlachetnej rozrywki, uzbrajają poborców magistrackich i krótkowzrocznych ławników miejskich w argumenty nieodparte. Żadne pióro chyba — nawet pióro sprawozdawcy sądowego — nie zdoła skreślić tego, co się latem na warszawskich „ekranach srebrnych" wyrabia! Doprawdy, na „srebrnej sali" trudno o gorsze burdy i skandale. Jakieś obdarte, źle posklejane filmy, jakieś fabrykaty z pod ciemnej gwiazdy, wytwórni „Unter dem Hund", szumnie zachwalane w ogłoszeniach, psują ludziom smak i dobry humor. Kiedy człowiek bezdomny, prześladowany tego lata przez deszcze, mrozy, wichry i drożyznę, próbuje schronić się na chwilę pod dach i oko weselszym widokiem ucieszyć, pokazują mu w *Palace* okropne, kliniczne dramidło z mdlejącą Astą Nielsen i kulejącym, pokręconym Wegenerem, raczą go konwulsjami paralityków, dokładną fotografją łamania kości i żeber na torturach, strasznym widokiem starej, jak Tutankhamen, Asty w roli młodej, niewinnej dzieweczki. Jeżeli ów nieszczęśnik to przetrwa i przeżyje, może się nazajutrz udać do *Światowida*, gdzie najgorsza z dotychczasowych przeróbek Conan Doyla poucza, jak filmu robić nie należy. Nim się akcja któregokolwiek z tych dramacików „detektywnych" zacznie, już znamy rozwiązanie; fabuła ani przez chwilę nikogo zająć nie może, są to romanse kryminalne bez intrygi, papierowe mankiety, które nawet nie usiłują udawać mankietów.

A w *Stylowym* wznawiają — jakby niedość było przedstawień dawniejszych — propagandowy, najwidoczniej na obstalunek robiony, źle przez podrzędnych aktorów za pół ceny grany, obrazek z widokami Marokka — tak naiwny w treści i tak niedołężny w wykonaniu, że poprostu łzy nad zmarnowanym wieczorem i straconemi na bilet pieniędzmi płyną po policzkach widza. I do szlachetnego turnieju, „kto da mniej za droższe pieniądze?" do dziwnej licytacji *in minus* stają w długim szeregu *Wodewil*, zapowietrzony jakimś starym, przedpotopowym, *rosyjskim jeszcze!* Możżuchinem, niemożliwie czarnym, niemożliwie naiwnym, technicznie brzydkim, pod względem reżyserji, gry, oświetlenia chyba najgorszym, *Pan*, który wykonywa wciąż niedozwolone malwersacje z Fattym, Chaplinem, podając wyświechtane, wybrakowane filmy za nowalje sezonowe i wiedeńskiego Seppla za komika amerykańskiego, nieszczęsna, pohańbiona *Filharmonja*. Dosyć! Panowie, zróbcie wreszcie bilans handlowy! Czy warto — dla chwilowych i drobnych korzyści — psuć sobie kredyt u publiczności, kompromitować się gruntownie, narażać firmy i przedsiębiorstwa na pośmiewisko i protesty po gazetach? Sztuka, z której żyjecie, wymaga czasem pewnych ofiar finansowych. Restaurator nie może żywić stałych gości koniną — pod pretekstem, że mu się w porze wakacyjnej frekwencja zmniejszyła. *— CHRYZPE —*

sport

Nietrudno jest zachwycać się Zakopanem, jak sobie człowiek uprzytomni ogrom wysiłku, jaki włożyła w to wszystko przyroda. Na jednem miejscu tyle gór ustawionych malowniczo, nie hamujących drogi postępu genjuszu ludzkiego (Karpowicz, Trzaska).

Usterki, jakie potem zakraść się mogły w tej Polskiej Dolinie Drogiego (hotele, pensjonaty, górale i ludzie), naturalnego rozwoju miejscowości nie powstrzymały.

Sceptykom broń z ręki wytrącił Kornel Makuszyński, wysyłając na Polskę pogody i humoru pełne listy z Zakopanego. Od morza do gór wzniósł się pomruk serdecznego toastu — kochajmy się — i po dziś dzień przy wjeździe Makuszyńskiego poczciwy Gewont szepce Gubałówce — patrz, stara, Kornel przyjechał.

A mimo to Zakopane jest dotąd dziurą. Kto i kiedy zepchnąć to może z martwego punktu, żeby, wykorzystując przyrodnicze warunki tej nie byle miejscowości, *zeuropeizować* ją w sensie, w jakim życie samo i obyczaje współczesnego, cywilizowanego człowieka uczą i zmuszają. Jako miejscowość klimatyczna, Zakopane jest terenem zawodów sportowych w zimie, a gromadząc współzawodników zagranicznych, ośmiesza nas prymitywnością całego tego przedsięwzięcia. Zakopane nie ma ślizgawki, toru saneczkowego dla dzieci, o sportach zaś letnich niema wcale mowy.

Min. Robót Publicznych zatwierdziło i nagrodziło plan wielkiego parku sportowego w planach regulacyjnych architekta p. Stryjeńskiego. Przy pomocy Min. Wojny rozpoczęto już nawet tor bobsleyowy i odskocznię, czy nie obowiązkiem i czynem wydatnym w naszem wiecznie kulejącem, biednem życiu byłoby poruszyć wszelkie możliwe czynniki rządowe i prywatne, znaleźć ludzi, którzyby mieli tyle ambicji i zrozumienia, żeby sprawę parku sportowego w Zakopanem zamienić na czyn, mając ku temu już zaakceptowane miejsce (między Doliną Białego i Kuźnicami) i rozpoczęte nawet fragmenty pracy.

Dumą byłoby, żeby zbłąkany cudzoziemiec, poza całym majestatem naszego kochanego, starego przyjaciela Gewonta, rozkoszować się mógł pełnym obrazem cywilizowanego życia, do którego przywykł wszędzie na zachodzie, a do którego może też kiedyś przywykłyby i nasze polskie syny, podsycając i wiążąc intensywność pracy czy wypoczynku, z godziną nałogu sportowego, każdy na swój sposób. A w oczach młodzieży sport zajaśnieć powinien przekonywującym przykładem,

zachętą i wzorowością. Pływalnia, bieżnia, tennisy, boisko, konkursy, zawody na starannie i celowo urządzonym terenie otworzyłyby zgoła nowe horyzonty i możliwości dla całego ponurego w gruncie rzeczy biegu życia tej doliny. W tych warunkach sport byłby tem, czem być powinien, czynnikiem wychowawczym, reprezentacyjnym, zdrowotnym, a wreszcie poważnie dochodowym. Dziś prawdziwa polska panna w Zakopanem, panna Maryla Dalibóg Głupsza przypuśćmy, córka właścicielki „dobrze postawionego pensjonatu", na zapytanie pensjonarza, o której są w domu obiady, manipulując zręcznie rakietą tennisową w ręku, z przekąsem poleca zwrócić się z tem do służącej.

Sądząc z rakiety, zajmuje się tylko sportem, niedbalstwo i niechlujstwo zaś, panujące bezczelnie w „dobrze postawionym pensjonacie", wskazuje, że nie zajmuje się niczem. Nie o to tu, Boże broń, chodzi!

Racjonalny sport nie przeszkadza obowiązkom dnia powszedniego, i wierzę głęboko, że ucząc wielu rzeczy, uczy też poczucia obowiązku i rozwija umysł.

Życzę panu Karolowi Stryjeńskiemu, żeby trafił na ludzi i urzędy, któreby mu Jego park sportowy zmontowały w przeciągu jednego roku na wieczną rzeczy chwałę, w imię namiętnego i pośpiesznego budowania nowej, raźnej, rześkiej, mądrej, innej jakiejś, prawdziwej Polski.

POR.

POLSKI LOT OKRĘŻNY

Wśród całej powodzi konkursów i zawodów sportowych, jaka nawiedziła stolicę w tegorocznym letnim sezonie, na pierwszy plan wysuwa się „Polski lot okrężny", rodzaj steeple-chase na aeroplanach.

Na kilka dni przed startem cała Warszawa sportowa, a szczególnie jej płeć piękna, z wielkiem zainteresowaniem śledziła przygotowanie do tych niezwykłych zawodów, w których trzeba nietylko zdystansować konkurenta, ale także zwyciężyć w przestworach.

Przyznam się szczerze, że, gdy się dowiedziałem, że start rozpocznie się o 4-tej rano, poczułem się głęboko nieszczęśliwy, łatwo bowiem jest położyć się o 3-ej w nocy, ale wstawać o tej porze... fi donc!

Czegóż jednak się nie robi dla „Pani", najmilszej w świecie istoty, szczególniej gdy ładnie prosi. Wstaję tedy rad nierad i pędzę na lotnisko, gdzie przybywam akurat na start pierwszego aparatu. Widok kapitalny! Zapomina się o wichrze i deszczu, który ze złośliwą radością tnie prosto w twarz. W szarem, coraz jaśniejszem świetle świtu, na olbrzymiem polu mokotowskiem, pod prostym kątem do hangarów, długim szeregiem wyciągnięte samoloty, uporczywym warkotem przyzywają swych panów. Piloci zamieniają ostatnie uściski dłoni z otaczającymi ich oficerami, sprawdzają motory, skrzydła i stery, wreszcie sadowią się na siodełkach.

Komisarz konkursu podpułk. Grzędziński wydaje ostatnie zarządzenia, oficer startowy notuje godzinę i szykuje chronometr, warkot się wzmaga — początek konkursu!

Pierwszy startuje porucznik Baliński na samolocie Breguet. Aparat chwilę sunie po ziemi, kołysząc się lekko na nierównościach gruntu, wreszcie, jak olbrzymia łątka zrywa się do lotu i całym już rozpędem prując powietrze, brawurowym wirażem skręca w kierunku na Lwów. Potem co 2 minuty startują następne maszyny. Huk coraz silniejszy, rozgrzane motory pracują bez zarzutu, szereg maleje, wkońcu na boisku pozostaje jeden już tylko aeroplan, to Ansaldo, na którym miał wylecieć plutonowy Żółtowski.

Zapytuję najbliższego oficera, dlaczego ostatni aparat nie startuje. — „Zapaliło mu się w karboratorze — motor niepewny, może się łatwo zapalić w powietrzu. Pilot się speszył i wycofuje się z konkursu" — brzmi uprzejma odpowiedź.

No, myślę sobie w duchu, jabym się też pewnie speszył, wyobrażam sobie jak to musi być „ciepło" na płonącym statku powietrznym

Pozostaję jeszcze czas jakiś na lotnisku, co pozwala mi bezpośrednio śledzić bieg wypadków. Zdobywam sobie miejsce w pobliżu aparatu telefonicznego, który łączy nas ze wszystkiemi etapami podróży i... czekam.

Nagle gdzieś z przestrzeni nadpływa cichy, z początku jak brzęk muchy, dźwięk... Oficerowie zrywają się i wybiegają przed dom. Warkot jest coraz bliższy, wreszcie z za chmur i mgieł zjawia się pierwszy z uczestników. Łątka kołysze się nad lotniskiem i wreszcie siada. Podbiegamy... to porucznik Senkowski wysiada ze swego Breguet'a z nieodstępną fajką w zębach.

— Co się stało — dlaczego wracasz — czy bardzo rzuca? — krzyżują się zapytania. „Ciężki na głowę" mówi kabalistycznie porucznik Senkowski. Lotnicy z tajemniczemi minami kiwają głowami, ostukują przód i skrzydła aparatu, a ja przyglądam im się z prawdziwem zdumieniem, bo nic — ale to nic — nie rozumiem. Co to jest ciężki na głowę? — myślę sobie. — Aha, pewnie pilot się upił i ma „Katzenjammer", ale nie, wygląda świetnie i mówi całkiem przytomnie! Jedno tedy z dwojga, albo się przesłyszałem, albo wszyscy powarjowali. Ale skądże znowu taki masowy obłęd? Wkońcu przezwyciężam wrodzoną mi nieśmiałość i pokornie pytam dowódcy portu, co znaczy „ciężki na głowę". Stary doskonały pilot z pobłażliwym uśmiechem objaśnia mnie, że poprostu aparat nie może utrzymać równowagi, trudno mu jest wznosić się w górę, jednem słowem zachowuje się tak, jakby miał przód (głowę) zanadto obciążony.

Co chwila już z przestworza spadają aeroplany, które z powodu rozmaitych defektów, a głównie z powodu niepogody, z konkursu się wycofują. Naraz dzwonek telefonu... pierwszy wypadek! Podpułkownik Rayski na aparacie Ansaldo rozbił się pod Wilanowem! Na lotnisku robi się gwałtowny ruch. Szykują samochód, który po chwili z sanitarjuszami i mechanikami rusza na miejsce katastrofy. Po półgodzinie denerwującego oczekiwania, dowiadujemy się, że, na szczęście, pilot jest lekko ranny, ale samolot, niestety, uległ zupełnemu zniszczeniu.

W czasie chwilowej przerwy, wśród ciągłych już teraz sygnałów telefonicznych, korzystam z uprzejmości podpułkownika Grzędzińskiego, który bardzo chętnie udziela mi kilku cennych informacji.

— Jak wielka jest przestrzeń do przebycia? — zapytuję. — Tysiąc dwieście czterdzieści pięć kilometrów, przyczem trzy razy w ciągu drogi trzeba lądować dla wzięcia poświadczeń od komisarzy sportowych we Lwowie, Krakowie i Poznaniu.

— Czy lot ten przedstawia znaczne niebezpieczeństwo? — O! kolosalne, zważywszy dzisiejszą pogodę i nad wyraz trudne warunki konkursu. Lot bez obserwatora, któryby wskazywał drogę na dużą odległość, prawie bez odpoczynku, bo trzeba się śpieszyć, żeby do godz. 7-ej wiecz. ukończyć jazdę... To bardzo trudne! Wątpię, czy którykolwiek, choć to starzy, wytrenowani piloci, zdoła dolecieć na czas.

— Dlaczego więc panowie nie przełożyli terminu i nie poczekali na lepsze warunki atmosferyczne? — Pułkownik spogląda na mnie z dobrotliwym uśmiechem. — Widzę, że pan się denerwuje, ale to trudno, to sport, panie! Żadnego vis major nie było, a tylko w tym wypadku mógłbym zmienić termin.

Co chwila już teraz napływają wieści ze Lwowa i z innych etapów podróży, niezbyt jednak radosne. Z dwudziestu pilotów, stających do konkursu, dwaj tylko lądują szczęśliwie i startują do dalszej drogi w Krakowie. Widzę, że wielu z obecnych ma miny mocno przeciągnięte. Co się okazuje — na boczku, prywatnie urządzono totalizatora, i ci, których faworyci lot już przerwali, przeklinają los zawistny i swój brak „nosa".

Coraz więcej napływa publiczności, coraz to zajeżdża jakieś auto, aby z głębi wygodnej limousine'y wyrzucić kilka, zaciekawionych przebiegiem konkursu, osób. Całe mnóstwo znajomych wypytuje się gospodarzy boiska o bliższe informacje, zaciekawienie i niepokój rosną z każdą chwilą. Wszyscy grupują się koło wielkiej tablicy, na której jeden z żołnierzy wypisuje każdą nadchodzącą wiadomość.

Konstatuję, że dwa tylko aparaty biorą już w tej chwili faktyczny udział w konkursie. Ładna historja, ośmnaście aparatów odpadło, bądź skutkiem wypadku zdemontowania, bądź też naskutek wrogich wprost warunków atmosferycznych, nie mogąc startować dalej. Bieg już od dłuższego czasu prowadzi porucznik Gedgowd na samolocie typu Breguet z r. 1916. Dzielny pilot musi już być w tej chwili pod Poznaniem. Jakoż po chwili zjawia się nowa notatka na tablicy:

Nr. 18 porucznik Gedgowd na aparacie Breguet, wylądował w Poznaniu godz. 14 min. 15.

Nieszczęściem złamał skrzydło i zmieniają mu je na miejscu. „Zdąży czy nie zdąży" myślę sobie tak trochę po hamletowsku i..... czekam dalej.

Znowu fonogram.

Nr. 7 podporucznik Pawluć samolot Balilla z powodu wysadzenia silnika lądował pod Poznaniem. Montuje. No, ten to już chyba nie zdąży!

Jasne jest już w tej chwili, że tylko porucznik Gedgowd ma szanse ukończenia konkursu według wszelkich prawideł. Czekam tedy z niecierpliwością na dalsze wiadomości z Poznania, a przez ten czas wpadam do bufetu urządzonego malowniczo w namiocie, gdzie tłum z „zajadłością", godną lepszej sprawy, przypuszcza szturm do obficie zastawionych stołów. Ciepło tu i zacisznie, dochodzą tylko z oddali stłumione dźwięki orkiestry, grającej jakieś zwarjowane „shimmy". Gawędzimy krótką chwilę, oczekując z utęsknieniem skrawka błękitu wśród posępnych szarości dżdżystego dnia. Czas wlecze się, jak przysłowiowy żółw, aż wreszcie około 5-ej Poznań melduje telefonicznie, że porucznik Ged-

gowd odleciał. Obliczam, kiedy może być w Warszawie, najwcześniej około 6-tej, więc za godzinę! Tymczasem ustawiają kordon, który pilnuje, aby publiczność nie wchodziła na lotnisko, wszyscy trzymają lornetki w pogotowiu.

Moje obliczenia okazują się słuszne. Rzeczywiście po godzinie, daleko na horyzoncie ukazuje się czarny punkt, nie większy od główki szpilki, który zbliża się, przybierając zwolna zarysy ptaka w szlaku powietrznym. — To Breguet — mówi mi jakiś pilot, patrzę nań z podziwem. Rzeczywiście, wzrok sokoli! Już słychać warkot, już jest nad wodą... nad lotniskiem... przepływa nad nami, aby zakręcić nad placem Unji Lubelskiej i w śmiałym rzucie dojść do ziemi. Krótka chwila... siada.

Publiczność, nie bacząc na rozpaczliwe wysiłki żołnierzy, tłumnie bieży do aeroplanu i na rękach wynosi bohatera dnia. Wszyscy ściskają mu ręce, winszują, a nawet sypią nań kwiaty. Pilot zmęczony, mokry, zziębły i zsiniały, ale w doskonałym humorze, opędza się, jak może, od nagabującej go publiczności i ucieka do domu, aby zażyć zasłużonego wypoczynku.

Godzina 7-ma się zbliża, a więc konkurs się kończy. Wracam do miasta, cały pod wrażeniem potęgi mózgu ludzkiego, zdolnego wymyślić maszynę, która w ciągu 10 godzin 46 min., zużytych na lot, jest w stanie przebyć przestrzeń 1245 kilometrów, co wynosi przeciętnie 115 kilometrów na godzinę.

Następnego dnia o godz. 1-ej po poł. w sali Rady Miejskiej odbyło się rozdanie nagród przez ministra spraw wojskowych generała Szeptyckiego. W licznych przemówieniach podkreślano znaczenie tego rodzaju konkursów dla lotnictwa polskiego. Nagrodę pierwszą i wiele nagród dodatkowych otrzymał zwycięzca porucznik Gedgowd, drugą nagrodę w uznaniu zasługi przyznano porucznikowi Pawluciowi, który, pomimo nieukończenia konkursu, odbył jednak największą część drogi.

W jednym z najbliższych dni po rozegraniu konkursu wybrałem się do porucznika Gedgowda, aby dowiedzieć się od niego o przebiegu lotu. Na wstępie spotkałem się z dosyć opornem stanowiskiem bohatera wielkiego lotu, który w ciągu dni ostatnich odbył niezliczone ilości tego rodzaju konferencyj. Skoro jednak mój interlokutor dowiedział się, że jestem przedstawicielem „Pani", jak każdy pilot, który jest zawsze rycerski względem dam, zmiękł odrazu i łaskawie udzielił mi garści swych wrażeń.

— Lot miałem niesłychanie trudny, szczególnie pomiędzy Warszawą, Lwowem i Krakowem, gęsta mgła spowinęła mnie jak całunem, w dodatku deszcz siekł prosto w twarz. — Czy deszcz może uszkodzić aparat? — zapytałem. — Oczywiście, obciąża i drze śmigło. — Jakto drze? — No... odrywa po kawałeczku. Orjentacja była bardzo trudna, bo chmury i mgła zasłaniały mi zupełnie ziemię, naskutek czego musiałem lecieć bardzo nisko, ażeby się nie zgubić. Chwilami dochodziłem do wysokości dwudziestu metrów ponad ziemią. To warjacka jazda! W razie wypadku nie można zdążyć planować. Każdy najmniejszy błąd w jeździe grozi śmiercią. Nadto z większej wysokości ma się większe pole widzenia, przy niskim locie trzeba się orjentować niesłychanie szybko, gdyż ziemia miga pod nogami jak w kalejdoskopie. Miałem momenty, że nie wiedziałem, gdzie jestem. — Jakim cudem, złamawszy skrzydło przy lądowaniu, wyszedł pan cało z tej katastrofy? — To drobiazg, nadłamałem tylko i chciałem dalej lecieć nie zmieniając, tylko mnie z lotniska nie wypuścili.

— Jakiego uczucia doznawał pan, lądując w Warszawie i wogóle podczas lotu.

— Właściwie żadnego, to trzeba lecieć samemu, żeby je móc sprecyzować. Jedzie się jak samochodem. — Jednak nerwy muszą być mocno napięte w takiej wyprawie. W każdej chwili przecież grozi panu katastrofa. — Lotnik nie może mieć nerwów — odpowiada porucznik Gedgowd, — a zresztą, cóż warte jest życie bez emocji?

Żegnam sympatycznego pilota zwycięzcę i biegnę podzielić się z wami, miłe czytelniczki, tą garścią wrażeń i myślę z radością, że słowa moje czytać będą tysiączne oczy zielone, czarne i błękitne i że ich właścicielki emocjonować się będą wraz ze mną. Bo cóż jest warte życie bez emocji, jak mówi porucznik Gedgowd!!

J. ORŁOWSKI

REGATY MORSKIE W GDYNI

Rojno i gwarno nad polskiem morzem. Tysiące ciekawych widzów, mimo niepewnej pogody, ściągnęło ze wszystkich stron Polski i okolicznych kąpielisk do Gdyni, by własnemi oczyma oglądać walkę żaglowców. Morze usłane było statkami różnego typu, które, manewrując przed pomostem, oczekiwały na wywieszenie czerwonej flagi na sędziowskim statku „Hallerze" i na strzał armatni, jako na znak rozpoczęcia biegu. Stanęły do współzawodnictwa przeważnie statki rybackie i łodzie marynarki wojennej. Nic dziwnego, boć sport morski u nas jeszcze w „pieluszkach". Zjawiają się jednak już yachty prywatne, mamy już polski „Yacht Cloub" w Gdańsku, a udział w regatach łodzi żaglowych Wojskowego Klubu Wioślarskiego z Warszawy aż nadto świadczy o coraz większem zainteresowaniu się regatami. I nie zrobili Warszawiacy wstydu stolicy. Spisali się dzielnie, mając łodzie nieprzystosowane do warunków morskich śmiało walczyli z żywiołem. O przebiegu i wyniku regat wiedzą czytelnicy z depesz. Jedną rzecz chciałem podkreślić — świetną jazdę por. Ciechorskiego na łodzi żaglowej „Jaskółka". Wyminął on nieprawidłowo „boję" na morzu, przybył pierwszy do mety, wyprzedzając znacznie „Mewę", a gdy dowiedział się, że bieg wykonał nieprawidłowo, wrócił natychmiast i, nadrabiając około 2 mil morskich, przybył drugi do mety zaledwie o kilka długości przed „Mewą". Bardzo ciekawy i emocjonujący był również bieg łodzi czterowiosłowych na przestrzeni 2000 metrów, a czas, uzyskany przez „Czajkę", 16 min. 10 sek. — bardzo dobry.

Sport żaglowy morski jest niezmiernie trudny. Wymaga wiele sprawności i przytomności umysłu. Jednak i ta dziedzina sportu postępuje u nas znacznie naprzód. A czasy, uzyskane w poszczególnych biegach, poprawiają się z roku na rok. Technika jazdy była już znacznie zbliżona do warunków czysto sportowych. Udział w regatach brał po większej części żywioł niekarny, — rybacki, który do zawodów nigdy nie stawał. Zagranicą nie dopuszczają rybaków do regat wogóle, a startują jedynie sportowcy — amatorzy. Komitet regat uczynił jednak inaczej, chcąc, jak mi w wywiadzie oświadczył wiceprezes inż. Stodolski, zachęcić miejscową ludność i nawiązać z nią serdeczne stosunki.

Tegoroczne regaty dowiodły, że społeczeństwo nasze coraz bardziej rozumie znaczenie morza dla naszego kraju. Te tysiące par oczu, które z zaciekawieniem śledziły ruchy żaglowców, pokochały morze, zżyły się z ludem tutejszym, który jeszcze trzy lata temu nieufnem okiem spoglądał na przybyszów z różnych stron Polski. Potęgujący się z roku na rok udział rybaków w regatach aż nadto wyraźnie świadczy, że ludność kaszubska odnosi się z ufnością do poczynań ogółu społeczeństwa. I byłem mile zdziwiony, gdy w kilka dni po regatach, zajadając potężne porcje jadła przeróżnego u przesławnego „Petrykusa" w Wielkiej Wsi, usłyszałem głos podającej mi deser pięknej kaszubki: „Proszę Pana, Pan podobno był na „Rogetach" we Gdyni — ja poproszę, niech mi Pan o tem opowie". Wielu rybaków, z którymi prowadziłem rozmowę, dopytywało się szczegółowo o wyniki regat, a dowiedziawszy się, że jako nagrody dawane były worki mąki i soli, oświadczyli mi, że na rok przyszły staną gromadnie do regat. Po regatach odbyło się w hotelu „Riwiera" rozdanie nagród zwycięzcom. Były i nagrody od osób prywatnych i od urzędników ministerjum przemysłu i handlu i od ministra marynarki francuskiej... raził brak nagrody ze strony władz rządowych polskich. O godz. 9-ej odbył się w „Riwierze" bal. Tańczono do rana, komentując żywo przebieg minionych regat.

WACŁAW SIKORSKI

BOISKO SPORTOWE W AGRIKOLI

W 6-ciotygodniowym okresie od ukazania się ostatniego N-ru „Pani" boisko sportowe w Agrikoli było świadkiem wielu bardzo ciekawych i emocjonujących zawodów sportowych. Między innemi niezmiernie ciekawem spotkaniem obdarzyła widzów „Warszawianka" przeciw klubowi sportowemu D. S. V. Troppau, który bez wykazania zresztą specjalnej klasy obił stołeczną drużynę pierwszy raz 4 : 2, drugi zaś 3 : 1. Podkreślić należy brak zgrania w drużynie warszawskiej, która puściła kilka bardzo korzystnych momentów, dzięki czemu została tak ostro pobita przez gości.

Następnie niezmiernie ciekawe były zawody lekkoatletyczne, zorganizowane w dniu 29 lipca przez Polski Komitet Igrzysk Olimpijskich, podczas których padł rekord polski w biegu 4 po 100 (sztafeta) pobity przez drużynę Polonji, która wygrała go w czasie $46\,^4/_{10}$ sek. Ogromnem zainteresowaniem cieszył się bieg 65 m. z płotkami dla pań, wygrany w ładnym czasie przez Szmidównę z K. S. Polonja. Nad program urządzono także bieg rozstawny 4 po 100 dla pań, który jednak ukończył się rezultatem niezbyt ciekawym ze względu na czas 60,3 sek.

Najbardziej emocjonującym momentem zawodów był bieg rozstawny 4 po 400, który po ciężkiej walce wygrała drużyna A. Z. S. Warszawa przeciwko Polonji, tylko dzięki zepsuciu pierwszego etapu przez Terpińskiego (Polonja). — Również w tym okresie na torze Dynasów rozegrało się kilka ciekawych konkursów kolarskich, między innemi bieg o mistrzostwo Polski zdobył w bardzo ładnej formie Stankiewicz, który również w osadzie z Gronczewskim wygrał 6-ciogodzinny wyścig amerykański, organizowany po raz pierwszy w Warszawie.

Wogóle to i owo

Młoda amerykanka Miss Maydell Griffen otrzymała nagrodę na konkursie piękności w Baltimore. Natychmiast miasto opodatkowało nietylko nagrodę, ale także podarki, które otrzymała dzięki swemu powodzeniu, uważając jej urodę za „źródło dochodu". Zupełnie nowy podatek dochodowy.

Pewna młoda para z New-Jersey odbyła taksometrem podróż poślubną, która trwała kilka tygodni; jest to miodowy miesiąc kosztowny, ale nie tak rujnujący, jak pomysł pewnej Wenecjanki, która, poślubiwszy Rosjanina, wynajęła cudowny pałac nad morzem, umeblowała pięknie, następnie zmobilizowała wszystkich śpiewaków i gondoljerów z miasta, poczem kazała im tak długo śpiewać serenady pod swemi oknami, dopóki pan młody nie został zrujnowany.

Regaty w Gdyni przyciągnęły dużo osób ze wszystkich letnisk okolicznych, a nawet z miast odległych. Kawiarnia i restauracja hotelu „Riviera" przepełnione po brzegi, a wszędzie publiczność wytworna, elegancka, strojna, która widocznie przymyka oczy na braki wszelkiego rodzaju i chce, już tego roku, zrobić z Gdyni miejscowość en vogue. Towarzystwo Kąpieli Morskich, ze swej strony dokłada wszelkich starań, ażeby Gdynię przeobrazić jak najszybciej w wygodne i eleganckie kąpielisko. To też hotel Riviera wygląda jak gdyby żywcem przeniesiony z włoskiego lub francuskiego wybrzeża na nasze piaski.

Jedną z atrakcyj sezonu jest wystawa polskiego zdobnictwa, urządzona w Kamieńcu Pomorskim przez Polski Związek wytwórni zabawek, galanterji i przedmiotów przemysłu artystycznego; ma ona głównie na celu przyzwyczajenie publiczności do kupowania drobiazgów na prezenty w postaci batików, wełniaków lub zabawek ludowych zamiast gdańskiej tandety. Cel ten został w znacznej mierze osiągnięty, gdyż mnóstwo osób kupuje nagromadzone eksponaty. Szkoda tylko, że wystawa nie zawiera wyrobów miejscowych, mianowicie ceramiki kaszubskiej, tak mało u nas znanej. Same regaty budziły ogólne zainteresowanie. Oprócz ogólnego znaczenia sportowego miały one duży wpływ agitacyjny, w szczególności dla helskich rybaków (przeważnie Niemców) którzy ze wzruszeniem odbierali nagrody w natłoczonej przez wytworną publiczność sali i słuchali skierowanych do nich przemówień.



Filc amarantowy, przybrany japońskim haftem według pomysłu W. Leonharda, wykonano w firmie „Henriette"



Wystawa polskiego zdobnictwa w Kamieńcu Pomorskim

FORPOCZTY MODY

Federacja klubów kobiecych w Stanach Zjednoczonych, która zgrupowała 300,000 członków, objawiła swoją wolę: suknia powinna być oddalona od ziemi przynajmniej o 20 cm. Krawcy jeszcze się nie wypowiedzieli, czy poddadzą się rezolucji klubu.

Balzac, mówiąc o pięknej kobiecie, wyraził się: „Dusza jej przeszła w lekką materję i objawiła się w niej całkowicie". My, niestety, mamy bardzo rzadko okazję zaobserwowania manifestującej duszy kobiecej w stroju. Ideałem współczesnej kobiety, podlegającej modzie, jest niewolnicze upodobnienie się do innych kobiet.

Wielcy krawcy paryscy pracują gorączkowo nad modą jesienną; udało się nam uchylić rąbek tajemniczej zasłony i możemy się podzielić z czytelniczkami niektóremi szczegółami. Spódnice zdecydowanie przechylają się do formy „cloche", palta przeważnie zapowiadają linję prostą, rozszerzoną dopiero w dole od kolan, na modłę egipską. Rękawy szerokie, kimonowe, schodzące aż do bioder. Przybrania sukien i draperje przeważnie na przodzie.

PORADY KOSMETYCZNE

Zrozpaczonej Zosi. Rozumiem Zosi rozpacz i zupełnie mam Ją za wytłumaczoną, że chwyta się wszelkich środków, aby te, jak się wyraża, „przebrzydłe zmarszczki" usunąć. Rzeczywiście, smutne, aby w 20 roku życia mieć tak fatalnie pooraną twarz zmarszczkami, przytem moc kurzych łapek i fałdek, to może wyprowadzić z równowagi. Niechże Zosia się uspokoi i zaraz zastosuje preparat „Tol", tak jak przepis wskazuje, a mniej więcej wciągu 3-ch tygodni śladu nie będzie, gdzie były zmarszczki. Preparat „Tol" jest nieocenionym środkiem w tym kierunku. Listy z zapytaniami proszę adresować do mnie: Klimecki, Zakład leczniczo - kosmetyczny, Warszawa, Niecała 5.

Janinie. Tak piegi jak i plamy znikną od Tui. Proszę smarować raz dziennie.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Warszawa, Mazowiecka 11 (w druk. „Rola")
Telefon 180-27
ODDZIAŁY REDAKCJI i ADMINISTRACJI:
we Lwowie, J. Kuczabiński, ul. Turecka 2, w Zakopanem, M. Mieczysławski, willa „Orawa", w Chicago, Księgarnia Ludowa 956 Milwauke Ave.
SKŁAD GŁÓWNY:
Księgarnia E. WENDE i S-ka Warszawa, ul. Krakowskie-Przedmieście 9, tel. 14-15
Nakładem:
TOW. WYDAWNICZEGO „PANI"
Kierownik Artystyczno-literacki:
JAN ŻYZNOWSKI

Odbito w drukarni J. Buriana, Mazowiecka 11



AUTO-KONCERN



SPÓŁKA Z OGR. ODP

JENERALNA REPREZENTACJA FABRYK SAMOCHODÓW:

DUX 6-cio OSOBOWE LUKSUSOWE 17/50 K. M.

N. A. G. 6-cio OSOBOWE LUKSUSOWE 10/30 K. M.

BRENNABOR 4-o OSOBOWE 6/20, 6-cio „ 8/24 K. M.

WARSZAWA

WIERZBOWA 8
TELEFON 123—29

SKR. TEL. AUTOKONCERN

GARAŻ
PUŁAWSKA 29